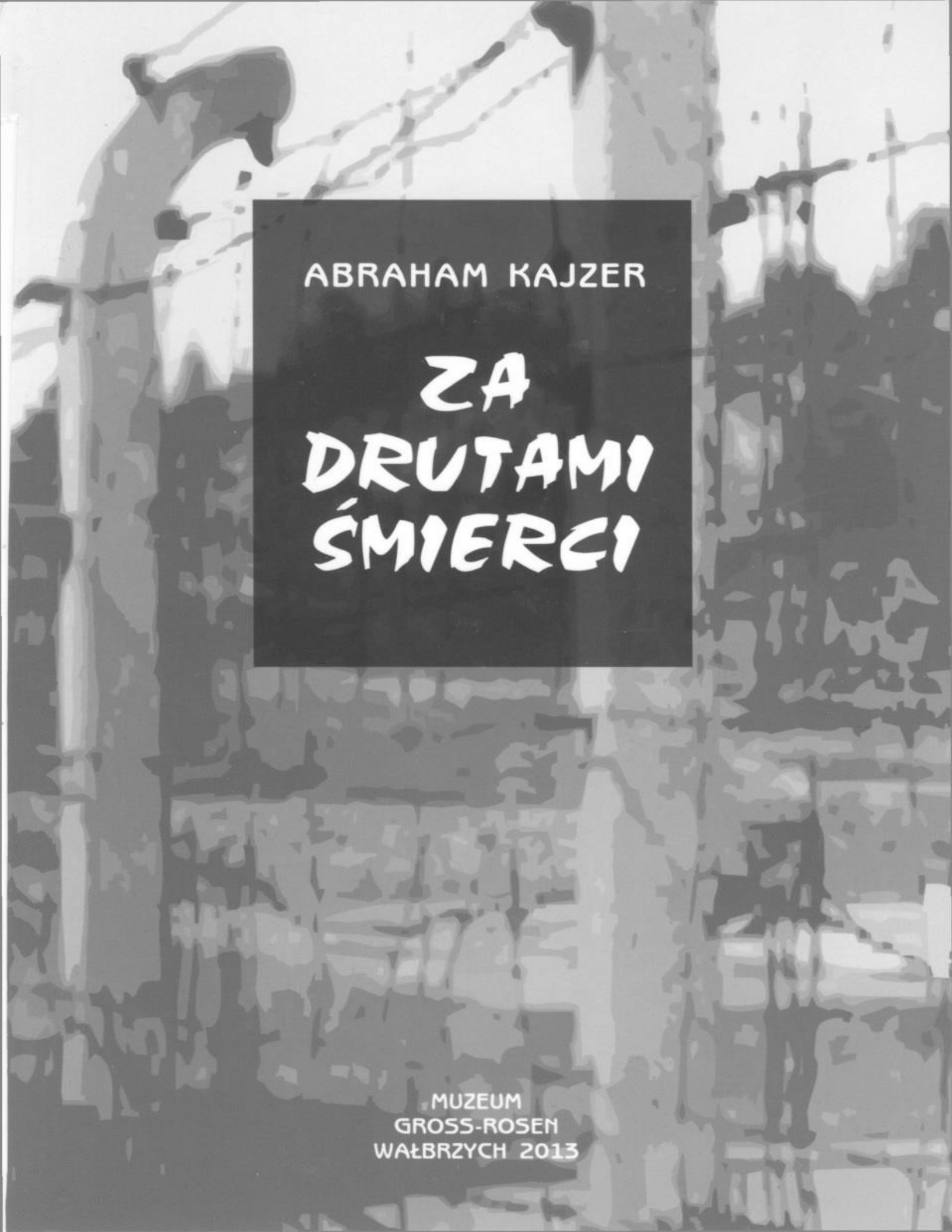




ABRAHAM KAJZER

**ZA
DRUTAMI
ŚMIERCI**

MUZEUM
GROSS-ROSEN
WAŁBRZYCH 2013

Abraham Kajzer

Za drutami śmierci

Edycja i poprawki Ebook - reddogpl

MUZEUM GROSSROSEN Wałbrzych 2013



A. Kajzer

Autor pamiętnika Abraham Kajzer - 1962 r., Tel Awiw Z albumu rodzinnego Miriam Meir

Spis treści

Od wydawcy

Wprowadzenie

Przedmowa

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

Słownik niemieckich nazw geograficznych

Mapy

Od wydawcy

Niniejsze wydanie tej niezwyklej książki, jaką jest obozowy dziennik Abrahama Kajzera, to reedycja pierwszego polskiego wydania, które ukazało się w nieistniejącym już Wydawnictwie Łódzkim 46 lat temu. Od kilkudziesięciu lat tytuł nie jest osiągalny nawet na rynku antykwarycznym. Muzeum, odpowiadając na z roku na rok rosnące zainteresowanie czytelników, a także mając świadomość ogromnej wartości pamiątnika - zarówno w sferze faktograficznej, jak i przesłania moralnego - od wielu już lat czyniło starania o ponowną jego publikację. Różne okoliczności sprawiły, że stało się to możliwe dopiero w bieżącym roku.

Oddawane do rąk czytelników obecne wydanie, ukazujące się za zgodą spadkobierczyń Autora, mieszkających w Izraelu Jego siostrzenic Miriam Meir oraz Sulamit Kalisz, poprzedzone zostało wprowadzeniem, którego zadaniem jest przybliżenie czytelnikowi miejsc i faktów opisywanych w dzienniku oraz - przede wszystkim - osoby Autora. Trwające kilka miesięcy starania pozwoliły ustalić nieznane dotąd fakty z życia Abrahama Kajzera.

Poszukiwania i kwerendy prowadziliśmy w Polsce i Izraelu. Zwracaliśmy się z prośbą o pomoc do wielu instytucji oraz osób prywatnych. Kwerendy prowadzone były w: Archiwum Państwowym w Łodzi, Fundacji „Monumentum Iudaicum Lodzense” w Łodzi, Urzędzie Stanu Cywilnego w Będzinie, Instytucie Pamięci Narodowej w Warszawie i Łodzi, Instytucie Yad Vashem w Jerozolimie, Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie, zasobach archiwalnych Oddziału Ewidencji Ludności Urzędu Miasta Łodzi oraz Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Łodzi. Szczególnie cennych wskazówek udzielił nam Pan Marek Szukalak z Fundacji „Monumentum Iudaicum Lodzense”, Pan Zvi Bergman reprezentujący Związek Łodzian w Izraelu oraz Pan Adam Szydłowski z USC w Będzinie; z ogromnym zaangażowaniem pomagała nam Pani Hania Ćwiakowska - dziennikarka z Tel Awiwu i także była więźniarka KL GrossRosen oraz Pan Wojciech Źródlak historyk z Muzeum Tradycji Niepodległościowych, Oddziału Radogoszcz w Łodzi. Kluczowymi okazały się informacje przekazane przez Pana Ryszarda Lów z Tel Awiwu oraz Panią Martę Weyland, z domu Kon, z Australii. Wszystkim tym osobom i instytucjom wyrażamy gorące podziękowania. Bez ich pracy nie byłoby możliwe odszukanie i nawiązanie kontaktu z Panią Miriam Meir - jedną z dwóch mieszkających w Izraelu siostrzenic Abrahama Kajzera.

Pani Miraz ogromną cierpliwością i życzliwością odpowiadała na pytania i opowiadała o swojej rodzinie. To Jej także zawdzięczamy możliwość poznania twarzy Autora dziennika; wszystkie prezentowane w książce fotografie A. Kajzera i Jego bliskich pochodzą z Jej albumu rodzinnego. Za to wszystko bardzo serdecznie dziękujemy.

Mamy nadzieję, że jeszcze niejednokrotnie będzie nam dane wspólnie przywracać współczesności pamięć o szlachetnych ludziach tamtego mrocznego czasu.

Janusz Barszcz - Dyrektor Muzeum GrossRosen Barbara Sawicka -
Kierownik Działu Naukowo-Badawczego.

Wałbrzych, czerwiec 2008

Wprowadzenie

Abraham Kajzer urodził się 15.02.1914 roku w Będzinie^[1]. Rodzicami jego byli Udlaz domu Dancygier (ur.24.12.1887r.) i Fajwisz Kajzer (ur.10.09.1886r. w Oświęcimiu). Rodzina co najmniej do 1916 r. mieszkała w Będzinie. W tym mieście przyszło na świat pięcioro z siedmiorga dzieci Kajzerów: starsze od Abrahama Szprynca Gitel (ur.23.02.1908r.), Necha (ur.5.03.1909r.) i Chaskiel (ur.17.02.1911r.) oraz młodszy Michał Rubin (ur.15.08.1915r.). Akty urodzenia Abrahama i Michała zostały wystawione przez USC w Będzinie w 1916r. W okresie „będzińskim” ojciec rodziny zajmował się kupiectwem; taki zawód ojca wpisano w metrykach urodzenia jego dzieci. Najprawdopodobniej dobrze mu się wiodło w interesach, skoro zdecydował się na wyjazd z Będzina i zainwestowanie w działalność przemysłową. W 1921r. rodzinę odnajdujemy w Łodzi. W opublikowanym w tym roku spisie mieszkańców Łodzi wyznania mojżeszowego Fajwisz Kajzer figuruje jako fabrykant i właściciel domu (wraz z Zilberbergiem). W Łodzi przyszło na świat jeszcze dwóch braci Abrahama: Majer (ur.6.03.1921r.) oraz Fajwisz Wolf (ur. 18.09.1923r.). Najmłodszy syn urodził się już po śmierci ojca, który zmarł 6.03.1923r. (Jego grób zachował się na cmentarzu żydowskim przy ul. Brackiej). Jeszcze w spisie firm z 1925r. można odnaleźć firmę branży włókienniczej „Kajzer i Zilberberg”. Kajzerowie mieszkali w Łodzi przy ulicy Dzielnej 22, po zmianie nazwy ulicy - Narutowicza 34, w domu, który był ich własnością. W spisie mieszkańców wyznania mojżeszowego z 1921r. jako właściciel domu figuruje Fajwisz Kajzer; natomiast w Księdze adresowej z lat 1937-1939 jako właścicielka wymieniona jest Udla Kajzer i nie ma już wzmianki o firmie „Kajzer i Zilberberg”. Ta przedwczesna śmierć z pewnością zaważyła na dalszej egzystencji rodziny. Ciężarna Udla Kajzer pozostała sama z sześciorgiem dzieci w wieku między 2 a 15 rokiem życia.

Najprawdopodobniej utrzymywała rodzinę z wyprzedaży posiadanego majątku.

Pierwszy opuścił dom rodzinny Chaskiel, który w wieku 16 lat w 1927r. - wyjechał do Argentyny. Następnie obie córki założyły własne rodziny. Necha - nazywana w rodzinie Nadią - na przełomie 1930 i 1931r. poślubiła Marka Mendelsoona. W 1932r. przyszła na świat ich pierwsza córka Miriam, w 1937-druga Sulamit. W 1939r. Nadia i Marek zdecydowali się uciekać z Europy. Razem z dziećmi rozpoczęli wędrówkę z Łodzi przez Warszawę,

Kraków i dalej przez Włochy, Grecję, Turcję i Syrię do Palestyny. W 1940 r. szczęśliwie dotarli do Tel Awiwu, gdzie założyli swój nowy dom.

Losy rodziny Szpryncy (miała dwoje dzieci) oraz Michała nie zostały ustalone. Po wojnie nie odnaleźli się wśród żywych.

Abraham Kajzer również dość wcześnie założył własną rodzinę. Żona jego miała na imię Chana (ur. w 1912r.). Około 1932r. przyszedł na świat ich syn Moszek. Mieszkali w Łodzi, przy ul. Pomorskiej 107. Abraham był tkaczem z zawodu, nie wiemy jednak gdzie pracował i jak zarabiał na utrzymanie rodziny. Wybuch wojny zastał ich w Łodzi. 5.06.1940r. zostali przesiedleni do getta; otrzymali jeden pokój w mieszkaniu nr 9, przy ulicy Aleksanderhof (Limanowskiego) 29/31.

Matka Abrahama, wraz z najmłodszymi synami Majerem i Fajwiszem, zakwaterowana została w getcie przy ulicy Insel (Zawiszy Czarne) 29/9.

Na początku sierpnia 1944r. - w okresie likwidacji getta - Abraham, Chana i ich synek Moszek znaleźli się w transporcie do obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie zaraz po przyjeździe zostali rozdzieleni. Po wyjściu z wagonów przeprowadzono selekcję. Uznanych za nadających się do pracy umieszczono w obozie, pozostałych, bezpośrednio z wagonów bądź w ciągu kilku tygodni, skierowano do komór gazowych. W ten sposób zamordowana została żona Abrahama Kajzera i 12-letni syn, a prawdopodobnie także jego matka Udla. On sam został umieszczony w tzw. obozie cygańskim. Spotkał tam swoich dwóch młodszych braci, Majera (Mańka) i Fajwisza Wolfa (Wolusia). Ich dalszy los nie jest znany, wiadomo tylko, że nie przeżyli wojny.

Pod koniec sierpnia 1944r. Abraham Kajzer opuścił KL Auschwitz. Wraz z ok. 2000 mężczyzn znalazł się w transporcie do KL GrossRosen. Więźniowie zostali skierowani - z pominięciem obozu macierzystego - bezpośrednio do podporządkowanego KL GrossRosen kompleksu obozów określanych wspólną nazwą „AL Riese”, w Górach Sowich.

Po trwającej dobę podróży, więźniów wyładowano na małej stacyjce Wustegiersdorf i pieszo przegnano do obozu Kaltwasser. Tu zostali formalnie przyjęci do ewidencji KL GrossRosen.

Abraham otrzymał nr więźnia 18 370 (serii powtórzonej).

W grudniu 1944r., po likwidacji obozu Kaltwasser, znalazł się w rewirze w Tannhausen. Po dwóch tygodniach przeniesiony został do AL Wiistegiersdorf, następnie - po tygodniowym pobycie - do AL Lärche (dokąd wcześniej już przeniesiono więźniów z likwidowanego Kaltwasser)

i - po ok. 3 tygodniach - do AL Wolfsberg. W tym obozie, złamany wiadomością zagazowania w Auschwitz żony i synka, podjął próbę samobójstwa.

W czasie ewakuacji AL Wolfsberg został przeniesiony do AL Schotterwerk (położonego w sąsiedztwie stacji Oberwüstegiersdorf). Na początku marca 1945. znalazł się w AL Dörnhau, następnie, po mniej więcej miesiącu, przeniesiony został do AL Erlenbusch, skąd znowu trafił do AL Dörnhau. Obawiając się, w związku z pogarszającym się stanem zdrowia, skierowania do rewiru, co było prawie równoznaczne z wyrokiem śmierci, w nocy z 7 na 8.04.1945 (jak sam podaje) uciekł z obozu. Ukrył go w pobliskiej wiosce, w piwnicy domu swego ojca, Niemka - uciekinierka z Breslau. Tam przebywał do wyzwolenia.

10.05.1945r. do wioski weszli żołnierze sowieccy.

Po wyzwoleniu Abraham Kajzer, po krótkim pobycie na Dolnym Śląsku, powrócił do Łodzi.

Nie wiemy, gdzie mieszkał i jak zarabiał na życie. Przez cały 1947 rok, wraz z Adamem Ostoją, pracował nad przygotowaniem do druku swoich wspomnień z pobytu w obozach, opartych w dużej mierze na zapiskach czynionych w okresie pobytu w AL Riese. Wkrótce po ukończeniu tej pracy - w 1949r. - wyjechał do Izraela. Zamieszkał w Tel Awiwie ze swoją siostrą Nadią (secundo voto Bodenheimer) i jej dwiema córkami Miriam i Sulamit. W pierwszej połowie lat 50. ubiegłego wieku powtórnie się ożenił. Rodzina jego żony Zofii pochodziła z Jugosławii.

Wraz z żoną zamieszkał w wybudowanym przez siebie domu w Holonie. Pracę zarobkową podjął w przemyśle tekstylnym. Został kierownikiem technicznym w fabryce, której właścicielką była Nadia. Bardzo niewiele wiemy o jego 30-letnim życiu w Izraelu. Na pewno pozostawał w bardzo bliskim związku emocjonalnym ze swą rodziną. Przyjaźnił się też z pochodzącymi także z Łodzi małżonkami Ireną i Leonem Kon. Leon Kon był nie tylko przyjacielem, ale także jego lekarzem. Abraham Kajzer rozpoczął w Izraelu nowe życie, ale nigdy nie zapomniał o tym, czego doświadczył w czasie wojny. O swych przeżyciach opowiadał siostrzenicom Miriam i Sulamit. Chciał, abyśmy poznali je także my: szczęśliwie urodzeni później. Ponownie podjął pracę nad przygotowaniem do druku swego niezwykłego dziennika.

W roku 1961 - na rok przed ukazaniem się w Polsce - jego wspomnienia „Za drutami śmierci” ukazały się po hebrajsku w Izraelu. Pracy nad

niemieckim wydaniem nie zdążył ukończyć.

Zmarł w 1979 roku i został pochowany na cmentarzu w Holonie.

W chwili wybuchu II wojny światowej rodzina Kajzerów mieszkała w Łodzi. Już 8 września 1939 r. do miasta weszły wojska hitlerowskie, a w listopadzie zostało włączone do, utworzonego z części okupowanych ziem polskich przyłączonych do Rzeszy, tzw. Reichsgau Posen, przemianowanego w styczniu 1940r. na Kraj Warty (Reichsgau Wartheland). Getto w Łodzi (Litzmannstadtgetto)^[2] istniało od 8.02.1940r. i było najdłużej istniejącym spośród wszystkich gett utworzonych na ziemiach polskich. Zlokalizowano je w północnej, najbardziej zaniedbanej, części miasta (Bałuty i Stare Miasto).

30.04.1940r. było już ściśle odizolowane od reszty miasta - wzniesiono ogrodzenie i zasieki z drutu kolczastego. Pilnowane było przez, rozmieszczone co 50 -100 metrów, posterunki i patrole policji niemieckiej, mające od 10.05.1940r. prawo strzelać bez ostrzeżenia do każdego Żyda, którego podejrzewano o próbę nielegalnego opuszczenia getta.

Na teren getta przesiedlono ponad 160 tys. Żydów, mieszkańców Łodzi oraz z obszaru Kraju Warty. Następnie, w okresie październik-listopad 1941 r. deportowano do niego prawie 20 tys.

Żydów z Austrii, Czech, Luksemburga i Niemiec, a między grudniem 1941 r. a końcem sierpnia 1942 r. - także prawie 18 tys. Żydów ze zlikwidowanych gett w Kraju Warty. Ogółem przez Litzmannstadtgetto przeszło ponad 200 tys. osób.

Administracyjnie getto podlegało Zarządowi Miasta, w którym wydzielono samodzielny Wydział Zarządu Getta (Gettoverwaltung). Na jego czele, od maja 1941 do likwidacji w sierpniu 1944r., stał dyplomowany kupiec z Bremy Hans Biebow (po wojnie skazany przez sąd w Łodzi na karę śmierci; wyrok wykonano 30.04.1947 r.). Do zadań Zarządu Getta należało zapewnienie zaopatrzenia w żywność, opał i lekarstwa oraz sprawy rozliczeń finansowych z miastem, a także, po październiku 1940 r., wydział ten kierował procesem przekształcania getta w obóz pracy oraz grabieżą mienia jego mieszkańców. Hans Biebow prowadził morderczą eksploatację robotników żydowskich; przeforsował

też ideę samowystarczalności finansowej getta, co w konsekwencji powodowało niewyobrażalne wygłodzenie jego mieszkańców.

Gettoverwaltung podlegała żydowska administracja getta. Jej szefem był Przełożony Starszeństwa Żydów w Getcie Łódzkim (Der Älteste der Juden in Litzmannstadtgetto).

Funkcję tę sprawował - z nominacji władz okupacyjnych - Chaim Mordechaj Rumkowski.

Powołana przez niego Rada Starszych (Ältestenrat) nie odgrywała praktycznie żadnej roli.

Pełnię władzy ustawodawczej i wykonawczej miał Rumkowski. Niemcy zmusili go do współpracy przy przekształcaniu getta w obóz pracy oraz przy grabieży mienia jego mieszkańców. W dziedzinie wewnętrznej organizacji getta otrzymał on praktycznie nieograniczone uprawnienia. Poza zwierzchnictwem nad zamieszkałą w nim ludnością, posiadał uprawnienia w sprawach policyjnych i sądowych, w tym prawo aresztowania i osadzania w więzieniu (centralne więzienie w getcie mieściło się przy ul. Czarnieckiego 14).

Do niego też należało powoływanie do życia nowych urzędów, wydziałów, resortów (zakładów) pracy oraz różnego rodzaju agend.

1.05.1940r. powołana została przez Ch. M. Rumkowskiego, na podstawie polecenia wydanego przez Nadburmistrza Łodzi, Służba Porządkowa (Ordnungsdienst - OD), zwana też Strażą Porządkową. Jej członkami byli mieszkańcy getta; chodzili w czarnych mundurach, mieli czarne czapki z pomarańczowym otokiem, na rękawach nosili białe opaski z niebieską gwiazdą Dawida, uzbrojeni byli w gumowe pałki. Był to resort silnie rozbudowany, zatrudniający w różnych okresach od 850 do 1200 funkcjonariuszy. W skład Służby Porządkowej wchodziły m.in.: Pomocniczy Oddział Służby Porządkowej (Hilfsordnungsdienst), komando specjalne (Sonderkommando), komando uderzeniowe (Überfallkommando), Wydział Śledczy (Untersuchungsabteilung), oddział służby więziennej, policja żeńska (FrauenOrdnungsDienst) oraz straż ogniowa.

Do zadań Straży Porządkowej, określonych w zarządzeniu Prezydenta Policji z 16.07.1940 r., należała służba przy bramach getta, utrzymanie porządku i bezpieczeństwa wewnątrz getta, tłumienie wszelkich rozruchów. Straż Porządkowa była też zmuszana do asystowania przy egzekucjach i brania udziału w akcjach przesiedleń i wysiedleń oraz w rewizjach,

konfiskacie mienia i w aresztowaniach dokonywanych przez niemiecką policję Kripo i gestapo.

Bezpośrednia eksterminacja ludności żydowskiej z getta łódzkiego zaczęła się już w pierwszej połowie 1942 r. i objęła 57 tys. jego mieszkańców; w fazie drugiej, we wrześniu 1942r. - ponad 16 tys. osób (przede wszystkim starców, chorych i dzieci). Wszyscy oni zostali wywiezieni do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem i zamordowani.

Po przekształceniu getta, jesienią 1942, w obóz pracy, produkujący na potrzeby wojenne III Rzeszy, prawie przez dwa lata akcja bezpośredniej eksterminacji została wstrzymana.

Założono ok. 100 zakładów produkcyjnych, nazywanych resortami, w których przymusową pracę wykonywali prawie wszyscy mieszkańcy. Większość produkcji wytwarzano na zlecenie niemieckich władz wojskowych i policyjnych. Przynosiło to Niemcom ogromne zyski, a odbywało się kosztem bezwzględnej eksploatacji pracujących ludzi; zaopatrzenie w żywność było katastrofalne. Głód był jedną z przyczyn wielkiej śmiertelności w łódzkim getcie, powodując śmierć 21% uwięzionych (ok. 43 tys. osób).

Częstą przyczyną zgonu były też szerzące się choroby, także zakaźne, którym sprzyjały prymitywne warunki mieszkaniowe w zatłoczonej i zaniedbanej pod względem sanitarnym dzielnicy (na większości obszaru nie było wodociągów i kanalizacji).

Ostateczna likwidacja getta łódzkiego rozpoczęła się w czerwcu 1944r. W okresie 3 tygodni - od 23 czerwca do 14 lipca - do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem wywieziono i zamordowano ponad 7 tys. osób. 15 lipca akcję likwidacji chwilowo wstrzymano; podjęto ją ponownie na początku sierpnia. Chcąc zapobiec oporowi ludności przed wywózkami, hitlerowcy przeprowadzili akcję agitacyjną, która miała na celu skłonienie Żydów do dobrowolnego zgłaszania się do transportów.

Na plakatach podpisanych przez Rumkowskiego zapewniano, że getto jest jedynie przenoszone i dlatego ewakuowane są całe zakłady pracy z załogami i rodzinami pracowników. Obiecywano, że w Rzeszy będą o wiele lepsze warunki pracy i życia. Zgłaszali się jednak nieliczni. W tej sytuacji likwidacja getta odbywała się przy zastosowaniu siły.

Transporty odchodziły ze stacji Radegast (Radogoszcz) i kierowane były do KL Auschwitz.

Jednym z ostatnich transportów został wywieziony wraz z rodziną Chaim Mordechaj Rumkowski, i w obozie zamordowany. Ostatni transport wyjechał do KL Auschwitz 29.08.1944 r. Ogółem do tego obozu wywieziono ok. 67 tys. osób; zginęło ok. 45 tys.

W getcie pozostało ok. 1400 Żydów. Około 600 wywieziono 22.10.1944r. do KL Sachsenhausen (mężczyzn) i do KL Ravensbruck (kobiety). Pozostałych 800 stanowiło tzw. brygadę porządkową, która miała za zadanie oczyszczenie terenu getta i przygotowanie wysyłki zagrabionego majątku oraz wyposażenia fabryk. Niemal wszystkim z tej grupy, którą wycofujący się z Łodzi Niemcy próbowali zgładzić, udało się ukryć; odzyskali wolność 18.01.1945, gdy do miasta weszły oddziały armii sowieckiej.

W KL Auschwitz, bezpośrednio po wyjściu z wagonów, wśród przywiezionych z getta przeprowadzano selekcje. Uznanych za nadających się do pracy skierowano do obozu (ich liczbę szacuje się na ponad 22 tys. osób), pozostałych, którzy stanowili większość przywiezionych (ok. 67%), bezpośrednio z wagonów bądź w ciągu kilku tygodni, zamordowano w komorach gazowych.

Część zakwalifikowanych do dalszej pracy zarejestrowano w KL Auschwitz (ok. 3000 mężczyzn i kilkadziesiąt kobiet) i skierowano do pracy, głównie w jego podobozach.

Pozostałych, których było znacznie więcej, umieszczono w obozie na okres przejściowy, bez rejestracji, jako „Żydów tranzytowych” (Durchgangsjuden), czyli tzw. więźniów depozytowych, oczekujących na decyzję co do ich dalszego losu - skierowania do pracy lub do komory gazowej. Mężczyzn z getta w Łodzi umieszczono w obozie przejściowym w Birkenau, w wydzielonych barakach sektora Bile (funkcjonującego do 2.08.1944 przede wszystkim jako rodzinny obóz dla Cyganów - Zigeunerlager), a kobiety w sektorze B II c.

Więźniowie ci byli nieustannie szykanowani przez nadzorujących ich esesmanów i niektórych więźniów funkcyjnych - byli znieważani, bici, nierzadkie były przypadki morderstw. Warunki egzystencji były gorsze od tych, w jakich przebywali więźniowie w innych częściach obozu, codziennie przeprowadzano uciążliwe pod względem fizycznym i

psychicznym apele, często połączone z selekcjami, po których więźniów uznanych za niezdolnych do pracy kierowano na śmierć w komorach gazowych. Do tego dochodził nieustanny widok dymów z kominów krematoriów, odór palonych ciał ludzkich, i przede wszystkim niepokój o los krewnych, z którymi zostali rozdzieleni zaraz po przyjeździe, na rampie kolejowej. Wszystko to powodowało, że w wielu relacjach tych, którzy ocalali pojawia się stwierdzenie, że przywiezieni zostali do piekła.

W transportach z KL Auschwitz do pracy w głębi III Rzeszy, od drugiej połowy sierpnia do listopada 1944r., wywieziono łącznie ok. 19 tys. Żydów łódzkich („więźniów depozytowych”).

Przed wyjazdem poddawani byli selekcji - brano pod uwagę albo tylko względnie dobrą kondycję fizyczną, albo też kwalifikacje zawodowe. Niektórzy więźniowie więc, aby zakwalifikować się do wyjazdu, podawali się za właśnie poszukiwanych fachowców. Wielu podawało też wcześniejszą lub późniejszą datę urodzenia.

Procentowo najwięcej Żydów i Żydówek pochodzących z getta łódzkiego skierowano do KL Stutthof (ok. 7000, głównie kobiet) i KL GrossRosen (co najmniej 4800, w większości mężczyzn). Niemale grupy skierowano też do obozów: BergenBelsen, Dachau, Neuengammei Flossenburg. Poza tym, stosunkowo niewielu, wywieziono do: KL Buchenwald, KL Mauthausen i KL Sachsenhausen.

Dokładna liczba ocalałych - z ponad 200-tysięcznej ludności getta - nie jest znana. Według różnych szacunków mieści się ona między 5 a 15 tys. osób. Większość z nich stanowili ci, których deportowano z Łodzi do KL Auschwitz i dalej do innych obozów.

Z KL Auschwitz wysłano do obozu koncentracyjnego GrossRosen (przeważnie bezpośrednio do jego podobozów, z pominięciem obozu macierzystego) co najmniej 14 transportów, w których znaleźli się Żydzi z getta łódzkiego: w końcu sierpnia 1944: do podobozu Christianstadt, ok. 400 kobiet; do podobozu Sackisch co najmniej 300 kobiet; do podobozu Mittelsteine, ok. 100 kobiet; w końcu sierpnia i we wrześniu 1944: do kompleksu podobozów Riese, ok. 2700 mężczyzn (co najmniej dwa transporty); 4 (5) września 1944: do podobozu Górlitz, 400 mężczyzn; 8 września 1944: do podobozu Friedland, 300 mężczyzn; we wrześniu 1944: do podobozu Langenbielau (Sportschule), co najmniej 6 kobiet; do podobozu Hirschberg, ok. 70 mężczyzn; na początku października 1944: do podobozu Halbstadt, ok. 275 kobiet; do podobozu Merzdorf, ok. 200

kobiet; 19 października 1944: do podobozu Friedland, 12 mężczyzn; w 2. połowie października 1944; do podobozu Birnbaumel, co najmniej 7 kobiet; w październiku/listopadzie 1944: do podobozu Kratzau, przypuszczalnie co najmniej 50 kobiet.

KL GrossRosen^[3] położony był obok wsi GrossRosen (obecnie Rogoźnica), na Dolnym Śląsku. Powstał 1 maja 1941 roku, w wyniku usamodzielnienia, istniejącego w tym samym miejscu od sierpnia 1940r., Arbeitslager (AL) GrossRosen - podobozu KL Sachsenhausen, utworzonego w celu dostarczenia siły roboczej miejscowemu kamieniołomowi. W momencie usamodzielnienia w obozie przebywało 722 więźniów; 1.10.1941r. liczba więźniów osiągnęła stan ok. 1200 osób. Na koniec 1942r. było w obozie ok. 4100 więźniów, a bieżącą numerację doprowadzono do ok. 6860.

W latach 1941-1942 więźniowie pracowali w kamieniołomie i przy rozbudowie obozu.

Utrzymująca się stosunkowo niewielka liczba więźniów nie pozwalała na oddawanie ich do dyspozycji innym zakładom przemysłowym. Pierwszy podobóz KL GrossRosen AL Breslau-Lissa (Wrocław-Leśnica) utworzono w 1942r., a osadzeni tam więźniowie pracowali przy urządzaniu koszar dla SS. Podobny charakter miał powstały w 1943r. AL Treskau (Owińska koło Poznania).

Podobozy, z których więźniowie pracowali na potrzeby przemysłu zbrojeniowego zaczęły powstawać w drugiej połowie 1943 i w 1944 roku. KL GrossRosen zaczął wówczas przejmować, istniejące na Dolnym Śląsku i w Okręgu Sudety, obozy pracy przymusowej dla Żydów (ZALfJ) tzw. Organizacji Schmelt, a więźniów kierować do pracy w fabrykach przemysłu zbrojeniowego.

Zasadnicza rozbudowa kompleksu obozowego KL GrossRosen przypada na 1944r.

Powiększono wówczas zarówno obóz macierzysty w Rogoźnicy, jak i sieć podobozów, których ogółem powstało około 100. Związane to było m.in. z rosnącym niedoborem siły roboczej na niemieckim rynku pracy, a także z przenoszeniem na Dolny Śląsk zakładów przemysłowych z głębi Rzeszy, nękanych alianckimi bombardowaniami.

Zwiększyła się też liczba więźniów. W 1944r. przyjęto ok. 90 tys. osób, przybyłych m.in. w transportach ewakuacyjnych z zagrożonych zbliżaniem się frontu wschodniego więzień i obozów oraz z przejętych ZALfJ.

W 1943r. numeracja osiągnęła liczbę 15 400, pod koniec grudnia w obozie przebywało ok. 8540 więźniów. W 1944r. numeracja bieżąca doszła do 90 300; w okresie od czerwca do września nowo przybyłym wydawano ponownie numery po więźniach zmarłych, zwolnionych bądź przeniesionych do innych obozów - łącznie numeracją tą objęto ok. 15 000 więźniów.

Według bilansu z połowy stycznia 1945r. w kompleksie KL GrossRosen znajdowało się ogółem 77 904 więźniów, w tym 51 977 mężczyzn i 25 927 kobiet. W 1945r. przyjęto jeszcze ok. 7100 więźniów; numerację doprowadzono do 97 414.

Począwszy od marca 1944 r. do KL GrossRosen kierowane były także kobiety. Wszystkie były narodowości żydowskiej. Pochodziły z wielu krajów europejskich, najliczniej z Polski i Węgier, ale także z Francji, Belgii, Holandii, Czech, Słowacji, Niemiec, Austrii, Rumunii, a nawet z Turcji. Więzione były w 42 podobozach kobiecych. Ich praca wykorzystywana była w zakładach produkujących na potrzeby frontu: w branży tekstylnej, przy produkcji zbrojeniowej, a także przy budowie systemu umocnień, rowów przeciwczołgowych itp.

Ewakuacja i związana z tym likwidacja KL GrossRosen odbyła się w kilku etapach, które podyktowane były operacjami wojsk radzieckich na Śląsku, Łużycach i w Czechach, w okresie od stycznia do maja 1945r.

W ostatniej dekadzie stycznia 1945 r. zlikwidowano podobozы położone na wschód od Odry i wzdłuż samej rzeki. Kobiety skierowano od razu w głąb Rzeszy, natomiast więźniów z filii męskich sprowadzono do obozu głównego. W pierwszej dekadzie lutego wyprowadzono wszystkich więźniów obozu macierzystego i skierowano ich transportami kolejowymi do obozów koncentracyjnych w głębi Niemiec.

Ostatni transport ewakuacyjny opuścił GrossRosen 10.02.1945 roku.

13.02.1945r. do pustego już obozu GrossRosen weszli radzieccy żołnierze 70 Brygady Zmotoryzowanej pułkownika Iwana Iwanowa z 3 Armii Pancerniej Gwardii.

Równocześnie z likwidacją obozu głównego zamknięto dalsze 24 podobozы.

Trzeci etap likwidacji systemu KL GrossRosen trwał od połowy lutego do końca kwietnia 1945 r. W okresie tym miały miejsce przeniesienia więźniów, głównie w kompleksie AL Riese, oraz zlikwidowane zostały niektóre podobozy położone na terenie Saksonii.

Ostatni więźniowie KL GrossRosen odzyskali wolność w dniach 8-9.05.1945 r., wyzwoleni przez wojska radzieckie i oddziały partyzantki czeskiej.

Ogółem przez KL GrossRosen przeszło około 120 tys. więźniów. Liczbę ofiar śmiertelnych szacuje się na co najmniej 40 tysięcy.

Najliczniejszą grupę narodowościową w KL GrossRosen stanowili Żydzi, będący obywatelami bardzo wielu europejskich krajów, następnie Polacy i obywatele ZSRR; mniejsze liczebnie grupy więźniów stanowili Austriacy, Belgowie, Bułgarzy, Czesi, Chińczycy, Duńczycy, Grecy, Francuzi, Holendrzy, Kroaci, Litwini, Luksemburczycy, Niemcy, Norwegowie, Serbowie, Słowacy, Węgrzy i Włosi.



Szczególny charakter wśród podobozów KL GrossRosen miał kompleks filii zlokalizowanych w Górach Sowich, występujących pod wspólną nazwą Arbeitslager Riese.

Kryptonim „Riese” nosiło też przedsięwzięcie budowlane - Bauvorhaben Riese - realizowane w latach 1943 - 1945 na terenie Dolnego Śląska. Celem jego była budowa zespołu kwater dla Hitlera oraz naczelnych władz cywilnych i wojskowych III Rzeszy. Siedzibą Fiihrera miał być zamek Fürstenstein (zamek Książ koło Wałbrzycha), odpowiednio zaadaptowany i wyposażony w podziemny schron. Pozostałe kwatery miały być umiejscowione w Eulengebirge (Góry Sowie). Bezpieczeństwo miało być zapewnione poprzez ulokowanie ich w odpowiednich schronach pod ziemią.

Zasięg tych prac to obszar kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych, w masywie niewielkich, niemal całkowicie zalesionych gór, mających wysokość do 811 metrów n.p.m., znajdujących się w północnozachodniej części Eulengebirge: Wolfsberg (Włodarz), Säuerhöhen (Osówka), Ramenberg (Soboń), Mittelberg (Dział Jawornicki), Saalberg (Jedlińska Kopa), Mulenberg (Moszna) i Schindelberg (Gontowa).

Na terenie Gór Sowich powstać miało łącznie 6 kompleksów składających się z części naziemnej i podziemnej oraz niezbędnej infrastruktury technicznej. Na powierzchni, na zboczach gór budowano różnej wielkości żelbetowe budynki mieszkalne, biurowe i techniczne. W zboczach gór drążono sztolnie prowadzące do głównych wyrobisk komorowych.

Miały się w nich znaleźć, po wzmocnieniu obudową żelbetową, również pomieszczenia biurowe i prawdopodobnie mieszkalne. Całość miała być wyposażona w niezbędną łączność telekomunikacyjną, posiadać odpowiednią sieć dróg, zaopatrzenie w wodę i energię elektryczną.

Wykonanie robót budowlanych i górniczych zlecono Śląskiej Wspólnocie Przemysłowej SA (Industrie Gemeinschaft Schlesien A.G.). Prace rozpoczęto późnajesienią 1943 roku.

Siłę roboczą stanowili początkowo robotnicy przymusowi ze Związku Radzieckiego i Polski oraz włoscy jeńcy wojenni. Pod koniec listopada oraz na początku grudnia 1943 roku w okolicznych miejscowościach zorganizowano dla nich cztery obozy, mogące pomieścić 5200 osób.

W początkowym okresie nie zatrudniano więźniów obozów koncentracyjnych. Zamiar taki był jednak już wtedy brany pod uwagę. Zrealizowano go po przejęciu budowy, na przełomie marca i kwietnia 1944r., przez Organizację Todt. Organizacja ta zatrzymała wszystkich pracujących od początku robotników przymusowych i jeńców wojennych, przede wszystkim jednak uzyskała najtańszą siłę roboczą więźniów obozu koncentracyjnego GrossRosen. Po krótkim czasie stanowili oni najliczniejszą grupę zatrudnionych.

Wszyscy kierowani do obozów kompleksu Riese więźniowie byli narodowości żydowskiej.

Pierwsze transporty przybyły pod koniec kwietnia lub w pierwszych dniach maja 1944 roku.

Początkowo więźniów wykorzystywano przede wszystkim przy budowie kolejnych obozów.

Wielkość przedsięwzięcia budowlanego oraz jego realizacja na rozległym obszarze górskim, wymusiła konieczność założenia niejednego lecz kilkunastu obozów. Ich nazwy utworzono przeważnie od pobliskich miejscowości lub innych nazw geograficznych.

Do podporządkowanego KL GrossRosen AL Riese trafiło kilkanaście tysięcy osób, w większości ludzi młodych i zdolnych do ciężkiej pracy

fizycznej (66% skierowanych tam więźniów było poniżej 40. roku życia). Pracowali w szczególnie trudnych warunkach, przy drażeniu sztolni, rozładunku materiałów budowlanych oraz budowie niezbędnej infrastruktury.

W skład AL Riese wchodziły obozy: Dörnhau (w Kolcach), Erlenbusch (w Ol-szyńcu), Falkenberg (w Sokolcu), Fürstenstein (w zamku Książ koło Wałbrzycha), Kaltwasser (w Zimnej), Lärche (na zboczu góry Soboń), Märzbachtal (w rejonie Głuszycy), Säufewasser (nad potokiem Kłobia, w rejonie góry Osówka), Schotterwerk (w Głuszycy Górnej), Tannhausen (w Jedlince), gdzie też urządzono centralny rewir (szpital obozowy), Wolfsberg (na górze Włodarz), Wüstegiersdorf (w Głuszycy), Wüstewaltersdorf (w Walimiu).

W ośmiu z nich przebywał Abraham Kajzer. Były to: AL Kaltwasser, Zentralrevier Tannhausen, AL Wüstegiersdorf, AL Lärche, AL Wolfsberg, AL Schotterwerk, AL Dörnhau I AL Erlenbusch.

AL Kaltwasser rozpoczął funkcjonowanie ok. 25-28.08.1944, wraz z przybyciem transportu, w którym znalazł się A. Kajzer. Obóz zlokalizowany był na zboczu góry, na południe od drogi łączącej Wüstegiersdorf ze wsią Kaltwasser. Więźniami byli polscy Żydzi, w dużej mierze z łódzkiego getta.

Obóz składał się z nie mniej niż pięciu baraków mieszkalnych, rewiru, kuchni, obieralni warzyw i magazynów. W obozie był też rewir. W miarę wzrostu liczby chorych na rewir zaczęto przyjmować tylko tych więźniów, którzy mieli co najmniej 40 stopni gorączki.

Najczęściej trafiali tam z powodu przeziębień, różnego rodzaju zapaleń i otwartych ran na nogach. Śmiertelność była bardzo wysoka. Najbardziej chorych wywieziono do KL Auschwitz.

Głównym miejscem pracy były obiekty budowane na zboczu góry Ramenberg - więźniowie plantowali i wyrównywali teren pod torowisko kolejki wąskotorowej, nosili szyny, układali tory, wycinali drzewa pod budowę dróg, kopali rowy i zakładali kanalizację, karczowali lasy, rozładowywali wagony z cementem, piaskiem i cegłami, wysypywali kamienie z lor i szuflami zrzucali je do wąwozów, wkopywali słupy pod instalację elektryczną. Część więźniów pracowała przy produkcji kostki do brukowania drogi - wysadzano skały, większe kawałki rozbijano na mniejsze i obrabiano do wymaganego rozmiaru. Więźniowie pracowali na

dwie zmiany, bez względu na warunki atmosferyczne. Wszystkie te prace były bardzo ciężkie i niebezpieczne, często dochodziło do wypadków.

Znane są również przypadki samobójstw.

Mniejsze grupy więźniów, przeważnie nie nadających się już do ciężkiej pracy, kierowano do komand na terenie obozu, m.in. do warsztatu szewskiego, obieralni warzyw i ziemniaków oraz do prac porządkowych.

AL Kaltwasser został zlikwidowany ok. 18.12.1944r. Było to związane z przesunięciem się frontu robót. Zdrowych więźniów, wraz z załogą SS, przeniesiono do AL Larche. Chorych natomiast skierowano do rewiru w AL Dornhau i do Zentralrevier Tannhausen.

Zentralrevier (centralny szpital dla więźniów AL Riese) Tannhausen zlokalizowany był w bliskim sąsiedztwie AL Tannhausen. Składał się z czterech murowanych, parterowych budynków. Szpital zaczął funkcjonować co najmniej od drugiej połowy listopada 1944r. Była tam prowizoryczna sala operacyjna, gdzie przeprowadzano poważniejsze zabiegi chirurgiczne.

W Tannhausen przebywali więźniowie rokujący nadzieję na szybkie wyzdrowienie.

AL Wustegiersdorf został zorganizowany w zabudowaniach fabryki włókienniczej Stóhr, znajdującej się w centrum Wustegiersdorf. Nazywany był też przez więźniów „Lager V”, od numeru jaki widniał na budynku fabrycznym. Powstał w ostatnich dniach kwietnia 1944r.

Liczbę więźniów szacuje się na 700-1000. Byli to w większości polscy i węgierscy Żydzi.

Wykorzystywano ich przede wszystkim przy pracach związanych z budową obiektów w rejonie gór Ramenberg i Sauferhöhen, ale też kierowano do rozmaitych prac na terenie Wustegiersdorf. Więźniowie pracowali m.in. w dwóch komandach, liczących po około stu więźniów, których zadaniem było przeprowadzenie kanalizacji. Ok. 30 więźniów zatrudnionych było na stacji kolejowej, gdzie rozładowywali wagony z prowiantem, piaskiem, kamieniami i drewnem. Więźniowie pracowali też przy karczowaniu lasów, w ślusarni, stolarni, szwalni, warsztacie szewskim, przy rozwożeniu prowiantu do obozów, a także wykonywali prace porządkowe na terenie obozu.

W obozie Wustegiersdorf mieli swoją siedzibę komendant AL Riese i administracja całego kompleksu.

Obóz ewakuowano w lutym 1945 r. W pierwszym etapie ewakuacji więźniowie szli przez góry do Trautenau (Trutnov, w Czechach), gdzie załadowano ich do wagonów. W czasie drogi było wiele ofiar; niezdolnych do marszu rozstrzeliwano. Więźniowie dotarli do KL Flossenbourg.

AL Larche zlokalizowany był na zboczu góry Ramenberg, w lesie, na polanie. Składał się z 12 niskich baraków z dykty, w których umieszczono dotychczasowych więźniów AL Kaltwasser.

Więźniowie kierowani byli do prac związanych z budowanymi obiektami w rejonie góry Ramenberg - drogi, kolejki wąskotorowej, ujęć wody. Przygotowywali wykopy pod fundamenty, a także drążyli sztolnie. Około połowy stycznia 1945r. grupę 40 więźniów chorych, tzw. mużulmanów, przeniesiono do AL Wolfsberg. 8.02.1945r. więźniowie AL Larche przeprowadzeni zostali do obozu Marzbachtal, gdzie przebywali do 14 lutego, czyli do ewakuacji tego obozu.

AL Wolfsberg, największy z wchodzących w skład AL Riese (w listopadzie 1944r. w obozie przebywało ok. 3100 więźniów), został zorganizowany na północnowschodnim zboczu góry Wolfsberg, powyżej drogi łączącej Hausdorf (Jugowice) i Wustewaltersdorf.

Najprawdopodobniej powstał na początku maja 1944 r. Obiekty składające się na obóz były w większości prymitywne i prowizoryczne. Początkowo były to trzy szopy i 100, znajdujących się na stoku góry, zbudowanych ze sklejki tzw. domków fińskich; z czasem wybudowano kilka baraków. Na terenie obozu, tuż przy drutach, znajdowały się baraki załogi SS i Lagerfuhrera, wydział polityczny, kancelaria obozowa, bardzo duża kuchnia, duże magazyny na żywność i opał. Był też punkt szewski i fryzjer obozowy. Nieco dalej znajdował się rewir i kilka baraków, w których mieszkała część więźniów. Reszta więźniów umieszczona była w „domkach fińskich”. Pomieszczenia dla straży obozowej znajdowały się poza ogrodzeniem.

W obozie przebywali głównie Żydzi węgierscy i polscy, ale też greccy, czescy i niemieccy.

Więźniowie pracowali przede wszystkim przy drążeniu sztolni w górze Wolfsberg i Mittelberg.

Ponadto rozładowywali wagony, budowali mosty, zbiorniki wodne, torowiska kolejek wąskotorowych, budynki w Hausdorf. Wykonywali też prace kanalizacyjne i wodociągowe, umacniali brzegi rzeki, karczowali las.

Chorzy więźniowie wykonywali prace porządkowe na terenie obozu oraz pomocnicze w kuchni.

AL Wolfsberg ewakuowano 16.02.1945r. W obozie pozostało około 600-700 więźniów. Po kilku dniach 117 z nich zostało przeniesionych do AL Schotterwerk. 20.02.1945r. 136 więźniów przewieziono do rewiru w Dörnhau. Niewykluczone, że w obozie pozostali jeszcze jacyś więźniowie, ale ich dalsze losy nie są znane.

AL Schotterwerk zlokalizowany był w sąsiedztwie stacji kolejowej Oberwüstegiersdorf (Głuszycza Górna). Nazwa obozu pochodzi od znajdującej się w pobliżu wytwórni szutru. Obóz powstał pod koniec kwietnia lub w maju 1944r. Początkowo więźniowie mieszkali w namiotach, a od jesieni 1944 w 8-10 drewnianych barakach. Barak załogi i pomieszczenie straży znajdowały się poza ogrodzeniem obozowym.

Więźniami byli polscy, węgierscy i greccy Żydzi. Przez obóz przeszło około 1300 więźniów.

Pracowali oni w znajdującym się na terenie Oberwüstegiersdorf kamieniołomie oraz w wytwórni szutru. Kierowano ich również do prac na bocznicy kolejowej w pobliżu stacji Oberwüstegiersdorf, gdzie przeładowywano materiały budowlane na wagoniki kolejki wąskotorowej, a także do robót kanalizacyjnych i stolarskich.

W lutym 1945r. do Schotterwerk przeniesiono część więźniów z ewakuowanego podobozu Wolfsberg. Natomiast część więźniów tego podobozu została dołączona do kolumny ewakuacyjnej, idącej z AL Wüstegiersdorf. Pozostali więźniowie odzyskali wolność 8.05.1945 r. Po wyzwoleniu na terenie obozu zorganizowano szpital dla więźniów, zwany Blumenau.

AL Dörnhau mieścił się w zabudowaniach byłej fabryki dywanów w Dörnhau. Pierwsi więźniowie KL GrossRosen trafili tam 9.06.1944 r. W dwupiętrowym budynku, w którym ulokowano więźniów, w pierwszym okresie istnienia obozu na parterze znajdowały się umywalnia, jadalnia i ubikacje (prawdopodobnie dla załogi), kuchnia obozowa i kancelaria.

Część parteru zajmowała też administracja esesmańska. Na pierwszym piętrze był rewir, na piętrze drugim mieszkali więźniowie uznani za zdrowych, zdolnych do pracy. W sąsiedztwie budynku głównego znajdowała się kuchnia, a także baraki, w których mieściły się warsztaty.

W obozie tym przebywali greccy, polscy i węgierscy Żydzi.

Więźniowie pracowali w cementowni niedaleko Schotterwerk oraz przy ścinaniu drzew.

Budowali drogi, mosty i kanalizację. Wykonywali również prace porządkowe na terenie obozu, pracowali w warsztatach, znajdujących się obok obozu, na stacji kolejowej przy rozładunku wagonów, a także drążyli sztolnie w masywie góry Sauferhöhen.

Co najmniej od października 1944r. obóz zaczął też spełniać funkcję zbiorczego rewiru dla całego AL Riese. Dla więźniów chorych przeznaczono parter i pierwsze piętro, na piętrze drugim przebywali więźniowie „zdrowi”. Kierowano tu ciężko chorych, u których rokowania powrotu do zdrowia, a tym samym zdolności do pracy były nikłe; w związku z tym odnotowywano dużą liczbę zgonów. Tylko między 18 marca a 22 maja 1945r. zmarło 975 więźniów.

Więźniowie odzyskali wolność 8.05.1945r. Chorzy zostali umieszczeni w szpitalach.

Bezpośrednio po wyzwoleniu w obozie został zorganizowany szpital dla byłych więźniów.

AL Erlenbusch znajdował się we wsi Erlenbusch, na łące o powierzchni około 1 hektara.

Obóz powstał w maju 1944r. Składał się z 5 baraków. W obozie była kuchnia i łazienka.

Więźniami byli polscy i węgierscy Żydzi, którzy pracowali na bocznicę kolejowej we wsi Erlenbusch, przy przeładunku materiałów budowlanych. Do ich zadań należało też utrzymanie w dobrym stanie technicznym linii kolejki wąskotorowej. Wykonywali również wykopy pod sieć wodociągową w rejonie gór Saalberg i Wolfsberg.

3.05.1945r. chorych więźniów przeniesiono do Dörnhau. Natomiast zdrowi pozostali w obozie. Kilka dni przed wyzwoleniem więźniowie zostali zamknięci przez SSmanów w barakach. Kiedy zorientowali się, iż załoga opuściła obóz, wydostali się z baraków.

Przez kompleks AL Riese przeszło około 13 000 więźniów. Wszyscy byli Żydami, pochodzącymi z wielu państw Europy, w większości z Węgier i Polski. Śmierć, na skutek morderczej pracy, niedożywienia, zimna i w wyniku samobójstw, poniosło około 5000 więźniów.

Barbara Sawicka

[1] Informacje dotyczące rodziny Kajzerów podano na podstawie: relacji Miriam Meir - siostrzenicy Abrahama Kajzera; informacji przekazanych przez Marka Szukalaka - dyrektora

Fundacji „Monumentum Iudaicum Lodzense” w Łodzi; dokumentów USC w Będzinie oraz publikacji Lodz Names. List of Ghetto Inhabitants 1940-1944, vol. 1-5, Jerusalem 1994, t. 2, s. 1172.

[2] Informacje dot. getta w Łodzi i jego likwidacji podano za: Fenomen getta łódzkiego 1940-1944, pod red. P. Samusia, W. Pusia, Łódź 2006; J. Baranowski, Łódzkie getto 1940-1944. Vademecum, Łódź 2003; A. Galiński, Policja w getcie, w: Getto w Łodzi 1940-1944, Łódź 1988, s. 27-49.

[3] Informacje nt. kompleksu KL GrossRosen zobacz też: A. Konieczny, KL GrossRosen, hitlerowski obóz koncentracyjny na Dolnym Śląsku 1940-1945, Wałbrzych 2006; I. Sprenger, GrossRosen. Ein Konzentrationslager in Schlesien, Köln 1996; Der Ort des Terrors. Geschichte der nationalsozialistischen Konzentrationslager, t. 6, Monachium 2007, ss. 191-473; D. Sula, Arbeitslager Riese, filia KL GrossRosen, Wałbrzych 2003; P. Kruszyński, Podziemia w Górach Sowich i Zamku Książ, Wałbrzych 1989.

Przedmowa

[do wydania pierwszego z 1962 r.]

W 1947 roku zgłosił się do mnie Abram Kajzer z dość niezwykłą propozycją. Napisał, a raczej naszkicował pamiętnik obozowy i chciał, abym opracował go pod względem literackim.

Byłem wtedy sekretarzem Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich. Kajzer trafił do Związku z Łódzkiego Komitetu Żydowskiego. Ówczesny prezes Związku, Jan Brzechwa, skierował go do mnie.

Początkowo do propozycji Kajzera odniosłem się bez zapału. Byłem pod wrażeniem „Medalionów” i „Dymów nad Birkenau”. Nie sądziłem, aby można było, choćby w przybliżeniu, coś równie dobrego napisać. W miarę jednak jak poznawałem Kajzera i jego rękopis, nabrałem przekonania do tej pracy. Zrozumiałem, że opracowanie i wydanie tego pamiętnika jest moim ludzkim obowiązkiem. Te kartki z czasów hańby i męki człowieka nie mogły zniknąć bez śladu.

Abram Kajzer był prostym człowiekiem, łódzkim robotnikiem, tkaczem z zawodu.

Przyniósł ze sobą obszerny rękopis i stos skrawków szarego, grubego papieru z opakowań worków cementu. Skrawki te pokryte były z obydwu stron nieporadnymi i koślawymi literami w języku żydowskim.

- Widzi pan - powiedział - to jest mój „dziennik”. Co dzień kryłem się w latrynach obozowych i na gorąco zapisywałem swoje przeżycia. Chowałem te zapiski w jakimś miejscu, a na wiadomość, że zostają przeniesiony do innego obozu, zbierałem je razem i przybijałem od spodu deski latrynowej.

- Nikt tego nie zauważył? - zapytałem.

- Nie. Już bym przecież nie żył. - A jak je pan odzyskał?

- Po skończonej wojnie otrzymałem rower od kobiety, która mi ocaliła życie.

Objechałem na nim większość obozów, w których przebywałem, i te kartki zabrałem.

To było zdumiewające. Miałem przed sobą człowieka, który przeszedł przez kilka obozów zagłady, zwanych przez Niemców „obozami pracy”. Wyżył, być może, tylko jeden z transportu, składającego się z osiemnastu tysięcy ludzi i mimo wszystko zdołał prowadzić „pamiętnik”.

Nie posiadał w obozach nic więcej prócz pasiaka, drutu, którym się opasywał i małego ołówka chemicznego, którym bazgrał te swoje notatki. To był jego największy skarb.

- Skąd pan wiedział, że ominie pana śmierć? - zapytałem wzruszony.

Uśmiechnął się łagodnie i poruszył kikutami palców straconych w obozach.

- Nie miałem żadnej szansy - odrzekł - ale miałem wiarę. Byłem głęboko przekonany, że ocaleję.

Ocalenie swoje zawdzięczał nie tylko zresztą tej wierze, ale całemu splotowi niezwykle szczęśliwych okoliczności, przede wszystkim jednak zadziwiającej odporności swego charakteru, wytrzymałości nerwowej i żelaznemu zdrowiu fizycznemu. Cała jego rodzina - żona, dziecko, bracia, rodzice - wszyscy zginęli. Pozostał na świecie sam.

Kajzer był człowiekiem miłym, dobrym i mądrym. Jego przyjazny uśmiech mógł rozbroić każde serce. Myśli jego cechowała ludzkość, a uczucia wyrozumiałość. Nie umiał nienawidzić ani gardzić.

Zabraliśmy się do pracy i cały rok pracowaliśmy nad tym dziełem. Nie zawiera ono w sobie nic więcej prócz prawdy. Zachowałem bez zmian wszystko, co Kajzer napisał, co mówił, co można było odczytać z jego niezwykłego „pamiętnika”. Są to jego autentyczne słowa i myśli, jego poglądy i uczucia, a w wielu wypadkach nawet jego styl. Książkę tę napisał Kajzer, a ja tylko uporządkowałem ją i w miarę możliwości „spolszczyłem”.

Wyróżnia się ona, jak mi się zdaje, siłą i szczerością opisu, niezwykłą autentycznością wydarzeń, obiektywnym przedstawieniem niemieckiego systemu łamania i niszczenia ludzi, prostym i mądrym opisem przeżyć duchowych.

Pod względem autentyzmu może być chyba przyrównana tylko do „Kroniki getta warszawskiego” dra Ringelbluma.

Książka ta traktuje, prócz Oświęcimia, o małych obozach zagłady, co, o ile wiem, nie znalazło dotąd wyrazu w literaturze martyrologicznej.

Okoliczności tak się złożyły, że książka ta nie mogła być wcześniej wydana. Sam autor, osamotniony i ciężko chory, zdecydował się na wyjazd do Izraela, gdzie żyli jego dalecy krewni.

Mieszkał dłuższy czas w Tel Awiwie i korespondowaliśmy ze sobą, później jednak korespondencja się urwała. Obecnie, gdy Wydawnictwo Łódzkie podjęło się wydania tej książki, chciałem nawiązać z nim kontakt, ale, niestety, wyjechał nie pozostawiając adresu i wszelkie poszukiwania

nie przyniosły skutku. Być może uda mi się go odszukać i wówczas dowie się, że to, co napisał jakby krwią własną, codziennym umieraniem, męką i poniewierką przekraczającą wyobraźnię ludzką - ujrzało światło dzienne.

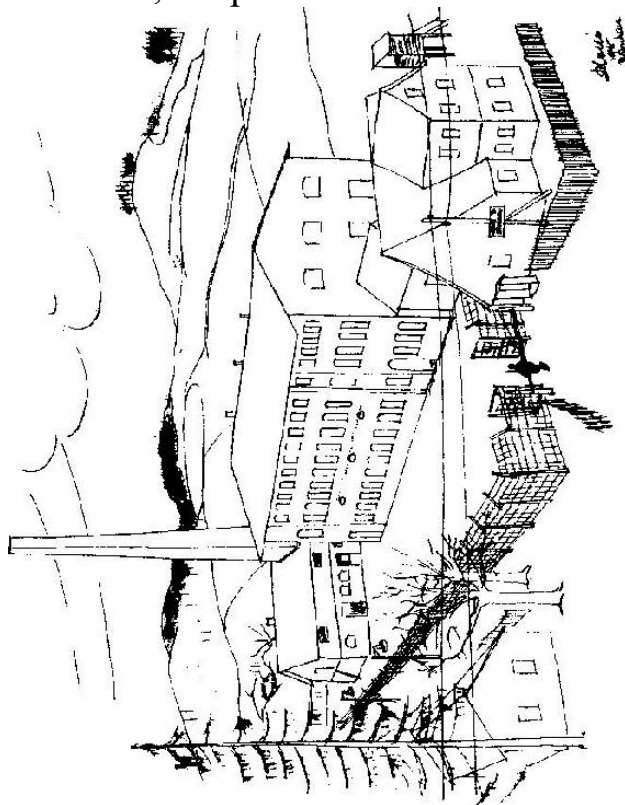
Od chwili, gdy książka ta została napisana, minęło czternaście lat i literatura martyrologiczna wzrosła niepomiernie, myślę jednak, że książka Kajzera nie straciła na swej aktualności, gdyż cierpienia i męstwo człowieka są zawsze aktualne i zawsze nieśmiertelne.

Abram Kajzer był polskim Żydem z Łodzi i kochał swój naród, kochał również Polskę.

Pragnął szczęścia wszystkich ludzi. Głęboko odczuwał wspólnotę męczeństwa i przeraźliwą wymowę krwi, która we wspólną wsiąkała ziemię. Zawsze uważał, że ciężar tej krwi jest wieczystą gwarancją braterstwa obydwu naszych narodów, tak niezmiernie umęczonych przez faszyzm niemiecki.

Być może więc książka ta będzie nie tylko jeszcze jednym wkładem do literatury martyrologicznej, nie tylko jeszcze jednym autentycznym dokumentem z czasów pogardy i zbrodni, nie tylko protestem człowieka przeciwko zbrodniom faszyzmu i wojnom, ale również dowodem przyjaźni i braterstwa wszystkich ludzi.

Adam Ostoja Warszawa, sierpień 1961 r.



*Grafika byłego więźnia I. Halló, przedstawiająca AL Domhau Fkopia ze zbiorów Narodowego Muzeum w
Budapeszcie, Węgry.*

I

Sierpień, 1944

Jesteśmy w pociągu. Rozmawiam z żoną o tym, że może to lepiej, że wyjeżdżamy z łódzkiego getta. Było do przewidzenia, że getto do końca wojny nie utrzyma się, a ciągle niepokoje, wysiedlenia i głód zatruwały każdą chwilę życia. Niech już lepiej będzie ta zmiana - a co ma się stać, i tak się stanie. Długo w takim napięciu nerwowym i tak byśmy nie wytrzymali. Dokąd jedziemy? Chyba do Niemiec na roboty.

Dokąd? No, zobaczymy. Pociąg jedzie dość szybko. W wagonie zaduch nie do zniesienia.

Każdy ma rozwolnienie. Niczyje nerwy nie mogły dotychczasowej udręki wytrzymać. Słucham rozmów współtowarzyszy niedoli. Uważają, że szkoda było tak długo ukrywać się, należało zdecydować się wcześniej na wyjazd. Teraz przynajmniej nie słyszą strzelaniny, kule nie gwiżdżą nad głowami i już nie jesteśmy tropieni jak dzikie zwierzęta przez Schupo i Gestapo.

Nareszcie pierwsza od długiego czasu spokojna noc.

Kiedy przyjedziemy do celu? Może jutro. Pomimo że jedziemy w nieznane i nie wierzymy, aby nas cokolwiek dobrego miało spotkać - nerwy nasze doznały pewnego odprężenia. Bo tutaj, w zamkniętym wagonie, chwilowo czujemy się bezpieczni. Prócz tego mamy pewną nadzieję, że najbliższa przyszłość nie będzie najgorsza. Musi być w tym coś prawdy, że jedziemy na roboty, bo przecież wraz z nami jadą nasze maszyny i narzędzia oraz stoły, ławki i w ogóle całe urządzenie resortowe.

Dziecko moje usypia na moich rękach. Rozścielam na podłodze koc i układam je do snu.

Mimo wszystko nie mam żadnej pewności i nie umiem sobie wyobrazić, co nas będzie czekało z rana. Zawsze lepiej być wypoczętym. Namawiam żonę, aby się trochę położyła i odpoczęła.

Bierzemy naszego synka pomiędzy siebie i kładziemy się. Przytulam do siebie to wygłodzone, wynędzniałe ciało mojego jedyne dziecko. Spoglądam w jego przezroczystą, niewinną twarzyczkę. Udaję, że śpię. Mnóstwo myśli ciśnie się do głowy. Dokąd jedziemy i po co? Czy to nie ostatni raz przyciskam główkę mego dziecka do siebie? Nie! Nie chcę tych myśli dopuścić do świadomości. Walczę z nimi z wysiłkiem. Czuję, jak

zimny pot występuje mi na czoło. Nie chcę, aby żona dostrzegła mój niepokój, aby udzielił się jej i pozbawił ją resztek sił. Myśli wracają jednak uporczywie. Patrzę na moją żonę - widzę jej głębokie, mądre oczy, czytam w nich przerażenie graniczące z obłędem. Żal mi patrzeć w te wierne, rozumne, cierpiące oczy.

Nic nie mówimy do siebie i tylko skłębione myśli rozsadzają głowę. Wtem czuję dotyk jej drżącej ręki.

- Boisz się? - pytam po cichu.

- Nie - odpowiada. - Tylko... czy nie zabiorą nam dziecka... jak myślisz?

Z najwyższym wysiłkiem odpowiadam:

- Bądź spokojna. Co za myśli przychodzą ci do głowy? Przecież to jest niemożliwe, aby uśmiercili wszystkie dzieci. Prócz tego słyszałem, jak Biebow zapowiadał, że rodziny nie będą rozłączane.

Nieludzki niepokój targa moim sercem. Chciałbym już być u kresu podróży. Ogarnia mnie coraz większa niecierpliwość. Noc jest cicha, straszna, czarna. Wokół mrok gęsty, nieprzenikniony.

Staram się zapanować nad sobą. Świta. Pociąg jednostajnie postukując, mknie bez przerwy.

Zmęczone myśli błądzą i tłuką się jak ptaki w klatce. Wreszcie jest już południe. Pociąg gwałtownie się zatrzymuje. Wyglądamy przez szpary w drzwiach. Widzę moc baraków otoczonych drutem kolczastym.

Pociemniało mi w oczach. Słyszę szept:

- Oświęcim... Oświęcim... Oświęcim!

Żona zapytuje:

- Co to jest Oświęcim?

- Miasteczko na Górnym Śląsku - odpowiadam i sam nie zdaję sobie jeszcze w pełni sprawy, gdzie jesteśmy.

- A co to za druty? Popatrz... tyle kobiet jest tam i wszystkie mają obcięte włosy, a dzieci wcale nie widać. Powiedz, co to wszystko znaczy? Czy ty wiesz? Powiedz!

- Te kobiety chyba są przy pracy - odpowiadam - a dzieci pozostały w domu ze starszymi kobietami. Przecież widzisz, że starych kobiet wcale nie widać.

Niepokój mój wzrasta z każdą chwilą. Z daleka słyszać zgrzyt otwieranych wagonów.

Zbliżają się jakieś kroki. Ktoś otwiera drzwi naszego wagonu, stają przed nami ludzie w pasiakach i powiadają:

- Szybko wysiadać! Wszystko zostawić! Zabrać tylko trochę jedzenia w rękę! Prędko!

Prędko!

Widzę, że ludzie ci nie najgorzej wyglądają. Są to Żydzi. Przebiega mi myśl przez głowę:

Jednakże tutaj musi być lepiej niż w getcie. W getcie nikt tak nie wyglądał.

Wzdłuż pociągu, przy każdym wagonie, stoją posterunki. Esesmani kierują wszystkich w jedną stronę. Wszyscy idą posłusznie. Nikt się nie opiera. Po drodze oficer SS ruchem ręki wskazuje i rozkazuje:

- Kobiety w prawo! Mężczyźni w lewo!

Trzymam swojego synka kurczowo za rękę i idę z nim jak zahipnotyzowany. Nie żegnam się z żoną. Nic prawie nie widzę - cała moja uwaga jest skoncentrowana na osobie esesmana, a właściwie na jego władczej ręce, która niedbale segreguje ludzi, kierując jednych w lewo, a drugich w prawo. Przed oczami mam czarne płatki, w uszach przeraźliwy szum. Odrzuca ode mnie moje dziecko i mówi: - Dzieci do kobiet.

Tępy wzrokiem patrzę za moim odchodzącym synkiem tak długo, aż niknie wśród tłumu kobiet. Rozpacz beznadziejna. Ciemność we mnie i przede mną. Zdaję sobie sprawę z tego, że zostaliśmy jeszcze raz haniebnie oszukani. Jednocześnie uświadamiam sobie, że nic nie wiem i nie rozumiem.

Każą nam iść, więc idziemy. Wchodzimy do obozu. Pytam się jednego w pasiaku:

- Dokąd idziemy?

- Zobaczysz - odpowiada. - Do nieba.

Nie myślę już więcej. Staję się otępiały. Posuwam się naprzód jak automat. Wiem, że idziemy, ale jak długo to trwa - nie wiem. Odnoszę wrażenie, że czas zatrzymał się i drepczemy w miejscu. Wreszcie zatrzymują nas i ustawiają w szeregi. Ma się odbyć kąpiel.

Słyszę, jak każą wyłożyć wszystkie rzeczy wartościowe i pieniądze. Po chwili piętrzy się przed nami stos zegarków, złotych pierścionków, pieniędzy, złotych łańcuszków i medalionów, wiecznych piór i innych przedmiotów. Pada komenda - kto wszystko oddał, ma wejść do łaźni.

Wchodzimy i rozbieramy się do naga. Znów stoi przed nami oficer SS i patrzy, jak kto jest zbudowany. Wybiera niektórych, szczególnie chudych i mających wady cielesne - ci zostają wyprowadzeni z powrotem. Idziemy

dalej - czekają już na nas fryzjerzy z tępymi maszynkami i strzygą wszędzie, gdzie tylko człowiek posiada zarost. Szczypie, boli i każdy pragnie, aby jak najprędzej ten zabieg został zakończony i można było wejść do kąpieli.

Po ostrzyżeniu i kąpieli każdy dostaje ubiór więzienny i wychodzi na dziedziniec. Oblędny strach ogarnia mnie, kiedy patrzę na moich towarzyszy. Uprzytamniam sobie całą grozę sytuacji, całą naszą bezsilność.

Ścięte włosy, pasiaki i otaczające nas zewsząd druty elektryczne przekreśliły resztę naszych nadziei. Szczególnie przygnębiająco działa fakt, że nasi współrodacy, Żydzi, tacy sami jak my, którzy prawdopodobnie przebywają tutaj już od dłuższego czasu, są nie mniej okrutni od esesmanów. Od nikogo z nich nie słyszy się słowa nadziei lub otuchy. Toteż każdy z nas zacina się w sobie i błędnym wzrokiem spogląda wokoło, jakby nic nie rozumiał i nic nie czuł.

Gdy wszyscy byliśmy już wykąpani i ubrani, zaprowadzono nas do lagru, jednego z wielu, jakie się tutaj znajdowały. Jak okiem sięgnąć, widać tylko niebo i w równych rzędach poustawiane baraki, ogrodzone drutem kolczastym i drutem naelektryzowanym z napisem:

„Achtung! Hochspannung!”^[1]

W kilkudziesięciometrowych odstępach stoją na słupach budki strażnicze. Z każdej wygląda lufa karabinu maszynowego i tkwiąca przy nim potężna, atletyczna postać esesmana. Wobec tej postaci każdy z nas czuje się śmiesznie małym i słabym, głupim, nic nie znaczącym strzępem ludzkim.

Przy bramie, która oddzielała resztę obozu od baraku kąpielowego, stał esesman i do każdego z nas mówił tonem ni to proszącym, ni to przekonującym:

- Rzućcie mi to, co macie przy sobie cennego, bo i tak wam wszystko zabiorą.

Dajcie... dajcie!

Zacząłem gorączkowo zastanawiać się nad naszym położeniem, gdzie może być moja żona i moje dziecko, gdzie moja matka i moi bracia? Co się z nimi stało? Co z nimi robią? Chyba są tam, za tymi drutami, ale czy się z nimi jeszcze kiedy zobaczę? Och, te druty, te pasiaki, te lufy karabinów maszynowych, ta straszna bezsila! Co tu robić? Czuję piekielny szum w uszach.

Znów nie mogę o niczym myśleć. Jestem w sytuacji osaczonego zwierzęcia. Czy mam biernie poddać się losowi, czy w jakiś sposób walczyć? Chciałbym przemówić do któregoś z mych współtowarzyszy niedoli, ale brak mi siły. Nie mogę słowa wydobyć z gardła. Dławi mnie bezgraniczna rozpacz. Mimo woli myślę: Boże, Boże, czy to Twoja wola? Oglądam się wokół, moi towarzysze idą tak samo jak ja - przygarbieni, zamyśleni, ze spuszczonej głowami, stąpają tak cicho i ostrożnie, jakby szli na stracenie.

[1] Achtung! Hochspannung! - Uwaga! Wysokie napięcie!

II

Zatrzymaliśmy się przed barakiem oznaczonym numerem 25. Przy wejściu kazano nam zdjąć buty i pojedynczo wchodzić. Z lewej strony stał, jak się później przekonałem, blokowy[1], a z prawej Lageraltester[2] i liczylili. Weszło nas ogółem 1500 osób. Wieczór już zapadł. Paliło się światło elektryczne w trzech punktach - pośrodku i w obu końcach. Barak był długi, środkiem podłużnie biegło podmurowanie, około półmetrowej wysokości.

Kierowano nas wszystkich w lewo i kazano ścieśnić się tak, aby wszyscy pomieścili się w środku, gdyż, jak mówił tłumacz, przemawiać będzie sam Lagerfuhrer. Ledwo zdążyliśmy się ustawić, a już posłyszeliśmy odgłos ciosu i jęk uderzonego. Na podmurowaniu stał szpakowaty, rudy, szczupły, dzierżący w ręku grubą laskę, niemiecki Lagerfuhrer, obok drugi, opasły, również z grubym kijem, Niemiec - blokowy, a przy nim trzeci, z ostrzyżonymi przy skórze włosami, dobrze zbudowany Żyd - tłumacz i poganiacz.

Z odrętwienia wyrwał mnie głos dobitny i silny:

- Słuchajcie, koledzy, wiemy, że niektórzy z was posiadają dolary miękkie i twarde, a prócz tego brylanty, złoto, srebro, marki, walutę. Macie to wszystko pochowane w ustach, nosie, w uszach, w dupie. Radzę wam - wydajcie to jak najprędzej, bo my mamy sposoby, aby zmusić was do wydania wszystkiego, nawet jeśli się to znajduje w waszych żołądkach lub kiszkiach.

Im prędzej to wydacie, tym lepiej dla was. Niech się nikt nie łudzi, że mu się uda przed nami cokolwiek ukryć. Powtarzam: wydajcie, co posiadacie, a niezłego wam się nie stanie. Biada jednak temu, kto nie wyda, a znajdziemy u niego sami. Po tych słowach złowroga cisza zapanowała w baraku. Każdy z nas podejrzliwie spoglądał na drugiego. Słowa te takie na mnie wywarły wrażenie, że zacząłem przypuszczać, iż istotnie ktoś mógł ukryć przy sobie jakieś kosztowności. Minęła chwila, potem druga, wszyscy stoją nieruchomo i nikt nic nie oddaje.

Jedni na drugich patrzą błagalnie i oczami mówią: „Oddaj... oddaj... oddaj!”.

Słychać ponownie złowróżbny głos tłumacza:

- No, no! Prędzej!

Wreszcie jeden się decyduje i wychodzi przed szereg. Kładzie sto marek i odzywa się do reszty:

- Oddajcie sami, co macie... Tak przecież będzie dla nas lepiej.

- Kiedy nic nie mamy - odpowiadają niektórzy. - Wszystko, cośmy posiadali, zabrano nam poprzednio. Nie mamy naszych ubrań, skąd więc możemy cokolwiek posiadać?

- Szukajcie jeden u drugiego - wtrąca się tłumacz. - Przeszukajcie również swoje ubrania, bo może coś być wszyte przez poprzedników, a każdy będzie tak ukarany, jakby to było jego.

Szukajcie prędko i oddawajcie!

Wszyscy zaczynają skwapliwie szukać po kieszeniach, w zakładkach materiału, w klapach, w czapkach. Jeden błaga drugiego:

- Jeśli coś masz, oddaj.

- Ty szukaj u mnie, może coś znajdziesz.

Strach widocznie odebrał mi rozum. Mocno żałowałem, że nie mam nic do oddania.

Szukałem po kieszeniach, we wszelkich zgrubieniach ubrania, ale, niestety, nic nie znalazłem.

Nie znaleźli i inni, chociaż wszyscy gorączkowo szukali. Wszystkie oczy błagalnie były utkwione w twarzy tłumacza. Przed sobą mieliśmy groźne kije panów naszego życia i naszej śmierci.

Powoli, przerażająco wypręża się Rudy. Groźnie unosi kij do góry i znienacka ryczy jak podrażniony, wściekły zwierz:

- Nie dajecie?! Dać mi tych tutaj!...

Tłumaczpoganiacz i blokowy zeskakują z podwyższenia, niby rażeni prądem elektrycznym, i rzucają się na nas. Łapią pierwszych z brzegu. Tłoczmy się do kupy, jak stado owiec, na które napada wilk. Nikt nie chce być na zewnątrz, aby jego nie złapano. Niektórzy ze strachu chowają głowy pod drugich. Gdy kto nawet śmierci spojrzy w oczy, pewnie większego strachu nie zazna.

Wtem ruch i zamieszanie ustają. Łapacze pędzą przed sobą ze dwadzieścia osób na środek baraku i bez słowa zatrzymują się przed Rudym. Rudy chwytą pierwszego z brzegu.

Głowę wgniata mu między swoje nogi. Kij oddaje poganiaczowi i, czerwony z wściekłości, ryczy:

- Daj mu dobrze!

Poganiacz skwapliwie chwytając kij do ręki i z całym rozmachem opuszcza go raz po raz na pośladki trzymanego. Słychać głucho uderzenia i skowyt katowanego. Oprawca bije bez litości - jak w martwy przedmiot.

Wszyscy zamierają w bezruchu. Po chwili bity osuwa się bezwładnie na betonową podłogę.

Tymczasem już drugiego trzyma Rudy między nogami. Znowu wznosi się kij i z całym rozpędem opada na ludzkie ciało. Słychać trzask - kij pęka. Gruby bez słowa szybko podaje drugi kij. Sygnalizują głucho ciosy. Nie słychać już jęków. Rudy rozluźnia nogi - drugie ciało pada na podłogę jak ścięte drzewo.

Oprawiają w ten sposób trzeciego, potem czwartego, piątego, szóstego...

Staje mi przed oczami drobna postać mojej żony i wynędzniałe ciało mojego dziecka.

Czy u nich odbywa się to samo? Czy oni to wytrzymają?

Błędnie rozglądam się po baraku. Szukam jakiegoś otworu, przez który mógłbym się wydostać na zewnątrz. Tam rzucę się bez namysłu na druty wysokiego napięcia. Nie mogę dłużej wytrzymać, nie mogę oddychać, nie mogę żyć. Co za zgroza! Myślę o drutach elektrycznych jak o jedynym ratunku. Zdaję sobie sprawę, że w tej chwili jest to niemożliwe.

W każdym razie myśl o tym, że istnieje szansa tej ostatniej ucieczki, jakoś mnie pokrzepia i czuję w sercu ulgę. Postanawiam, że gdy tylko rozwidni się, rozejrzę się za możliwością ucieczki. Jeśli się okaże, że jest to absolutnie niemożliwe, pozostanie mi ta jedyna, ale niezawodna szansa - śmierć na drutach elektrycznych.

Oddany tym myślom, nie widziałem już nic więcej i nie słyszałem. Nie zauważyłem nawet, kiedy ostatni z męczenników został skatowany.

Doprowadził mnie do przytomności dopiero donośny głos tłumacza:

- No, ktokolwiek coś posiada, niech wyda, póki czas!

Wyniośle patrzy na zbitą masę ludzką. Niektórym przenikliwie zagląda w oczy. Ścisk znowu się powiększa. Każdy czyni wysiłki, aby dostać się do środka i możliwie uchronić się w ten sposób od prawdopodobnie mającej nastąpić łapanki.

Ciszę rozdziera ponownie ten sam głos i mówi:

- Między wami są policjanci i wyżsi urzędnicy z getta, słudzy Rumkowskiego.

Wszyscy wystąpić, bo mamy waszą listę i znamy was! Wystąpić! Prędzej!

Wśród ludzkiego tłumu znów niespokojne poruszenie. Każdy patrzy w twarz najbliższego sąsiada. Zalega cisza. Niepokój wzrasta.

W innych okolicznościach może byłbym wskazał, kto był komisarzem lub policjantem w getcie, ale tutaj przed tymi oprawcami, tymi bandytami, stokroć gorszymi od wszystkich innych na świecie? Miałbym ich wydać? Nie! - myślę sobie. - Oni nie mają prawa nikogo sądzić.

Zresztą może i mnie będą uważali za sługę Rumkowskiego? Przecież byłem w straży ogniowej. Oglądam się niespokojnie po moich najbliższych sąsiadach. Czy mnie ktoś z nich zna? Chciałbym pod ziemię się zapaść, byle tylko stać się niewidocznym. Z drugiego końca baraku słychać hałas, krzyki i czyjś głos:

- O, ten był policjantem!

- Nie, nieprawda - broni się ktoś rozpaczliwie. - Ja nie byłem policjantem... ja byłem w straży ogniowej.

Poganiacz wyjaśnia:

- Strażaków nie! Policjantów, komisarzy, wachmistrzów, aspirantów. Ci wystąpić!

Ktoś znów pokazuje na kogoś i ten ostatni zostaje wypchnięty. Broni się zaciekle i krzyczy:

- Ja byłem, ale sam wystąpiłem. Nie mogłem służyć w policji i sam wystąpiłem. Pracowałem ciężko. W stolarni. Jako zwykły robotnik. Są świadkowie. Mogę się wykazać.

Pracowałem na Puckiej, aż do ostatniej chwili!

Nic nie pomaga. Biorą go na środek baraku. Widać jego obłądny strach. Drży na całym ciele.

Poznaję go. Jest to były policjant nazwiskiem Deresz. Nie przestaje tłumaczyć się i woła:

- Ja znam wszystkich policjantów i komisarzy. Ja wam ich pokażę. Wydam. Są tutaj wszyscy! To prawda!

Słowa te trafiają poganiaczowi do przekonania. Momentalnie wypuszcza go z rąk i mówi:

- Dobrze, pokaż!

Deresz wraz z nim wchodzi pomiędzy nas i bacznie ogląda twarze. Wtem zatrzymuje się i przemawia, starając się naśladować głos poganiacza:

- Słuchajcie chłopcy... wyjdźcie sami. Przecież ja znam was wszystkich. Nic się wam nie stanie.

Nikt nie wychodzi. Nikt się nie odzywa. Deresz idzie dalej i palcem wskazuje:

- Ten był... ten był... ten był... i ten też był.

Blokowy i poganiacz wyciągają ludzi nieprzytomnych ze strachu i ustawiają ich obok Rudego. Martwą ciszę przerywają znów odgłosy uderzeń i jęki bitych. Kij ponownie jest w robocie. Poganiacz i blokowy na przemian odstępują sobie pałkę i z wielką wprawą okładają swoje ofiary.

Jeden z katowanych ostatkiem sił dowlóknął się aż do miejsca, gdzie się znajdowałem, z jękiem padł na podłogę i zwinął się w kłębek. Dopadł go poganiacz, bijąc go pięściami, kopiąc nogami i rycząc:

- Ty psie! Mordowałeś tych ludzi, co? Masz za to, masz!

Patrzę na bitego. Poznaje go. Jest to Karolek, wachmistrz z Sonderkommando. Potem podobna historia powtórzyła się z kierownikami resortów. Wreszcie egzekucja się skończyła.

Rudy wyniośle, jak przystało na „nadczłowieka”, z miną władcy i pana schodzi z podmurowania, kierując się ku wyjściu. Poganiacz krzyknął: - Achtung! - Stanęliśmy na baczność. Rudy opuścił barak.

Po wyjściu Rudego nastąpiło odprężenie. Zaczęto szykować się do snu. Poukładano na betonowej podłodze stare, wytarte chodniki. Potem umieszczono nas w pozycji siedzącej przy ścianie. Jeden rząd, potem drugi, trzeci, czwarty... itd. Wszyscy przykucnęli, a później na komendę: „Spać!”, wszyscy ułożyli się do snu.

Jest strasznie ciemno. Nie można nóg wyprostować. Nie można obrócić się. Jeden leży na drugim. Najlepiej mają ci, którzy otrzymali miejsce przy ścianie. Im nikt przynajmniej nie leży na głowie. Mają tylko nogi skrępowane przez ciała leżących przed nimi, natomiast głowy mogą oprzeć o ścianę jak im się podoba. Podkładamy buty pod głowy. Cisza zalega barak.

Chowam głowę w pasiak i cicho płaczę. Mam wrażenie, że niejeden tak samo płacze. Wyczerpany-usypiam.

[1] Blokowy - (niem. Blockaltester), więzień obozu koncentracyjnego, sprawujący władzę nad więźniami zamieszkującymi jeden barak. Blokowy zaliczał się do grupy najbardziej wpływowych więźniów w hierarchii obozowej.

[2] Lageraltester - korzystający z licznych przywilejów więźniów obozu koncentracyjnego, który sprawował władzę nad wszystkimi więźniami w obrębie danego obozu. Lageraltester wykonywał wszystkie rozkazy Lagerfuhrera.

III

Z pierwszym świtem budzą nas. Jest czwarta. Podnosimy się z podłogi i jak cienie - zgarbieni i zgnębieni - wychodzimy przed barak. Jest szarawo i zimno. Zbliża się jesień.

Rozglądam się dokoła. Ze wszystkich baraków wychodzą ludzie. Ludziewidma, ludzie-zjawy. Drepcą ospale i powoli ustawiają się przy swoich barakach. Tworzą koło, tulą się jedni do drugich i rozgrzewają się ciepłem własnych ciał.

Gdy rozwidniło się nieco, poszedłem, aby rozejrzeć się po obozie, i zrobiłem dziwne odkrycie. Oto niedaleko od nas, mniej więcej w odległości dwustutrzystu metrów widać wysoki komin fabryczny. Buchają z niego gęste kłęby dymu i często przedzierają się długie języki ognia. Stałem jak wryty. Podobnego widoku jeszcze nigdy nie oglądałem. Widziałem w życiu dużo dymiących kominów fabrycznych i okrętowych, ale by ogień wylatywał z siedemdziesięciometrowego komina - tego nie widziałem.

Stoję i spoglądam na ten niezwykle widok, wtem obok mnie zatrzymuje się człowiek barczysty, wysoki, w pasiaku, z białą opaską na ramieniu. Czytam napis: „Kapo”^[1]. Co ta nazwa ma oznaczać, nie wiem, domyślałem się jednak, że to musi być jakiś funkcyjny obozowy. Patrzy na mnie, śmiejąc się głupio. Twarz ma niesympatyczną. Nie mogę wytrzymać jego bezczelnego wzroku i chcę odejść, ale siłą mnie zatrzymuje. Wskazuje ręką w prawo od komina, gdzie wprost z ziemi unosi się taki sam gęsty dym z ogniem. Patrzę - i ciągle jeszcze nic nie rozumiem. Dym szarą smugą zasłania resztę horyzontu przede mną. Wyteżam wzrok, ale poza dymem nic nie mogę dojrzeć. W powietrzu czuję zapach mdłej spalenizny. Jestem tak przytępiony ostatnimi przejściami, że trudno mi zebrać myśli.

Kapo patrzy na mnie i zaśmiewa się jakimś zwierzęcym śmiechem. Dusząc się ze śmiechu pyta mnie:

- Co byś wolał? Czy upiec się w piecu, czy też usmażyć tam, na wolnym ogniu?

Od razu oprzytomniałem, jakby mi kto wylał kubel zimnej wody na głowę. Musiałem groźnie na niego spojrzeć, gdyż na chwilę spowaźniał, ale zaraz potem na nowo zaczął się śmiać swym szatańskim śmiechem. Uniósł gruby kij do góry i zaczął mnie okładać, gdzie popadło. Rzuciłem się do ucieczki, drżąc z oburzenia i ze strachu. Pędził za mną, nie szczędząc razów

i przekleństw. W pamięci miałem tyle makabrycznych nocy i dni, które pozostały już poza mną, a tutaj?... Boże wielki! Co za obraz? Piekło! Najprawdziwsze piekło na ziemi i za życia!

Udało mi się jakoś ujść mojemu prześladowcy. Miałem kilka guzów na głowie i podbite oko.

Nic więcej. Czuję w sobie przypływ świeżej siły. Znikło uczucie bólu, głodu i zimna. Wydaje mi się, że jakaś gęsta, ciężka zasłona została zdarta sprzed moich oczu. Pragnę coś czynić, poruszać się, działać. Wszystkie uczucia buntują się we mnie. Instynktownie zdaję sobie sprawę, że wszystkimi siłami powinienem starać się stąd uciec. Uświadamiam sobie, że wszelkie wyobrażenia, jakie miałem o piekło, stają się blade wobec piekła, które ludzie stworzyli tutaj, na tej oświęcimskiej ziemi. Najbardziej bujna ludzka wyobraźnia nie stworzyła nigdy tak ponurego i okropnego obrazu. Okazuje się, że rzeczywistość jest straszliwsza od ludzkiej wyobraźni, ale ostatecznie tę rzeczywistość stworzyli też ludzie.

Stałem pod ścianą bloku i tępo patrzę przed siebie. Myśli miotają się w mojej głowie jak oszalałe. To wybuchają, to gasną. Zbyt wielka liczba wrażeń i przeżyć naraz. Pragnę się zorientować w położeniu lagru, aby ułożyć sobie plan ucieczki. Zdaję sobie jednocześnie sprawę z niewykonalności moich zamierzeń. Ze wszystkich stron kolczaste druty, naładowane elektrycznością. Tam ciągną się prawie bez końca inne lagry, z innymi nieszczęśnikami, innych narodowości. Chwilowo nie ma żadnej możliwości zorientowania się w tym labiryncie.

Z zadumy wyrzywa mnie dźwięk gongu. Powstaje wielki ruch w obozie. Każdy, kto tylko żyje, pędzi przed swój barak i ustawia się w rzędzie do apelu. Ulica obozowa pustoszeje. Wypełniają się szeregi.

Stoimy na baczność. Liczą nas. Ledwie jeden z funkcyjnych skończy liczenie, już drugi zaczyna. Okazuje się, że brak dwóch. Blokowy wydaje polecenie sztabowemu[2], aby sprowadził brakujących z innego bloku. Ten pędzi szybko i niebawem przyciąga ze sobą dwóch wystraszonych ludzi z 23 bloku. Czym prędzej zostają włączeni w szereg. Blokowy groźnym głosem zapowiada:

- Uwaga! Na „Mützen ab”[3] wszyscy zdejmują jednocześnie czapki i stają na baczność.

Musi to klapować, w przeciwnym razie będziemy ćwiczyć cały dzień. Na „Augen rechts”[4]- wszyscy patrzą w prawo. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Zobaczmy - powiada.

Wydaje polecenie sztubowemu, by ten przeprowadził próbę, a sam bierze gruby kij do ręki i staje pośrodku placu. Pewny siebie, z miną znamionującą poczucie wyższości.

Sztubowy, wielce przejęty, wygładza na sobie marynarkę i wydaje rozkaz:

- Achtung! Mützen ab!

Wszyscy stają na baczność i błyskawicznie ściągają czapki z głów. Ale widocznie nie dość błyskawicznie, gdyż blokowy szybko podbiega do szeregów i bez słowa zaczyna bić po obnażonych głowach tych, którzy jego zdaniem spóźnili się. Słysząc uderzenia kija i jęki bitych.

Zwraca się do sztubowego i rozkazuje próbę jeszcze raz powtórzyć.

- Alles... razem! To ma mi lepiej klapować!

Powtarza się to kilkanaście razy i ciągle inni dostają kijem po głowie. Minęła już godzina.

Nogi mdleją.

Wtem podniecony sztubowy podchodzi do blokowego i mówi doń coś po cichu.

Blokowy wysuwa się na środek. Obejmuje wzrokiem wszystkich i mówi:

- Uwaga! Na moją komendę! Achtung! Achtung! Mützen ab! Augen rechts!

Na prawym skrzydle ukazuje się Lagerführer - ten sam, znany już nam poprzednio Rudy.

Blokowy podchodzi, na wzór wojskowy staje przed nim na trzy kroki i melduje:

- Melduję posłusznie blok 25 przy apelu! Stan: 1525 Haftlingów[5].

Wszyscy są na miejscu.

Rudy odnotowuje coś na liście, którą trzyma w ręku. Szybko przelicza obecnych i oddala się.

Pada znów komenda:

- Achtung! Augen geradeaus rührt euch![6]

Z dala słysząc charakterystyczne formuły raportów wykrzykiwanych przed innymi blokami.

Po upływie pół godziny rozlega się dźwięk gongu. Wszyscy rozchodzą się. Ulica lagru znów zapelnia się ludźmi w pasiakach. Znów chodzą kapo z kijami w rękach i kijami torują sobie drogę, bijąc każdego,

kto się pod rękę nawinie. Tutaj w naszym obozie, zwanym „Cygańskim”, mową jest kij.

Biada temu, kto nie od razu zorientuje się, że jeśli przechodzi kapo, trzeba mu dać wolną drogę. W takich wypadkach nieodzownie zapozna się z kijem. Kapo z zasady nie przemawia do zwykłych Haftlingów. Środkiem porozumienia jest uderzenie kijem. W zależności od warunków, trzeba domyślić się, czego sobie pan kapo życzy. Kto nie posiada szybkiej orientacji, jest zawsze maltretowany.

Prawie wszyscy mieszkańcy obozu noszą więzienne pasiaki. Niektórzy jednak są jeszcze w cywilnych ubraniach. Dla nich nie starczyło pasiaków. Funkcyjni mają na rękach opaski z różnymi napisami - dzierżą oni władzę jako blokowi, Lagerältester, kapo, Arzt[7], Stubendienst, Küche[8]... itd.

Stubendienst zaraz po apelu wybrał trzydzieści osób, przeważnie znajomych lub takich, którzy przypadli mu do gustu, i poszedł z nimi do kuchni po obiad, w towarzystwie kapo, który stanowił ubezpieczenie.

Już idą z obiadem. Zewsząd słyhać tę radosną nowinę. Już niosą obiad.
- Ile beczek?

- Osiem dużych! O, jeszcze i trzy małe!

Wyglądam na ulicę lagru. Rzeczywiście widać grupę tragarzy niosących odkryte beczki zjedzeniem, a wokół kręcący się tłum ludzi w pasiakach. Ludzie ci węszą, roją się, przeciskają jeden przez drugiego, zaglądają do beczek. Patrzą tak, jakby się mogli najeść samym widokiem jedzenia. Rozglądają się niespokojnie na wszystkie strony. Kurczą się, chowają głowy w ramiona i raptem, jeden za drugim, wyciągają zza pazuchy, ukryte tam, talerze lub miski, podbiegają i zanurzają szybko swoje brudne naczynia w beczkach zjedzeniem. Potem uciekają ile sił w nogach, a uciekając już chłepcą i połykają pokarm. Świszczą pałki, na głowy ich i plecy spadają ciężkie uderzenia, ale nie zwracają na to uwagi, tylko jedzą i uciekają. Szczęśliwy, kto uchodzi względnie cało ze swoją zdobyczą.

W promieniu kilku metrów od tragarzy ulica pustoszeje. Kapo kijami okładają schwytanych na gorącym uczynku, a nie dość zręcznych, aby w porę uciec. Kilku leży już z rozplatanymi głowami, dając słabe oznaki życia. Rozlane jedzenie miesza się z krwią. Kapo jeszcze się pastwią nad nimi, a tymczasem wygłodzeni ludzie, korzystając z zamieszania, dopadają znów do beczek, zanurzają talerze i uciekają. Przychodzi pomoc w postaci funkcyjnych z opaskami.

Tłum rozpędzono i orszak z beczkami rusza swoją drogą do bloków.

Na placu pozostają cztery trupy. Życiem zapłacili za kilka łyków jedzenia. Przyglądałem się tej scenie. Na nikim śmierć tych czterech nie zrobiła wrażenia. Zupełnie jakby tego rodzaju wypadek był czymś zrozumiałym i normalnym. Nikt nawet nie zadawał sobie trudu, aby ustalić nazwiska zabitych. Tutaj nie ma nazwisk, nie ma ludzi, są jedynie „figury” - jak mówią esesmani. Po prostu ubyły cztery.

Przyszli ludzie z noszami i uprzątnęli zabitych z drogi, aby nie zawadzali więcej. Koniec.

Nikt się nie skarży. Nikt nie płacze. Nie ma nawet żadnych rozmów na ten temat. Każdy jest tylko ciekaw, kiedy rozdadzą zupę, czy zupa jest dobra, czy dadzą pełną miarę? Podobno dają tutaj pełny litr zupy, a nie jak w getcie, gdzie tylko trzy czwarte litra. Prócz tego zupa ma być gęsta.

Muszę przyznać, że na widok zupy sam doznałem uczucia strasznego głodu. Żołądek zaczął domagać się swoich praw, bo przecież już od trzydziestu godzin nic nie miałem w ustach. Głód zabił we mnie wszelkie uczucia i odebrał zdolność logicznego rozumowania. Wszyscy mamy teraz jedno pragnienie: jeść! Skupiamy się koło beczek i niecierpliwie czekamy. Zostają przyniesione garnki, talerze, dzbanki. Ustawiamy się w podwójnym szeregu. Każdy się tłoczy i przestępuje z nogi na nogę, chociaż jedzenia jeszcze nie wydają. Oczekiwanie na posiłek mija w najwyższym napięciu. Zbliżyła się godzina jedenasta. Wreszcie rozdzielają. Chwytną swoją zupę i pożeramy ją w mgnieniu oka. Pijemy, żłapiemy wprost z garnków, dzbanków i talerzy.

Resztę wybieramy rękami i oblizujemy brudne palce.

Po jedzeniu znów wychodzę na ulicę lagru i ostrożnie rozglądam się, aby nie natknąć się na któregoś z kapo. Uczę się zwinnie ich omijać. Przyglądam się twarzom. Poznaje wielu znajomych z getta. Niektórzy przebywają tutaj już od szeregu tygodni. Wszyscy chodzą zgaszeni, przygarbieni, wygłodzeni. Rzadko kto zwraca uwagę na drugiego. Każdy zajęty jest swoimi troskami, swoim nieszczęściem. Wszyscy chodzą, jakby szukali czegoś, chociaż sami nie wiedzą czego. Od znajomych dowiaduję się, że dwaj moi bracia, Maniek i Woluś, są tutaj również w 6 bloku. Idę szybko w tym kierunku, zapominając o środkach ostrożności, toteż obrywam kilka guzów w głowę. To nic. Mam cel przed sobą.

Dobrnąłem do bloku 6. Szukam ich. Dopytuję się. Wtem widzę - są! Oni też mnie spostrzegli. Zbliżyliśmy się szybko i bez słowa podajemy sobie ręce, a później, również bez słowa, padamy sobie w objęcia. Z piersi

naszych wyrywa się spazmatyczny szloch. Nikt nie jest w stanie wypowiedzieć jednego słowa. Tysiące pytań ciśnie się na usta, tylko przez gardło przejść nie mogą. Patrzymy na siebie i rozumiemy się bez słów. Niepotrzebne są słowa. Po co jątrzyć jeszcze otwarte rany? Rozumie to każdy z nas.

[1] Kapo - oznaczenie funkcji pełnionej przez więźniów w niemieckich obozach koncentracyjnych

[2] Sztubowy - (niem. Stubendienst), więzień obozu koncentracyjnego, który sprawował funkcję dozorczyamiatacza w obrębie baraku. Była to najniższa w hierarchii obozowej funkcja, z którą wiązały się niewielkie tylko korzyści.

[3] Mützen ab! - Czapki z głów! - komenda poprzedzająca ceremonię raportu lub zapowiadająca zbliżenie się SSmana.

[4] Augen rechts! - W prawo patrz!

[5] Häftling - więzień.

[6] Achtung! Augen geradeaus rührt euch! - Uwaga! Na wprost patrz!

[7] Arzt - lekarz.

[8] Küche - kuchnia.

IV

- Jak myślicie? - zadaję wreszcie pytanie braciom. - Czy wytrzymamy to wszystko?

- Musimy! - pada zdecydowana odpowiedź Mańka.

Te słowa dodają nam otuchy.

- Najważniejsze to rozwiązać problem głodu - ciągnie dalej Maniek - bo na zimno znalazłem już radę. Ogrzewam się w ustępie. Tam śmierdzi, ale przynajmniej nie wieje i jest trochę cieplej niż na dworze. Gdy tylko chcę się ogrzać, idę do ustępu. Trzeba również czynić wszelkie starania, aby jak najprędzej stąd wyjechać. To jest wszystko, co możemy uczynić.

- Dobrze - mówię - ale w jaki sposób można stąd wyjechać?

- Często się zdarza, że wysyłają od nas ludzi na roboty do Niemiec - wyjaśnia Maniek.

- Trzeba się zorientować i gdy będzie odchodzić taki transport, dołączyć do odpowiedniego bloku i wciągnąć się na listę.

- W takim razie przeniosę się do waszego bloku - proponuję. - Jeśli będziemy razem, to razem wyjedziemy.

- Nie - mówi Woluś po namyśle. - Nie wiadomo, z którego bloku będą wcześniej wysyłali.

Lepiej pozostanmy w swoich blokach i kogo wcześniej będą wysyłali, ten da znać. Sądzę, że tak będzie dobrze.

- Słusznie, ale starajmy się trzymać razem. Przychodźcie do mnie zawsze, gdy będziecie mieli wolny czas.

- Wiesz co - mówi Maniek - widziałem po tamtej stronie drutów twojego kolegę Żychlińskiego. Powodzi mu się nie najgorzej. Pracuje, oni tam mają pod dostatkiem zup, dobrze wygląda. Chodź, zobaczmy się z nim. Może nam da co do zjedzenia, albo chociaż tobie.

Poszliśmy. Czekaliśmy przy drutach dłuższy czas. Prosiłem wszystkich, których widziałem po tamtej stronie, aby go poszukali. Wreszcie się ukazał. Nie okazał żadnego zdziwienia z powodu tego spotkania. Jakby to było zdarzenie zupełnie normalne, z góry przewidziane.

- Ja - oświadczył - przebywam tutaj już dwa lata. Przyzwyczailem się do tego życia i jakoś sobie radzę. Nie martwcie się - i wy również przyzwyczajcie się. Tylko pierwszy okres jest ciężki.

- Słuchaj - mówię - nie mógłbyś nam dać kawałka chleba albo zupy?
Jesteśmy strasznie głodni.

- A co ty myślisz - odpowiedział - że ja mam więcej jedzenia od was?
Dostaję zaledwie jedną zupę dziennie więcej i trzy razy tygodniowo dodatkową porcję chleba, ale odstąpić z tego nic nie mogę.
Zastanowił się chwilę i powiada: - Może macie coś do sprzedania, to mógłbym kupić.

- Na przykład co? - pytam.

Zmierzył mnie wzrokiem i mówi:

- No, coś ze złota. Miękkie, twarde. Dobry zegarek. Brylanty lub coś wartościowego. - Nie, tego nie mamy.

- Za te twoje buty mógłbym ci dać pół chleba, o ile zelówki są całe. No, i do tego trepy.

Zastanów się, i jeśli się zdecydujesz, to po wieczornym apelu przyjdź tutaj, na to samo miejsce. Teraz nie mam więcej czasu. Do widzenia!

Prędko się oddalił. Spoglądałem za nim wściekły i rozgoryczony. Chce kupić moje buty za kawałek chleba. Zapewne chętnie by kupił i moją skórę, gdyby mu się mogła na co przydać.

Stoimy kilka minut przy drutach i obserwujemy, jak odbywa się handel zamienny. Za trzy papierosy można dostać porcję chleba. Za jednego „twardego” bochenek chleba i dwadzieścia papierosów. Kto ma czym płacić, może kupić ręcznik, koszulę, mydło i różne inne cenne przedmioty.

Obok nas siedzi Madziar^[1], który za kęs chleba reperuje podarte obuwie. Przy nim na ziemi leżą porozkładane stare sznurki, zardzewiałe gwoździe, stare kawałki skóry ze zdartych zelówek, jakieś zniszczone podkowy i kilka szewskich prymitywnych narzędzi.

Z drugiej strony, pod ścianą baraku, zajmuje miejsce fryzjer z pomocnikiem. Przed nimi ciągnie się długi ogonek klientów. Klientela składa się z dwóch klas. Do pierwszej klasy należą ci, którzy za golenie płacą kawałkiem chleba. Jest ich niewielu i fryzjer dla nich jest bardzo grzeczny. Przeważnie mają własne mydło, a goląc ich fryzjer pyta, czy brzytwa jest dobra, czy dobrze „bierze”. Goli ich też specjalną brzytwą. Druga klasa - to „kartkowicze”, którzy golą się za otrzymane od sztubowego kartki. Z nimi fryzjer nie robi ceregieli. Goli szybko i niedbale, często kaleczy twarz. Klienci krzywią się, ale nic nie mówią, gdyż dostać od sztubowego kartkę na golenie nie jest łatwo. Dostają ją tylko ci, którzy mają silny zarost, a inni, którzy zdaniem sztubowego mają słaby zarost,

narażają się przy prośbie o kartkę na kilka kopniaków w brzuch lub siniak na twarzy. W związku z tym każdy, kto chce się ogolić, musi przedtem dobrze się namyślić, czy prosić sztabowego o kartkę, czy też zapłacić za golenie Chlebem. Zasadniczo nikomu nie zależy na goleniu, ale jest to konieczne, aby nie popaść w niełaskę u sztabowego, blokowego lub innego obozowego satrapy, bo w takim wypadku pewna jest dodatkowa porcja kopniaków lub kijów.

Naprzeciwko fryzjera, przy drugim bloku, siedzi młody Madziar. Nożem zbiera „masło” z opakowań od margaryny i składa je do zardzewiałego pudełka od konserw. Robi to dokładnie, aby odrobiny tłuszczu nie zostało na papierze. Przed nim leży kilkadziesiąt oczyszczonych papierków, puszka jest już do połowy wypełniona tłuszczem. Wokół niego gromadzą się ludzkie cienie i z lubością spoglądają na te papierki, gdyż o margarynie nikt nawet nie marzy.

Nikt też nie śmie go poprosić o papierek, aby nie oberwać kilku szturchańców w bok. Czasami ktoś podejdzie z kawałkiem chleba i „kupi” za niego kawałeczek „masła”. Wówczas sprzedawca wielkodusznie dodaje nabywcy jeden lub dwa kawałki papieru. Nabywca zlizuje papierek kilkakrotnie i rzuca go - wówczas podbiega jakiś nieszczęśnik, podnosi papierek z ziemi i oblizuje go raz jeszcze, po czym starannie składa go i chowa do kieszeni. Będzie miał w co owinąć kawałek chleba w przyszłości. Ten Madziar należy już do wyższej sfery. Brat jego pracuje w kuchni obozowej i dostarcza mu opakowań z margaryny. Nieco dalej siedzi inny Madziar. W puszkach po konserwach ma do sprzedania „zupę”

- Zimny, gęsty brudny klajster. On też jest uprzywilejowany. I on ma kogoś w kuchni.

Tutaj za wszystko płaci się Chlebem, natomiast w sąsiednim obozie monetą obiegową są „twarde” lub „miękkie”.

Życie w obozie wre i szumi jak w ulu. Można kupić mnóstwo potrzebnych rzeczy, jak pasek lub sznurek do spodni, niekształtną łyżkę z drzewa, własnoręcznie przez sprzedawcę wystruganą, albo też nawet prawdziwą, metalową; nici do szycia, igły, szelki, buty, trepy; nawet koszulę, marynarkę, spodnie ściągnięte z trupa, ze śladami skrzepłej krwi. Czasem zajrzy tu jakiś blokowy i za dwa bochenki chleba kupi paczkę papierosów.

Z ciekawością przyglądam się temu wszystkiemu, jakbym sam nie był jednym z tych nędzarzy, a tylko widzem. Czuję się marnie, jestem okropnie ociążały i słaby. Zwierzam się braciom, że choruję na czerwonkę i nie wiem, co z sobą począć. Maniek radzi mi pójść do lekarza.

- Jest tutaj doktor Altman z łódzkiego getta. Poradź się go. Chodź, pójdziemy razem.

- Nie - mówi Woluś. - Trzeba być ostrożnym. Mogą cię zabrać do pieca.

- Daj spokój - oponuje Maniek. - Przecież nie pójdzie na rewir, tylko prywatnie.

Idziemy. Przed rewirem siedzą lekarze w pasiakach z białymi opaskami na ramieniu, z napisem: „Arzt”. Między nimi poznaję doktora Altmana.

Staję przed nim, kłaniam się, przepraszam i proszę o chwilkę rozmowy. Niechętnie wstaje.

Krótko wtajemniczam go w moją sprawę.

- Dobrze - mówi. - Mogę cię umieścić na rewirze, ale musisz się wpierw zgłosić do lekarza blokowego, a on cię skieruje na rewir.

- Nie o rewir mi chodzi - wyjaśniam - tylko o to, żeby mi pan dał lekarstwo. Na rewir boję się iść.

- Tego uczynić nie mogę, a obawiać się nie masz czego, nic ci na rewirze nie grozi. Zresztą innej rady nie ma, toteż rób jak uważasz i daremnie mi głowy nie zwracaj.

Wy tłumaczyłem ci chyba wszystko dość jasno.

Odchodzę zaniepokojony. Wiem, że chorych na zakaźne choroby kierują po dwóch dniach do pieca. Więc co mam robić? Rewir - to pewna śmierć. Pozostawać bez jakiegokolwiek pomocy lekarskiej w takich warunkach równa się również śmierci. Myślę, że jednak lepiej jest umrzeć naturalną śmiercią niż żywcem zostać spalonym. Niech się dzieje wola boska. Na rewir nie pójdę - postanowiłem. Mogą mnie spalić po śmierci, ale nie przedtem.

Żegnam się z braćmi. Oni kierują się w stronę swojego baraku, a ja śpieszę do mojego. Niedługo będzie apel wieczorny, więc lepiej być na miejscu i nie narażać się. Niebawem gong oznajmia apel. Każdy w najwyższym pośpiechu podąża do swego bloku. Obozowa ulica ożywa na kilka minut i zamiera. Lager jest gotów do apelu. Powtarza się cały poranny ceremoniał.

Odliczanie, liczenie, ćwiczenia, godzinne wystawanie, nadejście Lagerfuhrera. Ma zaczerwienioną twarz, jest pijany. Odbiera raport.

Po raporcie wszyscy skupiają się przed wejściem do bloku. Ten i ów pędzi jeszcze do ustępu, aby na czas wrócić, bo teraz będzie wydany chleb i otwarte wejście do bloku. Kto wpadnie pierwszy, temu się dostanie wygodne miejsce do spania przy ścianie.

Na myśl o chlebie ślina mi napływa do ust. Wyobrażam sobie tę rozkosz, gdy będę się wgryzał w chleb, a potem syty oddam się rozmyślaniom. Jestem już niedaleko bloku. Szybko zdejmuję buty. Podchodzę bliżej. Ktoś z obsługi bloku wtyka mi do ręki kawałek chleba, drugi kładzie kawałeczek margaryny na chleb - i już jestem w bloku. Siadam na ziemi i jem.

Blok się napełnia. Jeszcze kilka minut - światło zgaśnie i będzie można spokojnie myśleć.

Leżę i myślę o pierwszym tutaj spędzonym dniu. Ile to takich dni, tygodni, a może miesięcy wypadnie mi tu przeżyć? Przypominam sobie wszystko, co widziałem: beczki zjedzeniem, trupy z rozplatanymi głowami, kapo, sztabowy, apel, Arzt, blokowy, rewir, targ pod barakiem, dymiący komin z językami ognia, widzę na nowo braci i kolegę Żychlińskiego. Wszystko staje mi jeszcze raz przed oczami; trudno mi uwierzyć, aby przez tak krótki okres czasu ludzie mogli tak się zmienić, nisko upaść i zatracić wszelkie uczucia. Tutaj nikt nie płacze, nikt nie okazuje litości lub współczucia, tak jakby uczucia te były zupełnie obce tym ludziom, jakby ich nigdy nie znali. Czemu jeszcze wczoraj jeden drugiemu okazał trochę serca i współczucia? Przypomniałem sobie życie przedwojenne, a później w getcie, i porównując z tym życiem tutaj, w Oświęcimiu, w „Obozie Cygańskim”, doszedłem do wniosku, że właściwie ludzie wcale się nie zmienili, zmieniły się tylko warunki bytu. Każdy walczy o swoje prawo do życia brutalnie i bez żadnych osłonek. Uprzejmością i delikatnością nic się tutaj nie działo.

Prawo do życia zdobędzie nie tylko najsilniejszy, najbardziej wytrwały i odporny, ale zdobędzie je najbrutalniejszy, mający silne pięści. Tutaj jest fabryka trupów. Tutaj jest masowa produkcja trupów. Szerokie pole do popisu dla złych instynktów i wszelkiej podłości.

Kto posiada choć trochę inteligencji, kto jest wystarczająco podstępny i rzutki, i ma skłonności do okrucieństwa, ten stara się jak najprędzej przystosować do warunków. Tutaj poszukiwani są oprawcy. Nikt nie myśli o tym, co będzie jutro. Tutaj walczy się o życie na dziś i tylko na dziś.

Zdaję sobie dokładnie sprawę z tego, że nie mam tu właściwie żadnej racji bytu. Nie nadaję się do życia w takich warunkach. Nie posiadam tych walorów, które tutaj są potrzebne - jeśli więc zawczasu nie uda mi się stąd wyjechać albo jakimś cudem zaaklimatyzować, zostawię tutaj swoje psie życie, jak tylu innych.

Sen zamyka mi powieki, oczy się kleją. Z pokoiku blokowego zalatuje zapach smażonej kiełbasy i kartofli. Słysząc dźwięk kieliszków i ryki pijanych. Brzęczy tłuczone szkło. Przez otwory w ścianie bloku przecieka dym i mdły zapach palonych ludzkich ciał, zapach ten miesza się z przyjemnym zapachem smażonych kartofli i kiełbasy. Iście szatańska uczta.

[1] Madziar - Węgier; nazwa używana przez więźniów na określenie węgierskich Żydów, którzy tworzyli w obozie zwartą i solidarną grupę.

V

Dzisiaj gong nie budzi. Sztubowi chodzą po bloku, monotennie i cicho nawołując: - Wstać!

Kto błyskawicznie nie wstaje, tego budzą kijami. Każdy zrywa się i szybko wkłada buty.

Bezgłośnie i wolno wypływa masa ludzka z bloku. Jest mroźno. Znów wszyscy skupiają się i tulą do siebie, aby rozgrzać zbolące ciała. Znów, jak wczoraj, odbywa się apel. Po apelu przyszło kilku sztubowych i kapo z innych bloków i wspólnie z naszymi robią przegląd obuwia. Jako tako możliwe obuwie zostaje ściągnięte. Kto stawia opór, jest katowany. Widząc, co się święci, wysliznąłem się z bloku i ukryłem w ustępie. Po przeglądzie wróciłem i czym prędzej sprzedałem swoje buty inżynierowi Grawe za trzy porcje chleba, po czym poszedłem do swych braci. Znalazłem Mańka siedzącego na ziemi. Był w złym humorze - dokuczał mu głód. Gdy wyjąłem chleb, spojrzał na moje nogi i zrozumiał. Potem przyszedł Woluś i we trójkę zjedliśmy chleb.

- Wiesz - mówi Maniek - nie powinienesz być sprzedawać butów, gdyż w trepach ciężko się chodzi.

- Tak, ale gdybym nie sprzedał, zdarliby mi je z nóg, i tak ledwie zdążyłem się ukryć. Teraz przynajmniej nie będę miał tych kłopotów, a co ważniejsze, coś niecoś zjedliśmy.

- A co będzie dalej? To byłoby dobre, gdybyśmy co dzień mieli jedną parę butów do sprzedania. Co teraz sprzedasz? Wiecie, może byśmy spróbowali łapać zupę z kotła? Upadam wprost z głodu.

Spojrzałem na niego przerażony i zaprotestowałem.

- Nie, tak nie wolno. To jest pewna śmierć. Poradzimy sobie, gdyż mogę sprzedać szelki, pasek od spodni i igłę. Powinno nam starczyć na następne trzy dni.

- A ja mam ładny scyzoryk - mówi Woluś - tylko boję się go sprzedawać, bo to własność naszego blokowego. Zgubił go, a ja znalazłem. Trzeba go będzie sprzedać do drugiego obozu, bo nie daj Boże, gdyby go poznał. Z naszym blokowym nie ma żartów - on jest kryminalny, to zupełnie co innego niż twój blokowy, twój jest polityczny.

- W ubiegłym roku, opowiadał mi kolega, było tutaj znacznie gorzej - mówi Maniek. - Codziennie każdy blokowy musiał dostarczyć pewną

liczbę trupów, toteż sztubowi, kapo i unterkapo zabijali ludzi w nocy we śnie, a nad ranem blokowy liczył. Jeśli liczba była niewystarczająca, to sam własnoręcznie zabijał tylu, ilu mu brakowało. Każdy z nich musiał codziennie dostarczyć 70-80 trupów. Blokowi prześcigali się nawzajem. Obecny Lageraltester był wtedy blokowym. Wyróżniał się tym, że zawsze dostarczał najwięcej trupów, toteż awansował na Lageraltestera.

- A dlaczego to miejsce nazywa się „Obozem Cygańskim”? - pytam.

- Gdyż przedtem byli tu Cyganie, wyłącznie Cyganie, tylko funkcyjni byli Niemcami.

W krótkim okresie czasu wykończyli wszystkich, tak że ani jeden nie został. Opróżnili lager dla nas, tylko że teraz polityka obozowa jest już znacznie łagodniejsza. Podobno przyszedł rozkaz, aby nie mordować masowo, bo ludzie są im potrzebni do pracy. Niemcy idą na front, a pracować nie ma komu, więc biorą nas, oczywiście tylko tych, którzy są jeszcze zdolni do pracy. Praca jest ponad siły, więc i ludzie szybko się wykańczają, a do tego czasu oni korzystają z naszej niewolniczej pracy. Oni są mądrzy.

Sprzyskrzyło się nam leżenie na gołej ziemi, wstaliśmy więc i przechadzaliśmy się po obozie.

Właśnie przybył transport Polaków. Sami starcy i dzieci. Ustawieni w trójki, stoją przed blokiem 27.

Wiedzeni ciekawością, śmiało podchodzimy do nich. Pytam ich, skąd przybywają.

Odpowiada mi siwiutki starzec. Inni nie zdradzają ochoty do rozmowy.

- My z Warszawy... Powstańcy - mówi z dumą.

Nic więcej nie mogliśmy się dowiedzieć, gdyż otoczyli nas kapo, zebrali i ustawili po drugiej stronie ulicy, naprzeciw powstańców. Po kilku minutach grupa warszawiaków ruszyła, a w ślad za nią my, w odległości dwustu mniej więcej metrów.

- Bądźcie spokojni - mówi kapo. - Idziemy w pole po darninę. Niedługo powrócimy.

Nie bardzo wierzyłem słowom kapo, ale nie ma rady. Maszerujemy w milczeniu.

Musimy iść. Nikt nie śmie ust otworzyć. Przechodzimy przez bramę naszego lagru i wchodzimy w obręb przyległego, a stamtąd przez ogrodzone pole do następnego lagru. Powstańcy skręcają w prawo, my zaś idziemy w kierunku ogrodzonego pola. Dano nam łopaty. Kopiemy darninę.

Widać stąd powstańców, jak się rozbierają, układają ubrania w kostkę - sami starcy i dzieci.

Pilnują ich esesmani. Pada drobny deszczyk. Niektórzy z więźniów ociągają się z rozbieraniem, szczególnie dzieci. Widać, jak esesmani okładają batami i kolbami starców.

Niektóre dzieci płaczą. Ukradkiem każdy z nas spogląda w tamtą stronę. Wtem słyszymy jakiś odgłos podobny do świstu. To esesman przewrócił na ziemię dziecko, może sześciolatnie, ciężką nogą nadepnął mu na piersi, ręką złapał za nóżkę, przedarł dziecko na połowę i odrzucił tę część, którą miał w ręku, niby kawałek drewna...

Z przerażenia nogi wrosły nam w ziemię. Wszyscy stanęliśmy w miejscu jak wryci, nie wierząc własnym oczom. W tej chwili na nasze barki posypały się uderzenia i rozległy krzyki:

- Robić! Nic nie macie do patrzenia! To nie wasza rzecz! Robić, robić!

Każdy z nas bierze w ręce trzy kawałki darniny. Kapo ustawia nas trójkami i maszerujemy z powrotem do obozu. Ciągłe prześladowanie mnie widziany przed chwilą obraz. Zamykam oczy, ale upiorna scena stale powraca. Nie mogę się jej pozbyć. Dzwoni mi w uszach - nie wiem, czy od uderzenia, które otrzymałem od kapo, czy z przerażenia. Chciałbym krzyczeć, ale strach odebrał mi mowę.

Powracamy przygarbieni i zgnębieni. Składamy darninę przed blokiem i każdy stara się odejść w innym kierunku. Biegnę przed siebie, jakbym chciał uciec przed niedawnym widokiem. Słyszę ten charakterystyczny odgłos, podobny do świstu, i beznadziejny płacz dzieci. Biegnę, a za mną goni świst i płacz. Przed oczami wiruje mi kałuża krwi. Wydaje się, że ta krew, czerwona krew, gotuje się, bulgoce, jakby ziemia nie chciała jej przyjąć.

Zatrzymałem się nieprzytomny przed ustępem. Rozglądam się wokoło, wchodzę i siadam szczęśliwy, że znalazłem schronienie. Czuję się tutaj dobrze. Ściana zasłania pozornie widok krwi, który mam w swojej pamięci. Przymykam oczy. Ciałem wstrząsają dreszcze. Łamanie w kościach, głowa niemożliwie boli, dotykam dłonią skroni - pieką.

Po namyśle wstaję i wychodzę. Słaniam się na nogach jak pijany. Przed oczami - mgła. Idę.

Ledwie mi starczy sił, aby dojść do bloku. Szukam lekarza blokowego. Jest to wysoki, chuderlawy Żyd holenderski.

- Jestem chory - mówię jak najgłośniejszym głosem. - Co?

- Mam gorączkę! - krzyczę.

Trzasnął mnie kijem po głowie.

- Czy nie wiesz, że do lekarza trzeba się zgłaszać z samego rana?

- Kiedy dopiero teraz poczułem gorączkę!

- Aha, masz gorączkę? Chodź, zmierzymy.

Odprowadził mnie pod ścianę bloku i kazał włożyć termometr. Po kilku minutach wyjmuję i patrzy. Ja też się przechyliłem i zaglądam - kilka kresek ponad 40 stopni. W tej chwili wyciął mi siarczasty policzek.

- Ty nie masz co tu zagładać... Ty mużulmanie[1] przekłety! Jutro z rana zgłosisz się u mnie i pójdziesz na rewir, a teraz marsz mi z oczu!

- Kiedy brak mi sił do chodzenia. Może mógłbym wejść do bloku i położyć się trochę?

- No dobrze, chodź, ale jutro z samego rana do mnie! Pamiętaj!

Zaprowadził mnie do bloku i powiedział sztabowemu: - Ten zostanie tutaj.

Chory, gorączkuje.

Spośród grona tych wynędzniałych i zrezygnowanych ludzi wybierano co pewien czas transporty wysyłane do komór gazowych.

Położyłem się przy ścianie na betonowej podłodze. Kurczę się, dreszcze się wzmagają, głowa trzeszczy, w spodniach mokro... ale wszystko jedno - dobrze tutaj i cicho.

Usnąłem. We śnie widzę dymiący komin, płomienie. Z gęstego dymu wyłaniają się co chwila różne twarze i postacie. Znikają, znów się ukazują i rozplywają się w powietrzu. Lecą wolno, niby chmury pędzone wiatrem. Gęsty dym nieustannie te twarze zasłania. Dym znika.

Ukazują się inne postacie, spowite w czarne łachmany. Patrzę z natężeniem... to moje dziecko, a za nim... moja żona... moja matka! Chcę wołać, a nie mogę wydobyć głosu... Chcę za nimi lecieć - nie mogę się poruszyć. Spoglądam w ich stronę błagalnie, ale oni zdają się mnie nie widzieć. Mają kamienne twarze. Unoszą się w powietrzu... całe niebo przesłania czarny dym i na tym tle niezliczone ilości poruszających się postaci. Coraz dalej i dalej odlatują... Znikają...

Jeszcze tylko błyskają niknące, białe punkciki na tle czarnego nieba.

W tej chwili czuję silne uderzenie w brzuch. Otwieram oczy. Nic nie mogę zrozumieć.

Obok stoi blokowy z wściekle wykrzywioną twarzą i woła groźnie:

- Będziesz ty cicho! - Odchodzi.

Przecieram oczy. To był sen. Mara? Tak. Jaka szkoda! Jaka szkoda, że ten blok i Oświęcim nie są snem... Nie mogę z początku pojąć, dlaczego sam jeden znajduję się w bloku? Powoli wszystko sobie przypominam. Dotykam głowy - nie czuję już bólu ani gorączki. Jestem zupełnie rześki. Wstaję i niepostrzeżenie wychodzę z bloku.

[1] Muzułman - pogardliwa nazwa, przyjęta we wszystkich obozach koncentracyjnych, na określenie więźniów, których wygląd zewnętrzny wskazywał na bliską ich śmierć.

VI

Mijają dni. Straciłem już poczucie czasu. Nie wiem, co to za dzień i jaki jest miesiąc.

Wszystko jest monotonne, szare, bezbarwne i beznadziejne. Z braćmi widuję się rzadko. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Nawet gdy się spotykamy, nie rozmawiamy ze sobą. Nie ma o czym mówić. Staliśmy się apatyczni, obojętni na wszystko. Sprzedałem co tylko miałem, nawet pasek od spodni; zamiast paska, opasuję się drutem. Za igłę dostałem zupe i kawałek ołówka. Pilnuję go jak oka w głowie. Łudzę się, że może nadarzy się okazja, aby przesłać list do obozu kobiecego, do mojej żony. W marzeniach widzę już otrzymaną od niej odpowiedź, w której wzywa mnie do wytrwania; przestrzega, abym się nie załamał; twierdzi, że na świecie nie ma nic wiecznego i nadejdzie radosna chwila wyzwolenia, która sprawi, że znów będziemy razem, szczęśliwi...

Całymi dniami poszukuję kawałka papieru, aby mieć na czym pisać. Wyobrażam sobie radość żony, gdy otrzyma własnoręcznie przeze mnie napisaną wiadomość. Pocieszam się tymi pozbawionymi podstaw nadziejami i marzeniami, które dodają mi otuchy i siły do wytrwania. Często pograżając się w tych myślach, podobnych do majaków, znajduję w nich zapomnienie, gdyż odrywając mnie od okropnej rzeczywistości, działają jak narkotyk - uspokajają, łagodzą i koją ból.

Pewnego razu znów poszedłem z grupą więźniów po darninę, pod dowództwem blokowego.

Tym razem poszliśmy w inne miejsce. Rosła tam bujna trawa i piękna kapusta. Kopiemy z wielkim trudem, blokowy przynagla nas kijem. Każdy ma wzrok utkwiony w ziemi. Ze strachu nikt nie ogląda się za siebie, aby nie widzieć zbliżającego się blokowego.

Strach przed uderzeniem jest gorszy od samego uderzenia. Byleby nie widzieć...

W odległości kilku metrów ode mnie jeden z nieszczęśników chwieje się na nogach i w żaden sposób nie może unieść kawałka darniny. Oglądam się. Chcę przyjść mu z pomocą, lecz blokowy już stoi nad nim i wrzeszczy:

- Co, nie możesz? Zaraz ci pomogę!

Rzuca kij i z całych sił okłada go pięściami po głowie, rycząc:

- Czeka! Zaraz będziesz mógł! Zaraz potrafisz!

Leżącego jeszcze kopie, ale ten się już nie porusza. Chwyta go za nogi i wlecze w kapustę.

Widać tam beczkę wystającą z ziemi. Unosi człowieka za nogi do góry, głowę zanurza w beczce z wodą i tak trzyma go kilka minut. Potem wyciąga martwe ciało, odrzuca na bok i wraca do nas, jakby nigdy nic. Każdy z nas wyteża resztki sił i intensywnie kopie, aby go nie spotkał los tamtego.

- Starczy! - woła blokowy. - Zabrać darninę. Idziemy.

Rzucamy jeszcze ukradkiem ostatnie spojrzenie w stronę, gdzie pozostał nasz towarzysz, jakbyśmy chcieli wytłumaczyć się przed nim i prosić, aby nam wybaczył, że go tak samotnego zostawiamy.

Przy wyjściu zatrzymuje nas blokowy i pyta pierwszego z brzegu:

- Coś widział?

- Ano... Że tamten umarł.

- Co?! - ryczy blokowy i wymierza mu uderzenie pięścią prosto w twarz. - Nic nie widziałeś!

Rozumiesz?

- Tak! Nic nie widziałem. Nic nie widziałem!

Blokowy chwyta go jedną ręką za kłapy, a drugą uderza raz po raz w twarz i usta.

Bity, chwieje się na nogach, cała twarz ocieka krwią.

Oprawca zmęczył się wreszcie. Puścił go i sapiąc pochylił się ku ziemi. Podnosi kilka wybitych złotych zębów, ociera je o spodnie swojej ofiary i chowa do kieszeni. Pyta go znów:

- Kto cię tak oporządził?

Brak odpowiedzi. Sąsiad podpowiada szeptem:

- Mów, że upadłeś.

- Upadłem i potłukłem się.

- Tak. To dobrze. Naprzód marsz!

Idziemy, zadowoleni, że tylko na tym się skończyło. Zostajemy zwolnieni z pracy.

Zastępują nas inni, którzy układają z darniny trawnik przed wejściem do bloku.

Usiadłem na ziemi przed blokiem i znów oddaję się rozmyśleniom. Myślę o tym, czy wyjdę stąd kiedy?...Chętnie walczyłbym na froncie, a nie tak bezsilnie przypatrywał się tym okrucieństwom. Czy świat wie o tym, że istnieje Oświęcim? Jeśli tak, dlaczego świat milczy, dlaczego nie wywiera

się żadnej presji na Niemców? Może mogliby wymienić nas na jeńców niemieckich? Każdy z nas poszedłby z największą radością na front i walczyłby do upadłego.

Nikt nie dałby się wziąć żywcem. Przełamalibyśmy najsilniejsze pozycje niemieckie.

Bylibyśmy niezwycięzeni!

Odrywam wzrok od ziemi. Przed sobą mam Oświęcim w całej jego okazałości. Olbrzymi Oświęcim! Nie mogę objąć go wzrokiem. Gdzie spojrzę, tylko druty naładowane elektrycznością. Baraki i bloki. Mrowie ludzkie w pasiakach. Ani drzewa, ani trawy, nawet ptaka żadnego nie widać. Pustynia. Chciałoby się krzyczeć, ale kto nas usłyszy? Kto nas zrozumie? Czy człowiek, który sam tego nie przeszedł, będzie w stanie zrozumieć, że coś takiego istniało naprawdę? Gdzie jest Międzynarodowy Czerwony Krzyż? Czyż świat nie ma sumienia? Jesteśmy wydani na pastwę szatanom w ludzkiej skórze - i co Bóg? Czy w ogóle istnieje Bóg?

Słyszę śpiew. Dziwnie brzmi śpiew w tym morzu cierpienia ludzkiego. Mimo woli kieruję wzrok w stronę, skąd dochodzi. Widzę w sąsiednim bloku człowieka w pasiaku - siedzi przed blokiem z młotkiem w ręce i oczyszcza cegły, podśpiewując sobie. W tym obozie - myślę - widać nie wszyscy mają tak źle, skoro mogą jeszcze śpiewać... Oczyścił właśnie ostatnią cegłę, podchodzi do drutów i ciekawie zagląda do naszego obozu, jakby kogoś szukał. Wstaję i sam nie wiedząc czemu, natrętnie spoglądam w jego twarz, jakbym pragnął, aby zwrócił na mnie uwagę. Kiwnięciem palca daje mi znak, bym bardziej zbliżył się do drutów. Podchodzę.

- Idź do 11 bloku i powiedz Wackowi, blokowemu, by tutaj przyszedł. Czekam na niego. Jeśli z nim wrócisz, dostaniesz chleba.

Poszedłem. Niemało sobie trudu zadałem, nim znalazłem owego Wacka. Okazało się bowiem, że to nie blokowy, lecz zastępca blokowego - Polak. Podchodzę i mówię mu, że ktoś czeka przy drutach. Idzie ze mną.

- Wiesz, Wacek - mówi człowiek, który poprzednio śpiewał - dostałem paczkę z domu. Mam coś dla ciebie. Czekaj, zaraz ci przyniosę.

Ja też czekam. Myśl o kawałku chleba pozbawia mnie zdolności myślenia. Tętni we mnie słowo „chleb”. Przestępuję z nogi na nogę. Niecierpliwię się. Chciałbym go już mieć w rękach.

Już w ustach czuję smak chleba. Ciekaw jestem, ile go dostanę?

Przyszedł z zawiniątkiem pod pachą. Niepokojnie rozgląda się na wszystkie strony.

Ostrożnie podchodzi do drutów i podaje Wackowi paczkę zawiniętą w ręcznik. Ten schwycił ją, nerwowo rozpakował i wyjął zawartość: bochenek chleba, dwie paczki papierosów i kielbasę. Ręcznik rzucił z powrotem, i obydwaj rozeszli się.

Stoję i patrzę... widać zapomniał o mnie. Odchodzi. Wołam za nim, ogląda się, wraca, zbliża się do drutów, sięga ręką do kieszeni, wyjmując kawałek Chleba. Jestem tak wzruszony, że oczy zachodzą mi mgłą, z radości mógłbym skakać: chleb... dla mnie. Chciwie wyciągam rękę przez druty, czuję jak palce mi drętwieją, ściskam chleb w garści, poza tym kawałkiem chleba nic nie widzę. Nie dostrzegam setek par oczu zazdrośnie we mnie utkwionych.

Odchodzę od drutów pomrukując, jak drapieżne zwierzę ze swoją zdobyczą. Ślina cieknie mi z ust. Powoli podnoszę chleb ku wargom. Chcę się przedtem nacieszyć jego widokiem. Czuję go już na języku, gdy nagle... wali się na mnie tłum ludzi. Szarpią mnie ze wszystkich stron, gniotą, przewracają. Leżąc na ziemi kurczowo zaciskam chleb w rękę, bronię się zaciekle. Nikt mi go nie odbierze, chyba razem z życiem. Nie wiem, jak skończyłoby się zajście, gdyby nie nadbiegł kapo z grubym kijem. Zaczął nim walić gdzie popadło. W ogólnym popłochu uciekłem ze swoim skarbem do ustępu. Czuję, jak serce i żołądek podchodzą mi do gardła.

Sapię ze zmęczenia. Zanurzam zęby, wgryzam się zaciekle - kilka kęsów i już po Chlebie.

Ostrożnie oblizuję językiem z kruszynek brudną rękę. Zadowolony mlaskam językiem, ciągle jeszcze czując na nim smak chleba.

Wyczerpany tymi przeżyciami opuszczam ustęp, bezwiednie kierując się w poprzednie miejsce, gdzie zbieram pozostałe na ziemi okruszynki. Spoglądam na drugą stronę drutów jak pies, marząco tym, aby mi ktoś jeszcze rzucił kęs chleba. W uszach dźwięczą mi niedawno zasłyszane słowa: „dostaniesz chleba”, „paczka z domu”. Te ostatnie słowa wywołują rozgoryczenie. On może oczekiwać z domu paczki, a ja?... O, ja nieszczęsny! Gdzie jest mój dom? Gdzie rodzina? Zdechnę i nikt nie będzie wiedział, gdzie pozostały moje prochy. Zresztą nie będzie nikogo, kto by się tym zainteresował. Nikt się nie dowie o moich cierpieniach i głodzie. W godzinie mojego konania nikt za mną nie westchnie. Zdechnę jak parszywy, bezpański pies.

Nie roztkliwiam się nad sobą, tylko pragnę zdać sobie sprawę z mego położenia, wiedząc, że na żadne współczucie nie ma tu miejsca.

Pomyślałem sobie, że należy odrzucić precz wszelkie skrupuły i ratować własne nędzne życie, bez względu na koszt poniżenia. Ponieważ każdy kęs chleba decyduje o życiu, więc nie ma tu o czym myśleć, bo i tak nie znajdę innego wyjścia.

Zaświtała mi myśl, że zamiast jeść dwa razy dziennie - zupę na obiad i chleb wieczorem - lepiej byłoby zjadać to wszystko jednorazowo i przynajmniej raz dziennie zaznać uczucia sytości. Na tę myśl przyjemny dreszcz wstrząsnął moim ciałem. Szczęśliwy i uspokojony tym niezwykłym pomysłem, udałem się w stronę bloku, aby przeprowadzić odpowiednie pertraktacje ze sztubowym Lolkiem.

Sztubowy miał zupę pod dostatkiem, toteż przestały mu smakować - zamieniał je na chleb.

Musiałem wyrzucić na nim dobre wrażenie, bo szybko doszliśmy do porozumienia.

Umówiliśmy się, że za moją porcję chleba będę od niego otrzymywał porcję zupy, przy czym chleb będę dostarczał wieczorem, a zupę otrzymywał nazajutrz. Wobec tego, że akurat była pora obiadowa, wydał mi porcję zupy na kredyt, z tym, że chleb przyniosę o umówionej porze.

Przyjrzał mi się przy tym uważnie, aby nie zapomnieć mojego wyglądu, i zaznaczył, że o ile nie wywiążę się sumiennie z wziętego na siebie zobowiązania, to on się ze mną policzy. Kapo jest jego osobistym przyjacielem i ten właśnie kapo protegował go na stanowisko sztubowego.

W tej chwili nie miało to dla mnie żadnego znaczenia, kto jest jego przyjacielem.

Zagadnienie sprowadzało się do tego, że z miejsca otrzymałem zupę - chociaż była zimna i kartofle zostały z niej wybrane, bo Lolek kartoflami nie gardził. Było to jednak pożywienie, zawierające trochę składników odżywczych, którymi można było jako tako wypełnić żołądek; prócz tego myślałem przezornie, że taki osobnik jak Lolek może mi się jeszcze przydać. Dobrze mieć takie znajomości.

Rzeczywiście, na skutek naszej rozmowy handlowej Lolek traktował mnie uprzejmie.

Nawet wspaniałomyślnie użyczył mi własnej łyżki blaszanej. Podsunął mi również swój taboret. Usiadłem spokojnie i pomimo szalonego głodu jadłem wolno i z umiarem, aby wyrzucić na nim dobre wrażenie. Potem, o dziwo, sam zaproponował mi, abym się położył na jego kójce i odpoczął do apelu wieczornego. Z propozycji tej skwapliwie skorzystałem i

niezwłocznie położyłem się, bojąc się, że mógłby się jeszcze rozmyślić. Nie wpadło mi przy tym na myśl, że postąpił tak gościnnie z obawy, abym nie przeniósł się do innego bloku, gdyż w ten sposób porcja chleba, którą mu byłem winien, mogłaby przepaść wraz ze mną. Tutaj, w Obozie Cygańskim, każdy mógł dowolnie zmieniać blok. Nie miało to znaczenia i nie zwracało niczyjej uwagi. Chodziło tylko o to, aby ogólny stan liczbowy zgadzał się przy apelu.

Byłem z siebie dumny. Nareszcie nauczyłem się, trochę sobie radzić. Transakcja wydawała mi się bardzo korzystna, a prócz tego odczuwałem zadowolenie z powodu zarobionego chleba.

Czułem się dobrze. Chwilowo byłem syty. Jutro ponownie pójde pod druty, może mi się znów uda zdobyć kawałek chleba. Najważniejsze, że czas nie stoi w miejscu i z każdym dniem zbliża nas do końca wojny. Może zdołam przetrwać?

Obok mnie, a znajduję się przecież w pokoju funkcyjnych, gromadzą się sztubowi, którzy z ożywieniem rozprawiają o zdarzeniach dzisiejszego dnia. Mnie nie dostrzegli, gdyż leżę na górnej pryczy, przykryty kocem. Wstrzymuję oddech, aby nie zdradzić swojej obecności, i słyszę, jak jeden ze sztubowych opowiada:

- Sprowadziłem nową laleczkę dla naszego blokowego. To jest, powiadam wam, coś! Świeży jeszcze, nie tknięty, u nikogo nie był. Jest tutaj wszystkiego dwa tygodnie. Dostałem bochenek chleba i wypilem se jednego z blokowym...

I wiecie, co mi powiedział? Zrobi mnie za kapo. Ale mówię wam, dostarczyłem mu chłopaczka jak marzenie. Wygląda na dziewczynkę. Dzisiaj będzie bal, to dopiero. Może i ja tam pójde. Trzy litry są już przygotowane.

Nie chciałem słuchać więcej. Zatkalem sobie uszy palcami. Nie wiem, o czym dalej rozmawiali. Co jakiś czas dochodził mnie prostacki śmiech i rozlegały się ordynarne słowa.

Trwało to tak długo, aż gong obwieścił apel.

Po apelu Lolek jeszcze raz przypomniał mi o chlebie.

- Pamiętaj - powiedział - by nic nie było okrojone, bo ja poznam.

- Nie mam nawet noża - uspokoiłem go.

Ledwie się znalazłem z powrotem w bloku, a już Lolek był przy mnie, zabrał mój chleb i wyszedł. Żal mi ścisnął serce. Każdy siedzi i zajada swój

kawałek chleba, a ja jedynie pocieszam się myślą, że jutro znów dostanę podwójną supę, zjem obydwie porcje razem i będę syty.

Zgaszono światła. W pokoiku blokowego ktoś przygrywa na harmonijce. Słysząc śpiew i tupot tańczących. Zabawa w pełni, a w bloku nędzarze, ciężko wzdychając, walczą ze swoimi myślami i głodnym żołądkiem. Zapach smażonych potraw długo nie pozwala zasnąć.

Nazajutrz do południa tkwiłem przy drutach pełen nadziei, że znów może uda mi się jakimś cudem zdobyć kawałek chleba. Niestety, cud się nie powtórzył...

W sąsiednim obozie przebywali przeważnie fachowcy, Polacy i Niemcy. Większość z nich pracowała poza obozem. Rzadko który pozostawał na dzień w obozie. Ludzie ci mieli zupełnie inne warunki. Nie byli tak głodzeni jak my. Zajmowali się produkcyjną pracą. Budowali nowe baraki, reperowali stare. Każdy z nich miał swoje zajęcie. Po pracy zmęczeni powracali do obozu i odpoczywali w barakach. Niekiedy rozmawiałem z którymś z nich.

Uważali nasze położenie za tymczasowe i zawsze wyrażali nadzieję, że zmieni się ono na lepsze.

- Wasz obóz jest przejściowy - mówili - ponumerują was, a gdy będzie zapotrzebowanie, pójdziecie do pracy, tak samo jak my. Wówczas będzie wam lepiej. Otrzymacie większe racje żywnościowe, koce i prycze do spania. Ci wszyscy, którzy nie zostaną ponumerowani, pojedą na roboty do Niemiec. Tam są lepsze warunki niż tutaj. Dużo zależy od tego, gdzie się trafi - do jakiej firmy lub fabryki. Jeśli do dobrej, to prócz wiktury obozowej dostaje się jeszcze premie w firmie, w postaci różnych produktów żywnościowych i papierosów.

Słuchałem tych opowiadań jak najpiękniejszej bajki. Swoją przyszłość widziałem w różowych barwach, gdyż dotychczas nie byłem numerowany, mogłem więc mieć nadzieję, że zostanę wysłany do Niemiec na roboty.

Rzecz prosta, moi informatorzy nic nie mówili o szczegółach. O szczegółach dowiedziałem się później.

VII

Również dziś skredytował mi Lolek zupę do wieczora. Tym razem obdarzył mnie większym zaufaniem i już mnie nie pilnował. Był tak samo uprzejmy jak wczoraj.

Oświadczył mi, że podobam mu się jako człowiek. I na mnie Lolek wywarł dobre wrażenie. Był jakiś inny niż reszta sztubowych. Zawsze poważny, odnosił się po ludzku do każdego, nikogo nie bił, chyba wówczas, gdy musiał.

Dzisiaj był wyjątkowo rozmowny. Opowiadał mi, że ma ogromnie dużo pracy w bloku, gdyż inni sztubowi nic nie robią. - A mnie - mówił - obarczają całą pracą, a przy tym mam gorzej od nich.

- Dlaczego? - zapytałem. - Czy nie masz tych samych praw, co oni?

- Nie - odrzekł. - Oni są tu już od dawna, natomiast ja dopiero kilka tygodni temu wkręciłem się do bloku przez przypadek. Opowiem ci, jak to było. Byłem tutaj dopiero od kilku dni i nie orientowałem się jeszcze w tutejszych warunkach. Znajdowałem się na dziewiątce. Pewnego dnia, gdy przechodziłem koło tego bloku, zawołał mnie sztubowy i kazał umyć podłogę w pokoju blokowego. Akurat byłem zajęty szorowaniem, gdy wszedł blokowy i zapytał, co tu robię. Nic nie odpowiedziałem, bo ze strachu nie mogłem gęby otworzyć. Blokowy też nic nie mówił, tylko rozejrzał się wokół z aprobatą. Kazał mi zostać i dokończyć szorowania. Dał mi też pół chleba i powiedział, że od tej chwili zostaję w tym bloku sztubowym. Odtąd codziennie sprzątam mu pokój. Gdyby nie to, starzy sztubowi dawno by mnie już wyrzucili. Muszą się jednak liczyć z blokowym, choć nie zaniedbują żadnej okazji, aby mi dokuczyć. Co dzień muszę sprzątać pół bloku, za co dostaję tylko cztery zupy, podczas kiedy oni mają po dziesięć i więcej. Również oni kroją i dzielą chleb i margarynę, mnie zaś dotychczas nic jeszcze z tego nie kapnęło. Niemało też dostają codziennie od blokowego chleba, a ze mną wcale się nie dzielą. Blokowy chyba nic o tym nie wie. Przy sposobności powiem mu. Tymczasem muszę być ostrożny, aby mnie w ogóle nie wylali. Wiesz, w zeszłym tygodniu blokowy wezwał mnie i osobiście wsypał mi pięć batów na gołą dupę, bez najmniejszego powodu. Czasami zdarzają mu się takie napady, a umie być okrutny.

Dalsze opowiadanie musiał przerwać, gdyż obok nas stanął inny sztubowy. Dał mi tylko oczami znak, abym milczał. Pozostałem jeszcze chwilę, po czym odszedłem. Nie miałem gdzie iść, więc udałem się do ustępu. Przez ulicę lagru nie sposób przejść bez narażenia się na otrzymanie porcji kijów od kapo. Chodzą oni po ulicy obozowej i mówią dziwną, niezrozumiałą mową. Jak się dowiedziałem, są to Węgrzy. Wyrzucają siebie jakieś szybkie, niezrozumiałe dźwięki, wywijając przy tym na wszystkie strony kijami. Kto tylko może, ustępuje im z drogi. Tylko przed blokowymi kije ich służalczo opadają, a oni sami zginają się wpół w ukłonie.

Prócz tego przed każdym blokiem siedzą na chodniku sztubowi i kijami okładają tych śmiałków, którzy odważą się przejść po przestrzeni zamiecionej i posypanej piaskiem.

Komu więc znudził się widok ulicy i nie ma gdzie się podziać, idzie do ustępu. Tutaj jest stosunkowo najbezpieczniej i ciepło. Jest to miejsce wymiany wszystkich nowin obozowych.

Tematy są prawie zawsze jedne i te same. Kogo się nowego widziało. Gdzie, kiedy i kogo wykończono. Kto ma krewnych lub znajomych w „Kanadzie”^[1] lub w Sonderkommando, popularnie zwanym „Himmelkommando”^[2]. Rzadko kto skarży się na swój los. Każdy opowiada o swoim bohaterstwie lub szczęściu. Narzekania i skargi na nic się nie przydadzą, gdyż nikt ich tu nie chce słuchać. Nieszczęśliwi ludzie odwracają swe oczy od rzeczywistości, unikając trzeźwego spojrzenia na własne położenie. W każdym razie, w latrynie chwile mijają stosunkowo najmilej. Kto jako tako znosi smród, ten jest stałym bywalcem ustępu.

Zbliża się wieczór. Smutno mi na myśl, że znów będę musiał oddać swój chleb Lolkowi, idę więc do 6 bloku do Wolusia i pożyczam od niego nóż. Doszedłem do wniosku, że źle robię, oddając porcję chleba za porcję zupy. Takiego zdania jestem nie tylko ja, ale i wszyscy inni.

Faktem jest, że bez chleba nie można żyć. Poza tym dowiedziałem się, że Madziary za porcję chleba dają dwie porcje zupy, z czego wynikałoby, że jestem oszukiwany, a w takim wypadku mogę bez skrupułów odkroić z porcji kromeczkę chleba.

Po apelu, gdy wszedłem do bloku, umyślnie zająłem inne niż zwykle miejsce do spania. W ten sposób będę miał dość czasu, aby odkroić kromkę, zanim Lolek mnie zauważy. Ręka mi drży. Spieszę się. Staram się

krajać równo, aby nie było znać. Rozglądam się po bloku. Jeszcze go nie widać. Kładę się na podłodze, głowę przykrywam pasiakiem - jem!
Błogo mi na duszy.

Czuję, jak od tej kromki chleba wstępują we mnie nowe siły. Zakrywam głowę jeszcze szczelniej, abym nie widział, gdy będzie podchodzić do mnie.

Zjadłem już odkrojony kawałek, a jego nie ma. Czuję nieprzepartą chęć, aby wbić zęby w pozostały kawałek chleba. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, co mu powiem, gdy nadejdzie, a chleba już nie będzie. Świadomość, że za chwilę może stanąć koło mnie i zabrać mi resztę chleba, nie pozwoliła mi jednak dłużej zastanawiać się nad wykrętym tłumaczeniem. Wykrętów będę szukał, gdy zajdzie ostateczna potrzeba. Palcami obu rąk wpilem się w miąższ chleba. Wgryzłem się weń bez opamiętania. Odnoszę wrażenie, że Lolek już stoi nade mną. Jeszcze silniej przyciskam chleb do ust i nie odrywając rąk, połykam kęs za kęsem. Zbieram mokre od śliny okruchy i żal mi, że może niepotrzebnie się śpieszyłem, pozbawiając się rozkoszy smakowania chleba. Lolka ciągle jeszcze nie ma. Ostrożnie unoszę pasiak i widzę, że mnie szuka. Zakrywam z powrotem twarz, udając, że śpię, i gorączkowo rozmyślam nad tym, co mu powiem, jak mnie znajdzie. Czuję się, jakbym już był złapany na gorącym uczynku. Przychodzą mi do głowy najrozmaitsze pomysły, ale żaden z nich nie wydaje mi się dobry. Co mu powiedzieć? Co mu powiedzieć?

Wtem gaśnie światło. Oddycham z ulgą. Do rana niebezpieczeństwo jest zażegnane. Teraz mogę spokojnie myśleć. Wreszcie przychodzi zbawczy pomysł! Z rana sam do niego pójde i udając naiwnego zapytam, czemu nie przyszedł do mnie po chleb. Powiem też, że czekałem do zgaszenia światła, a nie mając skrytki, bo w kieszeni chleb zgniótlby się i pokruszył, a prócz tego mogli mi go skraść w czasie snu, zmuszony byłem po prostu go zjeść. Nie ma w tym mojej winy, tylko jego, więc musi zaczekać do wieczora. W ten sposób starałem się sam przed sobą usprawiedliwić z własnego niesumiennego postępowania, uspokajając trawiące mnie wyrzuty sumienia argumentem o lichwiarskiej cenie, jaką zmuszony byłem mu płacić za zupę, choć nie miałem pewności, czy za porcję chleba rzeczywiście można uzyskać dwie zupy.

Ostatecznie doszedłem do przekonania, że wczorajszym chlebem zapłaciłem i za dzisiejszą zupę, toteż nie może się czuć pokrzywdzony, jeśli

dostanie chleb dopiero wieczorem.

Pokrzepiony tymi myślami, zasnąłem kamiennym snem.

[1] Kanada - nazwa przyjęta na określenie brygady roboczej więźniów, zatrudnionych przy rozładowywaniu nowo przybyłych do obozu transportów ludzi. Przy tej okazji więźniowie pracujący w „Kanadzie” zaopatrywali się w pozostawioną przez przybyszów żywność, odzież, a nawet kosztowności. Praca w „Kanadzie” uchodziła za najbardziej intratną i była przedmiotem nieosiągalnych marzeń dla większości więźniów.

[2] Himmelkommando - określenie brygady roboczej więźniów, która usuwała zwłoki z komór gazowych oraz obsługiwała krematoryjne piece.

VIII

Nad ranem obudziłem się z nieprzyjemnymi myślami o Lolku. Powoli, ociężałe i niechętnie wychodzimy z baraków, aby znów uganiać się za łyżką strawy czy kęsem chleba, pomiędzy kijami kapo i blokowych. Niejednemu z nas śmierć już zajrzała w oczy przy zdobywaniu łyku zupy i niejeden z nas padnie dzisiaj trupem przy beczce zjedzeniem lub przy drutach naładowanych elektrycznością.

Wolno, z opuszczoną głową zbliżam się do wyjścia. Spode łba szukam oczami Lolka.

Jest.

Stoi w drzwiach. Widzę, jak mnie wypatruje między wychodzącymi. Mimo woli zawracam. Za mną szubowy wypędza kijem ociągających się, zupełnie jakby gnał stado bydła.

Widzę, że nie ma rady, muszę przejść koło Lolka; nie uniknę tego spotkania. Kurczę się i dławie w sobie wewnętrzny dreszcz. Po chwili zdecydowanie prostuję się i energicznie podchodzę do niego. Z miejsca bezwstydnie zaczynam mu robić wyrzuty, czemu wczoraj nie przyszedł po chleb. Zaskakuję go swoją bezczelnością. Nie może zdobyć się na ostry ton i pokornie mówi:

- Nie szkodzi... daj teraz.

W tonie jego wyczuwam jakby przyznanie się do winy. Widząc tę jego niepewność, nabieram jeszcze więcej odwagi i będąc przekonany, że go pokonałem, odpowiadam dobitnie:

- Teraz zaczekasz do wieczora. Czy miałem całą noc nie spać i pilnować twego chleba? Co?

- Dobrze - odpowiada. Teraz nie mam czasu. Pogadamy później.

Poszedłem dalej, na pozór pewny siebie, ale po apelu starałem się go nie spotkać. Udałem się do 6 bloku i oddałem nóż Wolusiowi, trzymając się jak najdalej od mego bloku. Musiałem jednak powrócić, aby nie stracić swojej porcji zupy. W tym czasie przyszedł blokowy ze szrajberem^[1] i kilkoma kapo, nakazując, aby nikt się nie oddalał z bloku, gdyż niebawem zaczną wszystkich zapisywać na wyjazd.

Radość wypełniła mi serce. Nareszcie wyjadę z tego straszego miejsca!

Funkcyjni krzatali się. Spisują nazwiska, imiona, daty i miejsca urodzenia. Trwa to dość długo. Potem prowadzą nas na plac przed blokiem kąpielowym i ustawiają piątkami. Pada drobny deszcz. Jest zimno. Rozbieramy się do naga i w kolejce czekamy na wejście. Łaźnia mieści się w bloku niczym nie różniącym się od innych bloków. Wchodzi się od ulicy i wychodzi drugim wyjściem od tyłu. Obuwie i trepy pozostawiamy przy wejściu, gdzie zostają obmyte w wodzie, po czym przeniesione do wyjścia i rzucone na stertę. Przed wejściem i przy wyjściu stoi po dwóch esesmanów i kilku kapo. Wchodzimy grupami po pięćdziesiąt osób. Po kąpeli, przy wyjściu otrzymujemy koszule, kalesony i pasiaki - potem szybko należy schwycić trepy. Przy tej sposobności każdemu dostaje się kilka kijów lub uderzeń kolbą i kopniaków. W tej chwili zjawia się szrajber z dwoma esesmanami. Zaczyna się sprawdzanie nazwisk zapisanych według alfabetu. Deszcz pada coraz większy. Wszyscy szczękają zębami z zimna i głodu. Dotychczas miałem nadzieję, że bracia moi, Maniek i Woluś, są również w grupie wyjazdowej, ale po wywołaniu wszystkich nazwisk stwierdzam z przerażeniem, że ich tutaj nie ma. Po odczytaniu listy szrajber kazał wystąpić kilka kroków naprzód tym, którzy jeszcze nie są zapisani. Występuję wraz z innymi. Szrajber w asyście esesmana podchodzi do każdego i notuje nazwisko. Są już przy mnie.

- Ja - mówię śmiało - chciałbym pójść po moich braci. Nie ma ich tutaj. Musieli zawieruszyć się gdzieś w lagrze. Oni też są z 6 bloku i mieliśmy razem wyjechać.

- Nie wolno już odchodzić. Wracaj na swoje miejsce! - odpowiada szrajber.

Odwracam się, by przyłączyć się do swojej grupy, gdy słyszę groźny głos esesmana, mówiącego po niemiecku:

- Chodź tutaj! Co to ma znaczyć?

Spogląda podejrzliwie to na mnie, to na szrajbera, i bada, czy nie porozumiewamy się spojrzeniem, gdyż szrajber jest Polakiem. Zgodnie z rozkazem staję przed nim i stoję nieruchomo. Oczy jego rzucają złowrogie błyski. Szrajber powtarza mu moją prośbę po niemiecku. Niemiec piorunuje mnie wzrokiem i uderza z całych sił w twarz, aż się zatoczyłem.

- Chodź tutaj! - wrzeszczy. Zakrywam twarz rękami. - Stój prosto!

Wymierza mi ponownie kilka potężnych ciosów i daje kopniaka, co ma oznaczać, bym powrócił na swoje miejsce.

Skończyło się spisywanie. Każdy dostaje więzienny numer, po czym rusza poza obóz, gdzie jeszcze raz sprawdzają nasze nazwiska według listy. Zostajemy ustawieni dwójkami, ze wszystkich stron otaczają nas esesmani. Idąc po krętych uliczkach, przez labirynt lagrów, skąd ciekawie spozierają na nas wynędzniali ludzie różnych narodowości, opuszczamy Oświęcim I Obóz Cygański.

Przy drodze, po obu stronach, ustawiono duże skrzynie z chlebem, a w odległości kilkunastu metrów od siebie skrzynie z pokrojoną kiełbasą. Wchodzimy w ten szpaler i każdy z nas dostaje w marszu porcję chleba i kiełbasy.

Idziemy prędko, sapiemy z wysiłku - byle prędzej, byle dalej jakby w obawie, że mogą nas jeszcze zawrócić. Strach spojrzeć za siebie, ale jeśli się spojrzy, to widać jak na dłoni to gigantyczne, ponure miasto cierpień, tę przerażającą fabrykę ludzkiej męki i śmierci. Widać nie kończące się, długie, kolczaste ulice oświęcimskiego obozu z jego dymiącymi bez przerwy kominami i ustawionymi na wieżach karabinami maszynowymi, których lufy skierowane są na, na poły obłąkanych z cierpień i głodu, ludzi.

Skręcamy w prawo. Wzdłuż szerokiej drogi przebiega tor kolejowy. Z prawej i lewej strony okalają go, budzące grozę, wysokie ogrodzenia z drutów kolczastych i elektrycznych.

Z lewej strony toru za drutami są obozy kobiece. Na nasz widok wszystkie kobiety wybiegają i zbliżają się do drutów. Wielu z nas wrywa się z szeregów - poznali swoje znajome, krewne lub żony. Esesmani zaczynają okładać ludzi kolbami karabinów. Płacz i krzyki z obydwu stron rozdzierają powietrze.

W poszukiwaniu żony wyteżam wzrok. Nie widzę jej jednak nigdzie. Trudno kogoś poznać, gdyż wszystkie kobiety są jednakowo ubrane i mają obcięte włosy. Mój towarzysz poznał swoją żonę. Płacząc woła:

- Po wojnie w Łodzi... po wojnie w Łodzi! Do widzenia! Trzymaj się!

Za drutami widać kilka postaci kobiecych z bykowcami w rękach. Uganiają się naokoło i odpędzają kobiety od drutów. Płacz i wrzaski wzmagają się - bicie nie pomaga.

Słyszę kobiecy głos, wzywający mnie po imieniu. W pierwszej chwili nie poznaję. Jest to Benetowa - sąsiadka z getta. Jest bosa i ma obcięte włosy, jak inne.

- Czy widział pan mojego męża? Czy jest z wami? - krzyczy z całych sił.

- Widziałem go. On jeszcze został - odkrzykuję w marszu, nie chcąc tracić drogiego czasu, gdyż szybko nas pędzą naprzód.

- Czy moja żona jest z wami? Niech prędko tutaj przyjdzie!

- Żony pana nie ma tutaj! Ja jej nie widziałam! Może jest w innym lagrze! Może poszła z dzieckiem!

Dalszych słów nie słyszę, bo minęliśmy już ten obóz. Teraz patrzą na nas inne nieszczęśliwe oczy. Znowu mijamy jakiś lager kobiecy. Nieznane cudzoziemki spoglądają na nas z tępą rezygnacją, a my, przejęci grozą, wstrząśnięci do głębi sceną przed chwilą przeżytą, idziemy dalej.

Prześladujący nas obraz długich bykowców w kobiecych rękach, smagających bezlitośnie nasze żony, matki i siostry, wrywa z naszych piersi krzyk niewymownej rozpacz.

Ból ściska nasze serca i rozsadza piersi. Nawet konwojujących nas esesmanówtych wyspecjalizowanych katów i zatwardziałych zbrodniarzywzruszyła nasza bezgraniczna, bezsilna rozpacz, wyrażająca się po prostu w zwierzęcym wyciu całej dwutysięcznej masy ludzkiej. Nie wiem, czy umieli odczuć tę ohydę sponiewierania setek tysięcy i milionów istnień ludzkich, skazanych na powolne konanie wśród najbardziej wyszukanych tortur, wydanych na żer dzikiej hordy niemieckich zboczeńców i sadystów, w każdym razie okrążający nas pierścieniem esesmani maszerowali obok nas w milczeniu, ze spuszczonej głowami. Zdawało się, że przygniatał ich ogrom i ciężar zbrodni. Szli nie spoglądając nikomu w twarz.

Szloch nasz powoli ustawał. Zerwał się silny wiatr. Miałem wrażenie, że wyrwał się z dna piekieł, aby obwieścić światu, całemu światu, prawdę o cierpieniach milionów niewinnych istnień ludzkich, wydanych na pastwę „narodu panów”.

[1] Szrajber - (niem. Schreiber), pisarz. Szrajberami byli więźniowie pracujący w charakterze kancelistów w administracji obozu oraz prowadzący na zlecenie blokowego nieskomplikowaną ewidencję więźniów.

IX

Zatrzymano nas przed uprzednio przygotowanymi wagonami. Są to wagony zamknięte, bydlęce. Oczekuje nas nowa zmiana esesmanów. Szybko i sprawnie odbierają po sto osób.

Wchodzimy do środka. Każdy wyciąga zza pazuchy swój chleb i zaczyna jeść.

Zapada już wieczór. Raz jeszcze rzucam spojrzeniem na tę krainę koszmaru i grozy, osłoniętą przed światem pokrowcem tajemnicy, z świadomością, że pozostawiam tu swoich najdroższych w beznadziejnym oczekiwaniu cudu wyzwolenia. Żegnam się z nimi słowami, które dotkliwie bołą.

Pociąg rusza i nastrój zaczyna się poprawiać. Doznajemy ulgi, jakbyśmy się uwolnili od ciężkiej, przygniatającej zmory. Oddychamy swobodniej. Towarzysze niedoli zbierają się w grupki i, rozprawiając z ożywieniem, dodają sobie wzajem otuchy.

Obok mnie leży na podłodze znajomy, Kalski, były referent II rewiru Ordnungsdienst[1] getta. Głośno płacze i w kółko powtarza:

- Boże! Boże! Zlituj się nad moją biedną żoną!

Chciałbym go pocieszyć, ale brakuje mi słów. Wszystkie słowa wydają się błahe, nic nie znaczące. Co powiedzieć człowiekowi, który przed chwilą widział na własne oczy, jak smagano jego żonę biczem po twarzy, oczach i ustach. Widział przecież, przyglądając się temu bezsilnie, jak padła zemdlona, a może martwa...

- Uspokój się. Płacz ci przecież nic nie pomoże - staram się przemówić mu do rozumu. - Mnie jest gorzej niż tobie... Tyś chociaż widział swoją żonę, a ja nawet nie wiem, co się stało z moimi najbliższymi.

Głaszczę go po głowie jak małe dziecko.

- Zostań ze mną - błaga. - Nie odchodź, nie opuszczaj mnie, trzymajmy się razem.

Rozumiem jego ból. Żal mi go. Widzę, że ten człowiek załamał się kompletnie.

- Nie bój się, nie opuszczę cię - zapewniam go, zdając sobie sprawę z tego, że dla niego nie ma już ratunku. Ktokolwiek załamał się i stracił odporność - ten przepadł.

Uspokoił się. Przysłuchujemy się rozmowom sąsiadów, gdy wtem otwierają się drzwi, w których staje podoficer SS. Wszyscy milkną. Nachyla się ku nam i mówi przyciszonym głosem, jakby chciał nam zdradzić wielką tajemnicę:

- Bądźcie zadowoleni, że wyjechaliście z Oświęcimia. Jedziecie teraz do fabryk, tam wam będzie znacznie lepiej. Będziecie dobrze traktowani. Będziecie mieli jedzenia pod dostatkiem i wygodne spanie. Jutro koło południa zajedziemy na miejsce. Cieszcie się i radujcie! Po tych słowach wyszedł na przedni pomost wagonu. Nadzieja wstąpiła w nasze serca.

Niebawem zaczęliśmy się sprzeczać, co do przyszłego naszego losu. Jedni uważali, że ten Unterscharführer[2] jest przyzwoitym człowiekiem, inni byli zdania, że to taki sam bandyta jak pozostali esesmani, a za jego życzliwością kryje się jakiś podstęp. Porównywano jego zachowanie z polityką Biebową, który namawiając nas do wyjazdu z getta, obiecywał złote góry i szafował wszelkiego rodzaju obietnicami, wszystko zaś po to, aby osłabić naszą czujność i nie dopuścić do powstania oporu w getcie.

Kleczewski, były kontroler Sonderkommando z getta, nie zgadzał się z oponentami.

- Jesteście idioci - mówił. - Przecież nie można porównać obecnej naszej sytuacji z tamtą.

Wtedy mogliśmy się kryć, stawiać opór, a teraz zamknięci jesteśmy w wagonach jak w więzieniu. Wystarczy jeden karabin maszynowy, aby nas wytłuc do nogi. Śmieszne jest wasze gadanie. Nie ulega wątpliwości, że jest tak, jak nam mówił. Radzę też, aby każdy, gdy już będziemy na miejscu, starał się opanować, zapomnieć o nawykach z Oświęcimia, wtedy i oni potraktują nas inaczej. Myślę, że znajdziemy tam możliwość przetrwania do końca wojny we względnie dobrych warunkach. Jeśli zachowamy się jak ludzie, to będziemy po ludzku traktowani.

- Słusznie! - odzywa się ktoś inny. - Mówił mi szrajber, że jedziemy na dobrą placówkę do Wustegiersdorf. No, nie obiecujmy sobie oczywiście zbyt wiele po szwabach. Niech się nikomu nie zdaje, że do pensjonatu nas posyłają. Mam doświadczenie, znam te „dobre” obozy.

W niejednym byłem lagrze. Wszędzie jest prawie jednakowo. Tylko o tyle może być nam lepiej, że jeśli będziemy pracować w fabryce, to nie zaznamy zimna. Czasem można dostać zupy lub kawałek chleba od Niemca.

- Pomimo wszystko i tam nieraz będziemy przeklinać chwilę naszego urodzenia - odezwał się ktoś inny, z kąta wagonu.

Zaczęły się rozmowy. Każdy dobitnie starał się wyrazić swoje poglądy na temat naszej przyszłości. Powstał gwar. Niespodziewanie otworzyły się drzwi, w których ukazała się uzbrojona postać esesmana. Zmierzył do nas z karabinu i powiedział:

- Jeśli się natychmiast nie uspokoiacie sami, to was tym - potrząsnął karabinem - natychmiast uspokoję. Wszyscy stać w miejscu i nie poruszać się!

Wchodzi do środka i sprawdza, czy nikogo nie brakuje. Drugi esesman stoi w drzwiach i przyświeca latarką.

- Ty - zwraca się do Kleczewskiego - zostajesz komendantem wagonu. Jestem odpowiedzialny za wszystkich obecnych i za ciszę. Jeśli raz jeszcze posłyszę głośną rozmowę, tobie przede wszystkim pogruchoczę kości. A wy - zwraca się do nas - macie go słuchać tak, jakbym to był ja. Cisza ma tu być! W każdej sprawie zwracać się do komendanta, gdyż tylko on ma prawo przyjść do mnie.

Powiódł po nas groźnym spojrzeniem.

- Pamiętaj - znów zwrócił się do Kleczewskiego - jeśli spotkasz się z najmniejszym nieposłuszeństwem, zaraz masz mi o tym zameldować.

Ledwie wyszedł, już zaczynają się nowe rozmowy. Z początku słowa rozbrzmiewają cicho - po chwili jest już gwar. Kleczewski bez przerwy zwraca coraz to komuś innemu uwagę na konieczność zachowania spokoju. Uderzył nawet kogoś w twarz. Tłumaczy się przed nami, że musi tak postępować, skoro ponosi odpowiedzialność.

Co piętnaście minut wkracza do wagonu esesman i sprawdza stan liczebny. Uspokajamy go.

- Nikt z nas nie ucieknie, nawet gdyby miał sposobność - mówimy - bo przecież nie ma gdzie uciekać. Nie mamy ani rodzin, ani domów. Poza tym dokąd można uciekać w pasiakach?

Może pan spokojnie spać.

Mimo naszych zapewnień nie mógł się jakoś uspokoić i co kilkanaście minut pojawiał się, aby nas przeliczyć. Za każdym razem wpadał podniecony i wychodził zadowolony. Raz nawet zawezwał Kleczewskiego, któremu dał dwa papierosy, a nawet porozmawiał z nim łaskawie. W napięciu czekaliśmy na jego powrót.

Po kilku minutach Kleczewski wrócił z wyrazem zadowolenia i pewności.

- Słuchajcie - powiedział - wszystko się zgadza, jedziemy do Wüstegiersdorf, tak jak ten Unterscharführer mówił. Zachowujmy się cicho, nie denerwujmy ich, oni są też dobrymi ludźmi, tylko strasznie się boją, aby któryś z nas nie uciekł. Są zmęczeni, chcą spać. Bądźcie zupełnie cicho, bym więcej słowa jednego nie usłyszał, bo będę bezwzględny.

- A skąd masz papierosa?... Daj cuga - ktoś mówi.

Kleczewski wkłada mu papierosa do ust i trzyma. Ten sztachnął się raz, a już podchodzi drugi, potem trzeci. Na nowo powstaje wielki gwar. Kleczewski chce odebrać papierosa, ale ktoś trzyma go mocno za rękę i woła:

- Zaczekaj... ja jeszcze nie miałem cuga!

Zniecierpliwiony i oburzony „komendant” wymierza mu cios prosto w twarz. Rozlega się czyjś głos:

- Nie wyobrażaj sobie, że już jesteś komendantem. To twoje komenderowanie tak się skończy, jak się zaczęło. Inaczej z tobą pogadamy po przyjeździe na miejsce!

- Kto to powiedział? - krzyczy Kleczewski. - Niech natychmiast się przyzna, bo sam go znajdę, a wówczas będzie z nim jeszcze gorzej!

Nikt oczywiście nie chce się przyznać i nikt nikogo nie zamierza wydać. Kleczewski, dotknięty w swej ambicji, chce zameldować o zajściu esesmanowi. Wszyscy zatrzymują go, uspokajają, perswadują. Wreszcie daje się udobruchać, powraca na swoje miejsce i mówi głośno, jakby do siebie:

- Wcale się nie dziwię, że obchodzą się z wami jak ze zwierzętami, bo mowy ludzkiej wy nie rozumiecie, dla was tylko kij jest dobry!

Wszyscy ustępują mu z drogi. Rozsiada się na swoim miejscu, na podłodze, sąsiadom każe się ścieśnić, po czym wygodnie układa się do snu.

[1] Ordnungsdienst - służba porządkowa. Nazwa żydowskiej policji w łódzkim getcie, bezpośrednio podległej Przełożonemu Starszeństwu Żydów.

[2] Unterscharführer, Oberscharführer - nazwy podoficerskich stopni w formacji SS.

X

Około południa zajechaliśmy na małą stacyjkę Wüstegiersdorf. Wysiadamy z wagonów.

Ustawiają nas piątkami i liczą. Liczy esesman, potem Unterscharführer, wreszcie Oberscharführer. Wszystko się zgadza. Otaczają nas ze wszystkich stron esesmani. Ruszamy.

Wydaje mi się, że droga będzie długa, a tu z nóg ciągle spadają mi trepy. Nie mogę w nich iść, a do miasteczka jest jeszcze daleko. Chwytam trepy w rękę i biegnę na bosaka.

Maszerujemy szybkim krokiem. Esesmani przyśpieszają tempa. Niektórzy nie mogą nadążyć i ci są popędzani uderzeniami kolb. Ze wszystkich stron słychać nawoływania esesmanów:

Naprzód! Prędzej, prędzej!

Znajdujący się na przedzie kolumny przyśpieszają kroku tak, że jednolite dotąd szeregi zaczynają się rwać. Powstaje luka i idący z tyłu poganiani są kolbami. Czasami któryś z nich woła: Wolniej, nie możemy nadążyć! - nikt jednak nie zwraca na to uwagi. Ci z przodu posuwają się szybko, popędzani strachem, aby nie dostać kolbą. Dawno już weszliśmy do miasteczka, czego nawet nie zauważyłem, zajęty tylko myślą, aby nie zostać w tyle. Ostre kamienie niemiłosiernie kaleczą mi nogi. Nie zwracam na to uwagi. Idę coraz szybciej, aby tylko nadążyć.

Miejscowa ludność niemiecka obojętnie nas mija. Mieszkańcy miasteczek są widocznie przyzwyczajeni do takich widoków. Spotykamy grupę „pasiaków” zajętych pracą. Są to Żydzi.

Stoją po kolana w rzece. Pozdrawiamy ich w przelocie i pytamy:

- Jak tu jest? Czy ciężka praca?

- Ujdzie. Nie martwcie się. Można wytrzymać! - odpowiadają.

Miny mają dość zadowolone.

Szybko dotarliśmy do końca miasteczka. Skręcamy w lewo i przez mały most wychodzimy na szosę. Drobne, ostre kamyczki boleśnie kłują mnie w stopy. Czuję się tak, jakbym szedł po igłach. Usiłuję w marszu włożyć trepy, przez co zostaję trochę w tyle i niezwłocznie otrzymuję uderzenie kolbą w plecy. Łapię więc trepy do ręki i znów biegnę naprzód.

Skrećamy jeszcze raz w lewo. Idziemy ze sto metrów pod górę, wreszcie zatrzymujemy się przed ogrodzeniem z drutów kolczastych. Otwierają szeroko bramę. Przed wejściem stoi otyły Unterscharführer z laską w rękę i liczy. Wchodzę jeden z ostatnich. Z głuchym łomotem zamyka się brama. Doznaję uczucia, że znalazłem się w potrzasku. Jest to „Lager Kaltwasser”^[1].

Jest tutaj kilka ponumerowanych baraków, oddalonych jeden od drugiego o jakie pięćdziesiąt metrów. Widać stąd całą niedużą wioskę, a na wprost, przy samej szosie, mały budynek fabryczny z napisem: „Leinen Weberei - Karl Tommek”. Chyba w tej fabryce będziemy pracować.

Na dziedzińcu lagrowym ustawiono kilka stołów, na których rozłożono różne papiery i okrągłe blaszki z wybitymi numerami. Wkrótce skupiono nas wokół stołów i zaczęło się wywoływanie nazwisk podług alfabetu. Wywołany podaje swój zawód, wiek, imię, nazwisko - dostaje blaszany numer i przechodzi na drugą stronę dziedzińca. Następnie, pod komendą Lagerkapo, wraz z całą grupą udaje się do bloku.

Na placyku obozowym uwija się między nami kilka osób. Są to również Żydzi, z białymi opaskami na ramieniu z napisami: „Lagerältester”, „Lagerkapo”, „Schreiber”. Ludzie ci mają dla nas dużo wyrozumienia. Rozmawiają z nami jak równi z równymi. Nawet Lagerältester uprzejmie rozmawia z każdym, zadaje pytania, udziela informacji, nie okazując przy tym wcale swojej wyższości, zupełnie jakby był zwykłym Haftlingiem. Otrzymałem numer 18 370, a następnie skierowano mnie wraz z innymi do 5 bloku.

Jest to dość duże pomieszczenie, jak zresztą wszystkie inne. Środkiem bloku biegnie długi korytarz. W obydwu końcach korytarza są wejścia. Po prawej i lewej stronie znajdują się zupełnie puste, numerowane pokoje - bez prycz i bez stołów, tylko ściany z dwoma oknami.

Kapo rozmieszcza nas w tych pokojach, po 50 osób w każdym. Spisuje numery i wyznacza każdemu miejsce na podłodze. Gdy wszyscy już otrzymali swoje numerki i zostali rozdzieleni po blokach, zjawili się Lagerfuhrer i Lagerältester, aby zlustrować pokoje, uzupełnić braki i wyznaczyć w każdym bloku blokowego. Wysłany również został samochód po koce, łyżki, talerze itp. Jednocześnie wydzielono naprędce personel kuchenny, składający się z kucharzy, piekarzy, rzeźników i obieraczy kartofli. Niebawem sprowadzono prowiant i zaczęto gotować kolację. Była

godzina druga w nocy, gdy otrzymaliśmy pierwszą w tym obozie porcję zupy.

Trudno opisać naszą radość. Każdy przejęty był do głębi zmianą, jaka zaszła w naszym życiu.

Brak nam było słów dla określenia naszego nowego Lagerfuhrera za jego troskliwość.

Pojawił się Lageraltester i zapytał, jak nam smakowała zupa.

- Dobrze... dobrze... świetna! - odpowiedzieliśmy wszyscy razem.

- No, to zgaście światło i spać do jutra do siódmej. Dobranoc...

- Dobranoc... dobranoc.

Istny szal radości ogarnął wszystkich. Zewsząd słychać było słowa podziwu i największego uznania dla naszych nowych przełożonych.

Zachwycaliśmy się ich zmysłem organizacyjnym.

Jak prędko zdołali wszystko zorganizować, jak sprawnie! Jak dbają o nas. Tutaj można chyba przeżyć wojnę!

Ktoś mocno zapukał w okno. Rozległ się głos wachy:

- Cicho tam! Spać!

Kładziemy się na podłodze, nakrywamy po uszy kocami. Miłe ciepło ogarnia ciało. Co za rozkosz leżeć pod nowym, ciepłym kocem! Izba pogrąża się we śnie.

Punktualnie o siódmej zostaliśmy zbudzeni. Blokowy pilnuje, aby wszyscy udali się do umywalni i umyli się. Wychodzimy na dziedziniec. Otrzymujemy po talerzu ciepłej czarnej kawy i powracamy do bloku. Niektórzy się kładą. Inni żywo o czymś rozmawiają. Nastrój jest doskonały. Czujemy się niemal jak w pensjonacie albo przynajmniej na jakieś kolonii wypoczynkowej. Gdy ktokolwiek powraca do oświęcimskich wspomnień, wszyscy gwałtownie protestują. Zaczyna się dla nas nowe życie i nikt nie chce wspominać minionych cierpień.

Obóz ten stwarza wrażenie zupełnie nowego, my zaś jesteśmy chyba pierwszymi jego „pensjonariuszami”. Widać to po czystych ścianach i świeżej podłodze.

Wachmani znajdują się wewnątrz obozu, a nie na zewnątrz, jak to było w Oświęcimiu, i nie wzbudzają w nikim przerażenia. Rozmawiają z nami dość chętnie, ale nie pozwalają na zbliżanie się do drutów, w obawie, aby ktoś nie uciekł.

W południe dostaliśmy lekką, rzecz można „dietetyczną”, zupę, bardzo smaczną. Choć głodu nie zaspokoila, to każdy był zadowolony, widząc, że

się o nas starają. Zrozumieliśmy, że nie dają nam bardziej sutego pożywienia w obawie, abyśmy się nie pochorowali. Blokowy zapewniał, że wieczorem dostaniemy chleb z tłuszczem i dobrą zupę.

Przywieziono kilka bel drzewnej wełny, którą porozkładano we wszystkich izbach pod ścianami do spania. Nawet natura jest nam dzisiaj życzliwa - słońce świeci i jest dość ciepło.

Nie możemy doczekać się wieczoru, aby wreszcie dostać pierwszą porcję chleba. Cieszymy się ze wszystkiego jak małe dzieci. Co chwila ktoś przychodzi do izby z radosną nowiną:

- Sam widziałem w kuchni, jak krają dla nas chleb oraz przygotowują porcje kielbasy i margaryny. Bardzo ładne porcje; zupę też już nalewają do kociołków. Piękna, gęsta zupa z kartoflami.

- A ile chleba? Ile margaryny?

- Chyba z pół bochenka na osobę i ładny kawał kielbasy, i porcja margaryny.

Niecierpliwość nasza dochodzi do szczytu. Jesteśmy po prostu pijani ze szczęścia.

Wtem nadszedł nieco zdenerwowany blokowy - Opoczyński. Kazał wszystkim zdjąć czapki i pouczył pierwszego przy drzwiach:

- Jak wejdzie Lagerfuhrer lub Lageraltester, krzykniesz „Achtung!” i zameldujesz:

Herr Lageraltester albo Herr Lagerfuhrer, w zależności od tego, kto przyjdzie: stan izby 51 Haftlingów. Obecnych tylu i tylu, przy pracy w kuchni tylu i tylu. W tym czasie wszyscy stoją na baczność.

Ledwie skończył, wszedł Lageraltester i prawie w tej samej chwili przyniesiono z kuchni dwa kociołki zjedzeniem oraz w kocu chleb. Ten, który miał meldować, zmieszał się nieco i bardzo nieudolnie rozpoczął swoje przemówienie. Lageraltester machnął ręką na znak, aby zaprzestał, dając jednocześnie do zrozumienia, że nie zależy mu na honorach. Zwrócił się do blokowego:

- Wydzielić zupę i rozdać chleb.

Każdy z nas otrzymał litrowy talerz zupy i porcję chleba z kawałkiem kielbasy i margaryną.

Oczy nam wyszły z orbit na widok takiej ilości jedzenia. Nikt się tego nie spodziewał.

Chleba ponad pół kilo, około 5 dkg kielbasy i 3 dkg margaryny!

Lageraltester, zwany Bładym, i blokowy opuścili naszą izbę, przechodząc do następnej.

Słyszemy wołanie: „Achtung!”

Po ich wyjściu zaczyna się wielkie poruszenie. Jeden przez drugiego z radością i zachwytem woła:

- Tyle chleba! Więcej niż w getcie! I kielbasa, i margaryna! Teraz wiemy już, skąd blokowi w Oświęcimiu mieli kielbasę do smażenia. Oni zjadali nasz chleb, a naszą kielbasę wymieniali na papierosy. Rozumiecie teraz? We wszystkich lagrach jest jednakowy wikt, ale oni nas okradali. Przy wyjeździe z Oświęcimia dostaliśmy takie same porcje, a myśleliśmy, że jest to specjalny przydział na drogę.

Ktoś bardziej rozsądny odezwał się:

- Ciszej, bo przecież oni są w sąsiedniej izbie. Po co mają wiedzieć o wszystkim?

- E, całe to wasze gadanie nie ma obecnie najmniejszego znaczenia - odezwał się Kaliński. - Lepiej zrobmy wszystko, aby w naszej izbie był ład i porządek, i aby nie narazić się byle czym.

Dzisiaj o mały włos nie było wpadki przez tego głupiego C. Nawet zameldować się nie umie.

Całe szczęście, że to był Błady, a nie Lagerfuhrer. Gdyby trafiło na niego, pożegnalibyśmy się z dzisiejszą kolacją. Od dziś ja będę meldował.

- Słusznie. Dobrze! - rozległy się głosy. - On umie dobrze meldować!

Cała ta sprawa wydawała się zupełnie błaha. Nie warto było się zastanawiać i nikt przeciwko tej samowolnej kandydaturze nie zaprotestował, tym bardziej że popierał ją fryzjer Kapitulnik.

Po kilku minutach Kaliński kazał zgasić światło i wszyscy ułożyli się do snu.

[1] Obóz znajdował się w pobliżu wsi Kaltwasser (Zimna). Powstał pod koniec sierpnia 1944 roku.

XI

Nazajutrz Błady zwołał wszystkich fryzjerów z bloku i przyrzekł każdemu dodatkową supkę za golenie. Oświadczył, że każdy musi być ogolony, a wobec tego, że w jego posiadaniu znajduje się tylko jedna brzytwa, więc fryzjerzy będą golić własnymi brzytwami. Tymczasem okazało się, że nikt z fryzjerów, prócz Kapitulnika, nie posiada brzytwy.

- Ja będę golił z Kalińskim - odezwał się Kapitulnik. - We dwóch ogolimy więcej niż wszyscy inni razem. Tamtą brzytwę można oddać innym fryzjerom.

Po kilku minutach stał już długi ogonek do fryzjera. Numerki w ograniczonej liczbie wydawał sam Błady tylko tym, którzy mieli duży zarost.

Kaliński mydli, Kapitulnik goli, a ogonek wcale się prawie nie zmniejsza. Nogi już mdleją od stania. Ci, co nie mają siły stać, podchodzą do Kalińskiego z prośbą, aby namydlił ich i ogolił bez kolejki - za chleb. Kaliński z Kapitulnikiem zamieniają między sobą kilka słów i oznajmniają czekającym w kolejce, że ogolą ich wieczorem, teraz zaś golić będą tylko za chleb.

- To moja własna brzytwa - oświadcza Kapitulnik. - Przywiozłem ją z Oświęcimia, gdzie musiałem za nią zapłacić chlebem.

Nikt nie protestuje. Tworzy się nowy ogonek, w którym każdy trzyma kawałek chleba.

Chleb składany jest do czapki Kalińskiego. Po niecałej godzinie czapka jest wypełniona, a Kaliński przygotowuje następną. Pod wieczór ogolił i kilku „darmowych”, na numerki, po czym Kapitulnik wezwany został do golenia Lageraltestera. Powrócił od niego zadowolony, trzymając pół bochenka chleba za pazuchą.

- Dziś więcej nie golę - oznajmił czekającym w kolejce. - Dość!

Szacunek dla Kapitulnika wzrastał szybko, gdyż co dzień golił Błatego, a czasem nawet samego Lagerfuhrera. Wybrał też sobie Kapitulnik najlepsze miejsce do spania. Oprócz Kalińskiego dopuszczony tam został i Kapłan, wysoki, barczysty mężczyzna, który był w getcie milicjantem. Trójka ta stanowiła elitę bloku.

Po kilku dniach Błady wybrał z każdego bloku po kilku najsilniejszych ludzi na kapo.

Wśród nich był również Kaliński, który niezwłocznie i z tupetem zaczął nadużywać swej władzy.

W dniu tym, gdy przyniesiono kociołek z zupą, Kaliński podszedł z trzema talerzami i powiedział rozkazująco:

- Tutaj ma być zupa dla nas trzech, ale taka, jak się należy, z dolewką!

Przeważnie wyrywa czerpak z rąk kucharza, zanurza go w kociołku, sięgając dna, nabiera najgęstszego jedzenia do swoich talerzy i powraca na swoje miejsce. Po chwili zaś cała trójka smacznie zajada. Nie obchodzi ich wcale, że inni dostają samą wodę, pozbawioną kartofli.

Biada temu, kto zechce protestować. Spotka się wtedy z twardą pięścią kapo Kalińskiego.

Czasami, gdy nie może zjeść całej zawartości talerza, odstępuje resztę za chleb. Reflektantów pragnących zamienić chleb na zupę i tu było dość, gdyż zupa bardziej wypełniała żołądek.

Od czasu nominacji Kalińskiego na kapo, codziennie odbywają się ćwiczenia na dziedzińcu obozowym. Maszerujemy piątkami pod jego dowództwem. Uczy nas zwrotów i trzymania kroku. Przyglądają się tym ćwiczeniom Lagerfuhrer i Lageraltester.

Wachy już nie ma wewnątrz obozu. Została przeniesiona na zewnątrz i znajduje się poza drutami.

Z każdym dniem porcje chleba są mniejsze, zupy rzadsze. Jedni narzekają, drudzy ich pocieszają, że chociaż do pracy nie trzeba chodzić i w ten sposób oszczędza się trochę siły. Z coraz większym utęsknieniem oczekujemy wieczora, aby zjeść swoją zupę z chlebem i położyć się spać pod kocem.

Nasz Lagerfuhrer odszedł i przyszedł inny, mniej liberalny od swego poprzednika.

Tamten był widać za dobry i nie nadawał się na to stanowisko.

Co dzień z rana Lagerfuhrer z Bładym obchodzi bloki i wyganiają wszystkich ludzi kijami z pomieszczenia na dziedziniec. Gdy tylko ktoś zasygnalizuje, że zbliża się Lagerführer, wszyscy w panicznym strachu uciekają z izby, a że nie wiadomo, którędy wejdzie, w rozsypce pędzą na wszystkie strony. Niektórzy wyskakują oknem. Ci, których spotyka Lagerführer, dostają kijem wprost po czaszce - jest to ulubione miejsce, w które bije komendant.

Kaliński ma teraz szerokie pole do popisu i możliwość wykazania, że nie darmo piastuje funkcję kapo. Nie zawodzi też pokładanych w nim

nadziei. Zawsze, gdy przychodzi Lagerführer, wyrasta znienacka, jak spod ziemi, i rzuca się na nas z okrzykiem: „Jeszczeście nie tam!”, bijąc kijem, gdzie popadnie. Nie zna przy tym litości. Wali z całych sił, a oczy błyszcza mu przy tym jak u dzikiego zwierzęcia. Żaden kapo nie jest tak okrutny i bezwzględny jak on. Nikt też nie opanował tak doskonale sztuki władania kijem. Pomaga mu w tej pracy Kapłan, a Lagerführer zadowolony jest ze swego pupilka - Kalińskiego.

Kapitulnik sam nie zajmuje się biciem. On tylko wskazuje nieznacznym mrugnięciem powiek, gdzie kto się ukrył lub zwraca się w obecności Kalińskiego i Lagerführera do jakiegoś nieszczęśnika schowanego za drzwiami, z obłudną przemową:

- Dlaczego nie wychodzisz? Po co niepotrzebnie narażasz się na bicie? Wyjdź prędzej, bo mnie przecież również narażasz.

Mówi to z tak niewinnym wyrazem twarzy i z taką słodyczą, że ten, co go nie zna gotów jest uwierzyć w jego dobroć - a gdy delikwent wije się z bólu od uderzeń, dodaje jakby na usprawiedliwienie:

- A widzisz! Nie słuchałeś mnie! A mówiłem ci przecież, abyś wyszedł!

Na dziedzińcu obozowym Kaliński zarządza zbiórkę. Wszyscy ustawiają się piątkami, jak do apelu. Podaje komendę tonem dowódcy:

- Rechts um! Marsch! Links... links... links... ein... zwei... drei... vier! Links... Links![\[1\]](#)

Głucho uderzają trepy po wysypanych kamykami drózkach obozowych. Co chwila doskakuje do któregoś z nas. Depce po piętach lub okłada kijem po głowie i ryczy:

- Jak chodzisz? Czekaj, ja nauczę cię maszerować!

Lagerführer, który również obserwuje więźniów, wskazuje Kalińskiemu, kto jego zdaniem źle chodzi. Kaliński z nie udawaną zawziętością, przejęty swoją rolą, dopada do wskazanego przez Lagerführera i bije co sił, depce po nogach i rani lub podstawia nogę w marszu. Takie ćwiczenia, połączone z wyganianiem z bloku, odbywają się dwa razy dziennie.

Pewnego dnia Kaliński przyszedł z nowiną, że lada dzień cały obóz pójdzie do pracy.

Osobiście byłem zadowolony z tej wiadomości, chociaż nie okazałem tego, gdyż ogół był z tego powodu bardzo zmartwiony. Wyobrażałem sobie, że przy pracy dni będą prędzej mijały i być może będzie nieco więcej

swobody. Może uda się coś zdobyć do jedzenia, gdyż głód dokuczał mi w niemożliwy sposób.

Nazajutrz, gdy wszyscy jeszcze mocno spali, nasz blok otoczyli funkcyjni z kijami w rękach.

Zaczęto budzić izbę za izbą. Kaliński każdemu spogląda w twarz i wybiera tych, którzy kiedykolwiek stawiali mu opór lub odnosili się do niego z niezbyt wielkim szacunkiem.

Prowadzi ich na dziedziniec lagru, spisuje numery i oddaje pod opiekę kapo Bomsa. Kapo ten, pochodzący z innego bloku, zalicza się do tych, którzy ubiegają się o względy Lagerfuhrera, toteż okrucieństwem i bezwzględnością nie ustępuje Kalińskiemu. Ten ostatni sprowadza następną partię więźniów i zwracając się do przestraszonych ludzi, przemawia z satysfakcją i pewnością siebie.

- W bloku wam było źle, za to teraz będzie się wam lepiej wiodło. Teraz, skurwysyny, będziecie mieli dobrze. Ja was nauczę!

- Dokąd idziemy? - pyta się ktoś Kalińskiego.

- Stul mordę! Zobaczysz! Stój w szeregu! Nie wychodzić! Niech mi się nikt nie waży uciec, bo mam wasze numery spisane.

Kapo sprowadzają jeszcze kilkunastu ludzi. I ja jestem między nimi. Szereg powiększa się z minuty na minutę. Nadchodzi Lagerfuhrer. Każe odliczyć i mówi do Kalińskiego:

- Mało. Jeszcze dziesięciu!

Kaliński wbiega do bloku i na wszelki wypadek sprowadza nie dziesięciu, lecz czterdziestu.

Opierających się bije pięścią po twarzy i krzyczy:

- Milczeć! Ani słowa więcej! Tu stanąć!

- Możemy odmaszerować! - decyduje Błady.

Kaliński doprowadza nas pod bramę lagru. Przyniesiono kawę. Każdy chciwie pije. Jest zimno i ciemno. Czwarta z rana. Jesteśmy wszyscy jednakowo przyodziani. Całe nasze ubranie składa się z koszuli, kalesonów, cienkich spodni, pasiastej bluzy i trepów. Niektórzy nie mają nawet kalesonów. Trepy prawie wszyscy mają podarte.

Czekamy. Błady uspokaja nas zapewnieniem, że idziemy do pracy. Dla rozgrzewki każe nam przykucać i dłońmi szybko uderzać po kolanach. Czas powoli mija. Zaczyna szarzeć. Świta.

Ogarnia nas nieprzewyciężona senność.

Przez druty naprzeciwko wyjścia z naszego lagru widać baraki. Tam też jest budzący się ze snu obóz. Powoli wynurzają się postacie ze znakami „Ost”. Są to Rosjanie. Obóz ich nie jest ogrodzony drutami kolczastymi ani strzeżony przez wartowników SS. Rosjanie mają znacznie więcej swobody, mogą poruszać się bez nadzoru, sami idą do pracy. Czynią to leniwie - idą zamyśleni, ociężali. Mimo woli myślę: Im jest jednak lepiej, gdyż nie są Żydami...

Skrzypnęła furka. Wszedł Lagerführer i zbliżył się do Błatego. Ten podał komendę: - Achtung! Mutzen ab! Augen rechts! - i składa meldunek.

Lagerführer przelicza, sprawdza, coś zapisuje i mówi: - Abmarsch![2]

Znów słowa komendy:

- Rechts um! Augen links! Gleichschritt marsch![3]

Szybko otwiera się brama, za którą oczekują nas esesmani z bagnetami na karabinach. W miarę jak wychodzimy, esesmani okrążają nas z obydwu stron gęstym szeregiem. Idziemy pod górę, w stronę lasu. Droga jest coraz bardziej stroma, trepy ciążą, spadają z nóg.

Przyśpieszamy jeszcze tempa, aby się rozgrzać. Potykamy się na wyrwach i nierównościach drogi.

Mijamy wioskę, w której przy samej drodze rozlokowany jest lager. Nie otaczają go druty, choć okna w barakach są zakratowane. Pomieszczenia obozowe są drewniane, podobne do naszych, tylko ludzie tu przebywający są inni. Ich twarze nie są tak zapadnięte, ich oczy nie tak głęboko osadzone, jak nasze. Niektórzy z nich zbliżają się do drogi i wtedy dostrzegamy, że oczy ich są ciemne, a włosy gęste i czarne. Ciekawie nam się przyglądają. Przez okna widać ich prycze i zasłane kocami sienniki. Mają rześki, zdrowy wygląd. Są to Włosi.

Wioska wygląda jak wymarła. Prócz kilku pasących się samotnie krów i kur nie widać żywej duszy. Wszystkie okna szczelnie zasłonięte. Z prawej strony drogi, w końcu wsi, rosną buraki pastewne. Wygląda na to, że gospodarz zapomniał je sprzątnąć z pola.

Każdy z nas marzy o tym, aby wyrwać się z szeregu i zdobyć kilka buraków, ale widok esesmanów wstrzymuje nas przed realizacją tych zamiarów. Włosi i Rosjanie mijają to pole obojętnie. Im jest dobrze - myślę. - Ich nie pilnują. Oni mogą nawet i kartofle z pola podebrać, jeśli mają ochotę.

Minęliśmy wioskę i zbliżamy się do lasu. Droga staje się jeszcze bardziej stroma. Nasza kolumna wydłuża się. Idziemy trójkami.

Wchodzimy do lasu - teraz trzeba wspinać się pod górę. Nie każdy może się zdobyć na ten wysiłek i niektórzy pozostają w tyle. Słychać krzyki esesmanów: Aufgehen!... Aufgehen![4] Niektórzy przewracają się, bo trepy spadają im z nóg.

Tych esesmani niemiłosiernie biją, dopóki nie wstaną i nie dołączą do szeregu.

Minęliśmy już las. Jesteśmy prawie na samym wierzchołku góry. Z dala widać kilku ludzi w brązowych mundurach, niecierpliwie spoglądających w naszym kierunku. Są to, jak się okazuje, majstrowie z Organizacji Todta[5]. Kolumna nasza się zatrzymuje.

Unterscharführer dzieli nas na trzy grupy. Esesmani przydzieleni do każdej z nich, przekazują nas majstrom.

Grupy rozchodzą się w różnych kierunkach. Moja grupa liczy 30 osób. Dostaliśmy kilofy i szufle.

Majster wyznaczył każdemu miejsce do pracy. Mamy splantować i wyrównać teren.

- Tutaj będą kładzione glajzy[6] - objaśnia majster.

Widok z tego miejsca jest piękny. Zewsząd okalają nas lasy i góry. Nie ma śladu jakichkolwiek zabudowań i odnosi się wrażenie, że znajdujemy się w dzikiej puszczy.

Jesteśmy pod samym szczytem góry. Inni pracują w dolinie. Noszą tam szyny, a niektórzy wycinają drzewa, przygotowując teren do nowej drogi. Praca posuwa się w szybkim tempie.

Dozorujący nas esesmani stoją dokoła tak, że każdego z nas mają nieustannie na oku.

Niektórzy przechadzają się między nami i przynaglają do pracy. Odpoczywać nie wolno.

O dwunastej majster każe wszystkim odłożyć narzędzia, wybiera jednego z nas i mówi mu:

- Zbierz wszystkich ludzi, ustaw trójkami i poprowadź na obiad. Ty będziesz kapo.

Nie potrzebujesz pracować, tylko będziesz ich pilnował, aby się nie gapili i nie markierowali przy pracy.

- Tak jest, panie majstrze! - odpowiada nowo mianowany kapo. Zbiera też wnet grupę, przelicza, ustawia w rzędzie i melduje: - Gotowe, panie majstrze!

Majster idzie przodem, a my, otoczeni esesmanami, kroczymy za nim. Posuwamy się leśną drogą, aż wreszcie zostajemy zatrzymani na skrzyżowaniu. Esesmani każą nam wejść w zarośla i czekać, aż zostanie dostarczony obiad.

- Kto się oddali choćby na kilka kroków, zostanie zastrzelony jak pies - przestrzegają.

Siadamy wszyscy na ściętych drzewach. Tajemniczy wydaje nam się ten las. Z dala słychać wybuchy, jakby pocisków artyleryjskich i jakieś głucho, podziemne wstrząsy. Przed nami, w odległości 300 metrów widać zamaskowane w lesie baraki. Tuż obok nas przebiega gorąca rura, prawdopodobnie nagrzana parą wodną. Pełno tutaj dróg, drózek i ścieżek. Trochę wyżej, nad nami, przejeżdża lokomotywa. Toru nie widać, więc wydaje się, że jedzie nad drzewami.

Na drodze zatrzymała się ciężarówka. Unterscharführer woła:

- Zwei Mann, aber rasch! [\[7\]](#)

Kilku z naszego grona podrywa się i pędzi do samochodu. Odbierają parę żelaznych kociołków z zupą. Samochód odjeżdża. Z lasu wyłania się jeszcze jedna grupa Haftlingów.

Zatrzymują się w pewnej odległości od nas. Esesmani, którzy ich prowadzą, uprzedzają, aby się do nas nie zbliżali. Jednemu z Haftlingów płynie krew z nosa i ust, ma posiniaczoną twarz, co chwila wyciera twarz rękawem i nieprzytomnym wzrokiem rozgląda się dokoła.

Esesman przywołuje naszego kapo, daje mu czerpak do ręki i każe rozdzielać zupę. Jest to zabarwiona woda o smaku grochówki. Kto wypił, ustawia się w szeregu. Z zazdrością spoglądamy w stronę esesmanów, którzy zjadają rosół z makaronem i kawały mięsa.

„Obiad” skończył się. Powracamy do pracy bardziej głodni niż przed obiadem. Znow bierzemy się za szufle i kilofy. Pracujemy do szóstej wieczór, kiedy esesman zarządza zbiórkę.

Odkładamy narzędzia, ustawiamy się w trójszeregu i udajemy się do obozu. Jest już ciemno i zimno, ale nie opuszcza nas dobry nastrój. Praca nie była ciężka. Zewsząd słychać szepty:

- Wyobrażaliśmy sobie gorzej. To lepsze niż te ćwiczenia i bezczynność obozowa.

Przynajmniej nie ma tutaj Kalińskiego. I powietrze wyśmienite. Niestety, zaostrza apetyt. Ja i bez tego mam za dobry apetyt, bodajby się zmniejszył.

- A jaka zupa dzisiaj będzie? Jaka culaga?[8]- pyta ktoś inny.

Wcale nie spostrzegliśmy, kiedy minęła nam droga. Jesteśmy już w obozie. Otwiera się brama, stoją za nią Lagerfuhrer i Lageraltester Blady. Wchodzimy „na baczność” - głowy w prawo i czapki w rękach. Lagerfuhrer liczy. Niektórym dostaje się kijem po głowie za to, że nie patrząw prawo lub nie dotrzymują wyrównanej linii w rzędach.

Zgłodniali, biegiem pędzimy do bloku. Teraz będzie chleb i zupa! Ale tutaj spotyka nas rozczarowanie. Chleb co prawda został wydany, ale na zupę musieliśmy czekać do pierwszej w nocy. Okazało się, że kuchnia nie posiada dostatecznej liczby kotłów do gotowania i trzeba było gotować dwa razy, a akurat dzisiaj szef kuchni postanowił, że 4 i 5 blok otrzymają jedzenie z drugiego gotowania. I tak, zmęczeni, zziębnięci i głodni czekaliśmy do pierwszej w nocy na odrobinę ciepłej strawy. Było już po drugiej, gdy wreszcie ułożyliśmy się do snu.

[1] Rechts um! Marsch, links... - W prawo zwrot! Marsz, lewa.

[2] Abmarsch! - Odmaszerować!

[3] Rechts um! Augen links! Gleichschritt marsch! - W prawo zwrot! W lewo patrz! Równym krokiem marsz!

[4] Aufgehen! - Dołączyć!

[5] Organizacja Todt (OT) - paramilitarna organizacja stworzona w 1938 r.

[6] Glajzy - (niem, Geleise), tor Kolejowy.

[7] Zwei Mann, aber rasch! - Dwóch ludzi, ale szybko!

[8] Culaga - (niem. Zulage), dodatek. Określenie mikroskopijnych porcji margaryny, kielbasy lub marmolady z buraków, które przydzielano do chleba.

XII

Poczynając od tego dnia, liczba pracujących Haftlingów stale się powiększa. Co dzień budzi nas monotony, donośny gong obozowy. Co dzień o czwartej, jak ciężka zmora, przygniatają nas charakterystyczne, przeciągłe dźwięki: bum! bim! bum! - wwiercające się w nasze uszy, dźwięki, którym towarzyszą ciężkie, beznadziejne westchnienia niewyspanych, ociężałych ludzi. Powoli unoszą się koce, spod których ukazują się upiorne postacie więźniów; błędne spojrzenia spotykają się i zdają się pytać: „Czy wiecznie?... Czy na zawsze?”

Ledwie zdążyliśmy się ubrać, a już kapo z Kalińskim na czele ukazują się w izbie i natychmiast, za pomocą kijów, budzą nas z tępego odrętwienia, przypominając o otaczającej rzeczywistości. Są głusi na wszelkie prośby, błagalne gesty lub spojrzenia, jakby nie rozumieli naszej mowy czy też nie chcieli jej rozumieć w obawie, aby serca ich nie zmiękły, aby nie zatliła się w nich odrobina współczucia.

Tak więc nie odziani i nie obuci jeszcze ludzie wybiegają czym prędzej na deszcz, wiatr lub mróz, gdzie kończą się ubierać.

Groźby funkcyjnych, że będą robić wcześniej pobudkę, nie wywierają już żadnego wrażenia.

Wszystko nam jedno.

Na dziedzińcu lagrowym kapo ustawiają nas grupami. Każda grupa pracuje w innej firmie i każda ma już swojego kapo, wybranego przez majstra w miejscu pracy. Ci nie są groźni, z nimi też kapo z lagru wcale się nie liczą. Nie mają też oni w obozie większych praw od nas. Władzę w obozie sprawują blokowi, a tamci pilnują tylko swoich grup przy pracy. Są oni takimi samymi nieszczęśnikami jak my, a większość z nich zachowuje się solidarnie w stosunku do reszty więźniów, uprzedzając ich o zbliżaniu się majstra lub wachy. Gdy słyszymy głos takiego kapo: - *Bewegen...* *Bewegung!*^[1] - wiemy, że należy natychmiast chwycić łopatę czy kilof i intensywnie pracować.

Codziennie od czwartej do szóstej rano stoimy na dziedzińcu lagrowym i marzniemy. W tym czasie obozowi kapo przygotowują nas do apelu. Ustawiają grupy, uzupełniają stan grup, przerzucając ludzi z jednej grupy do drugiej. Każda z firm nadsyła co dzień różne zapotrzebowania na odpowiednią liczbę niewolników Haftlingów. Niechętnie zmieniamy swoje

placówki, dokładając wszelkich starań, aby pracować stale w jednym i tym samym przedsiębiorstwie, u tego samego majstra. Jest to zagadnienie przystosowania się. Po pewnym czasie poznajemy nawyki i nawet charakter swojego majstra oraz zwyczaje wachy i wiemy już w jaki sposób ustrzec się przed ich złośliwością, uchronić przed kijem. Zaaklimatyzowanie się na nowej placówce nie jest sprawą prostą ani łatwą - trzeba bowiem wiedzieć, gdzie najlepiej się ustawić, jak „przepisowo”, to znaczy zgodnie z wymaganiami majstra, trzymać łopatę lub szufłę. Najgorzej, gdy się trafi do grupy, w której nie dla wszystkich starczy pracy, a stać bezczynnie w żadnym wypadku nie wolno. Kiedy niemiecki nadzorca dostrzeże takiego „bezrobotnego”, niezwłocznie stłucze go do nieprzytomności. Często, mimo najlepszych chęci, trudno jest się gdzieś ulokować i chociaż człowiek gorączkowo szuka zajęcia, przepędzany jest przez swoich towarzyszy z miejsca na miejsce. Ponieważ z zasady Niemcy nastroszeni są agresywnie, a serca ich niedostępne są uczuciu sprawiedliwości lub litości, więc blakający się więzień z reguły zostaje zmaltrretowany, padając ofiarą ich wściekłości i brutalnej siły, którą tak łatwo wyładować na bezbronny.

Przy naszej obojętności, zgnębieniu i determinacji trzeba posiadać nie lada spryt, aby w takim wypadku momentalnie zorientować się i zastosować odpowiednią taktykę. Zresztą będzie to zawsze taktyka muchy w stosunku do pajaka. A więc można usiłować tłumaczyć się lub też w milczeniu przyjmować ciosy, czekając, aż bijący się zmęczy. Można próbować krzyczeć lub też, pomimo spadających razów, chwycić za kilof i tłuc kamienie czy ziemię przed sobą na oślep. W takiej sytuacji tylko bystrość umysłu ratuje od masakry i aby tego uniknąć, każdy stara się nie zmieniać swojej placówki. Nie jest to łatwe, gdyż firmy stale zgłaszają inne zapotrzebowania i lagerkapo co dzień inaczej formuje swoje „kommando”. Przedsiębiorstw, które korzystają z naszej niewolniczej pracy, jest tutaj kilka, a więc: Sago i Werner, Seiden, Spinner, Lentz, Bahnhof Kommando i inne.

Praca jest również najrozmaitsza. Za lasem, w górach, znajduje się olbrzymie Baustelle^[2].

Są tutaj bagry, maszyny wiertnicze i świdry. Cały dzień jadą wąskotorowe kolejki, przewożąc piasek, żwir, tłuczone kamienie z kamieniołomów, cegły, cement i rury. Kolejki utrzymują też łączność pomiędzy placami budów, które porozrzucane są w różnych miejscach wśród gór.

Niektóre grupy pracują przy zakładaniu kanalizacji. Stojąc po kostki w wodzie, w odległości pięciu metrów jeden od drugiego, więźniowie kują kilofami twardy grunt. Tam, gdzie skała jest wyjątkowo twarda, sprowadza się maszynę, która boruje dziury, celem założenia ładunku dynamitu. Po rozsądzeniu skały, grupa uprząta kamienie rękami. Inni zajęci są karczowaniem lasu i usuwaniem pni. Następna partia rozładowuje wagony z cementem. Podobnie pracuje grupa przy wysypywaniu kamieni z lor. Lory dojeżdżają na sam skraj góry, gdzie podtrzymywane są drogami przez część grupy, aby nie spadły w przepaść podczas kipowania.

Po kipowaniu kamienie szuflami zrzuca się na dół. W miarę jak wąwóz ulega zasypaniu, przesuwają się tor do nowo powstałego brzegu, za pomocą specjalnych drągów knypeli. Jeszcze inna grupa kipuje piasek, który dla nieznanych celów gromadzi się tutaj w dzień i w nocy. Są zespoły zajęte budową nowych torów - te znoszą szyny, podkłady, plantują grunt, wbijają pale.

Inne trudzą się wyładunkiem cegieł albo znoszeniem i układaniem rur. Grupa z Elektrica wkopuje słupy na przewody elektryczne. Kilkunastu więźniów przewozi na lorach ziemię do zasypywania przepaści. Po naładowaniu, jeden z Haftlingów zakłada na oś wózka knypeldrąg i staje na nim, po czym lora własnym ciężarem zaczyna się toczyć po pochyłości w kierunku przepaści. Przed przepaścią więzień naciska z siłą na knypel i hamuje rozpęd, z takim wyliczeniem odległości, aby lorę zatrzymać nad samym brzegiem. Praca ta wymaga wprawy i przytomności umysłu. Najmniejsza pomyłka może spowodować stoczenie się lory wraz z człowiekiem w przepaść.

Między grupami więźniów kręcą się esesmani, majstrowie i nadzorcy - Ukraińcy. Wszyscy wrzeszczą, złorzeczą i przynaglają do pracy. Odpoczywać nie wolno, gdyż natychmiast na głowę winowajcy spada kij majstra, wachy lub Ukraińca.

Praca odbywa się bez względu na warunki atmosferyczne. Czy deszcz, czy śnieg, czy mróz - praca musi być wykonana. Rzadko kto posiada jeszcze koszulę i kalesony. Niektórym pozostały jakieś żalosne strzępy. Wszy jedzą nas żywcem. Pracujemy dosłownie nago i boso.

Całe nasze ubranie składa się z cienkiego drelichowego pasiaka i zdartych trepów.

W tych warunkach rzadko nachodzą nas myśli o bliskich, tak jakbyśmy już nikogo nie mieli na świecie. Gdy czasami ogarnia mnie tęsknota za

domem, czuję, że tracę zmysły. Staram się wtedy czym prędzej oddalić takie myśli, natomiast wyobrażam sobie, że jestem już w lagrze i zajadam chleb z zupą tym przeważnie myśl się urywa.

Zastanawiałem się nad możliwością ucieczki, ale zrezygnowałem z tego zamiaru. Wydaje się to zupełnie niemożliwe, chociaż co dzień dostajemy gorsze zupy, a chleb dzielą już nie na trzy, lecz na pięć osób. Mróz dokucza coraz bardziej. Pomimo wszystko wierzę głęboko, że nadejdzie chwila wyzwolenia. Widzę siebie jako wolnego człowieka. Staram się trzymać w karchach jak najmocniej i nie dopuszczam myśli o załamaniu się; aby tylko mijał dzień za dniem, aby bliżej końca tej udręki. Żeby choć dożyć dnia ich klęski, a potem choćby w godzinę umrzeć. Byleby wytrwać do tej chwili!

Od kilku dni posiadam ołówek, który znalazłem w Baustelle. Bardzo chciałbym pisać dziennik, ale nie ma gdzie i nie ma na czym. W bloku, gdyby to spostrzeżono, wszyscy uważaliby mnie za wariata, odczuwam jednak niewypowiedzianą potrzebę robienia choćby notatek. Może nadałby się do tego celu papier, z którego sporządza się worki na cement?

Przechowywać notatki mógłbym w ustępie. Ale gdzie pisać? Chyba też w ustępie? Czuję potrzebę dzielenia się, choćby z samym sobą, własnymi myślami i spostrzeżeniami, abym, gdy już będę wolnym człowiekiem, mógł to wszystko raz jeszcze odtworzyć, a jeśli zginę, aby ten nikły znak po mnie pozostał.

[1] Bewegen... Bewegung - Ruszać się... ruch!

[2] Baustelle - miejsce budowy.

XIII

Kaltwasser, czwartek, 1944.

Daty nie znam. Straciłem rachubę czasu. Wiem, że dzisiaj jest czwartek. Piszę w ustępie, opierając się o ścianę. Po co? Sam nie wiem. Muszę. Dzisiaj wykryto tego, który ukradł buty kapo Kapłanowi. Kapo Kaliński i kapo Kapitulnik oporządzili go tak, że ledwie może chodzić. Zabrali mu jego trepy i wpakowali go do trupiarni na całą dobę. Przyznał się, że buty sprzedał przy drutach za porcję chleba jakiemuś Rosjaninowi. Czy on naprawdę popełnił zbrodnię, kradnąc te buty? Przecież oni okradają cały blok z chleba i zup, i nikt ich nie karze, choć przez nich setki ludzi słabną z dnia na dzień.

Kaltwasser, sobota, 1944.

Dzisiaj w drodze do pracy, idąc na Baustelle, skoczył z mostu w przepaść piekarz Keller z Łodzi. Poniósł śmierć na miejscu. Trupa z rozplataną czaszką zaniecono na noszach do obozu. Majstrowie i esesmani byli wściekli i bili nas nielitościwie.

Kaltwasser, poniedziałek, 1944.

Niedziela w obozie jest gorsza niż dzień pracy. Trzeba beczynn timerz na dziedzińcu lagru. Nie ma się gdzie ukryć, a głód bardziej daje się we znaki. Dzień jest strasznie długi.

Przy pracy czas przynajmniej szybciej przemija i zapomina się o głodzie. Trzeba uważać, by lora nie przycisnęła, a także, czy majster nie zbliża się z kijem. Dziś dwóch umarło na rewirze. Lagerführer kazał zostać doktorowi Altmanowi w obozie. Mianował go naczelnym lekarzem. Doktor Pikielny i doktor Icyksohn chodzą nadal do pracy na Baustelle.

Kaltwasser, wtorek, 1944.

Dziś od południa padał drobny deszcz. Wszyscyśmy przemokli do suchej nitki. Pod wieczór mróz z wiatrem przenikał do szpiku kości. Każdy z nas drżał jak w silnej febrze. Nie zważałem jednak na nic i nadal pracowałem, aby się rozgrzać. Nie chciałem się poddać, choć było dla mnie oczywiste, że nie wytrzymam do fajrantu. Przekonałem się, że zasób sił człowieka jest bezgraniczny. Dziś zdałem egzamin z biernej wytrzymałości. Wytrzymam więcej, bo muszę.

Kaltwasser, środa, 1944.

Nadeszło dziś kilkaset par trepów do obozu. Przed magazynem stoi ogonek. Kapo i kucharze dostali nowe, mocne trepy, a z nas nikt jeszcze. Jest już druga, a ogonek przed magazynem ciągle stoi. Nie pomaga bicie Kalińskiego i kapo Bomsa. Ja odszedłem i starałem się namówić Kalskiego, by też zrezygnował dzisiaj z trepów.

- Przyjdiesz jutro - powiedziałem. Kalski wytrzeszczył na mnie oczy i ryknął:

- Ja chcę trepów, trepów, trepów! Rozumiesz? Nogi mi spuchły! Stoję cały dzień w wodzie!

Trepów! Trepów!

Odsunąłem się od niego. Podejrzewam od dawna, że jest nienormalny.

Kaltwasser, sobota, 1944.

Przemówilem się dziś z Kalińskim. Powiedziałem mu, co o nim myślę: że jest podłym bandytą, gorszym od esesmanów.

- Dla ciebie nie ma żadnego wytłumaczenia - powiedziałem. - Co ty wyprawiasz z nami, nie znajdzie u nikogo usprawiedliwienia. Jesteś degeneratem! Gdybyś przez chwilę zastanowił się nad tym, co czynisz! Czy ty nie jesteś takim samym Żydem jak my wszyscy?

Nie! Ty jesteś od nas wszystkich gorszy, bo jeszcze nas obdzierasz i maltretujesz. Chcesz znaleźć uznanie, chcesz zaszczytów od ludzi, którzy spowodowali nasze wspólne nieszczęście!

Jakkolwiek spieszyl się, w odpowiedzi dostałem kilka razy po twarzy. Namówił go do tego Kapitulnik, dodając: - Patrzcie no, ten muzułman prawi tobie morały!

Choć krew ciekła mi z ust i nosa - jestem zadowolony, że mu to powiedziałem w obecności wszystkich. Potem przynajmniej dał mi już spać i nie kopał mnie więcej.

Kaltwasser, poniedziałek, 1944.

Dziś lora zabiła dwóch. W ogóle dziś dzień był ciężki. Przez cały czas deszcz siekł prosto w twarz. W powrotnej drodze do lagru wyrwałem się z szeregu, a wraz ze mną jeszcze kilku, i wpadliśmy na pole z burakami pastewnymi. Zdołałem wyrwać tylko jednego buraka - więcej nie mogłem, gdyż ręce miałem spuchnięte z zimna, a esesmani tłukli nas kolbami po

głowach. Cudem tylko uszedłem cało. Więcej tego nie zrobię. Inni mają poharatane głowy.

Więcej im w tej jednej chwili ubyło krwi, niżby uzyskali przy dobrym odżywianiu w ciągu miesiąca.

Nie mogę spać. Głód skręca mi wnętrzności i nie mogę rozgrzać nóg. W pięcie czuję klucie.

Zdaje się, że zbiera się ropa. Nie mogę dotknąć pięty. Może dostanę zakażenia i umrę. Daj Boże!

Kaltwasser, wtorek, 1944.

Byłem wczoraj na rewirze. Przybył tutaj sierżant Kaufman - komendant straży pożarnej z getta - chory na tyfus. Długo stałem przed drzwiami, nim zdecydowałem się wejść. Przykro mi było zobaczyć go w takim stanie. Wreszcie wszedłem. Przywitałem się z nim, a on patrzył na mnie podejrzliwie. Dałem mu pół porcji mojego chleba. Nie chciał przyjąć. Zrozumiałem powód - uważał mnie za anormalnego. Gdy wytłumaczyłem mu, że jest to chleb dodatkowy i że co dzień otrzymuję taką dodatkową porcję - przyjął i uścisnął mi rękę. Czulem, że w ten sposób wyraził mi swoje uznanie. Jestem szczęśliwy, że choć w ten sposób mogę mu się odwdziżyć za to, co on zrobił dla mnie w getcie. Dzisiaj miałem zamiar również go odwiedzić, ale nie poszedłem, gdyż nie mogę mu co dzień oddawać pół porcji mojego chleba, a nie mogę też patrzeć na poniżenie tego człowieka.

Rewir jest już zapelniony chorymi. Opiekuje się nimi dr Pikielny, ale robi wrażenie człowieka niespełna rozumu. Strasznie zmizerniał, natomiast drAltman wypadł się - lepiej wygląda niż w getcie.

Kaltwasser, piątek, 1944.

Z dnia na dzień praca staje się coraz bardziej uciążliwa. Mróz coraz więcej daje się we znaki. Wypadki samobójstw powtarzają się coraz częściej. Nie ma dnia, aby nie było co najmniej jednego samobójstwa. Nie robi to już na nikim żadnego wrażenia. Nikogo już nawet nie ciekawi, kto popełnił samobójstwo.

Dziś Lageraltester Blady odbył z nami pogadankę. Mówił, że nie powinniśmy wszystkiego widzieć w czarnych barwach, że niebawem lager otrzyma trepy, bieliznę, płaszcze i nowe pa siaki. Dodał jeszcze, że wojna już się kończy i niedługo będziemy wolni.

Niektórzy mu wierzą - ja nie wierzę już w nic. Łatwo mu tak mówić, bo sam nie idzie na Baustelle i nie nosi gołymi rękami szyn, do których przymarzają ręce. Rozumiem, że chce nas podtrzymać na duchu, gdyż liczba samobójstw przybrała zastraszające rozmiary. Stara się wpłynąć na nas. Mówi, że pieścimy się i nie wiemy, co to znaczy prawdziwy lager, a on przez niejednego taki przeszedł. Niestety, rozumiem, że chce nas wszelkimi siłami podtrzymać na duchu, że nie należy się jednak spodziewać żadnych zmian na lepsze.

Kaltwasser, środa, 1944.

Kaliński i wszyscy kapo są jak gdyby łaskawszy i mniej okrutni. Sądzę, że albo szykuje się coś nowego, albo Blady wydał im takie instrukcje. Dziś, na przykład, zbudzono nas o piątej, zamiast o czwartej, i nie wyganiano z izb kijami. Natomiast przy pracy wartownicy byli dziś wściekli i majster też. Szczególnie ten wysoki, czarny esesman, Franz, był dzisiaj wyjątkowo okrutny. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy kilku z nas pokrwawił. Dziwna rzecz, jak bardzo łaknie on naszej krwi. Uspokaja się dopiero wtedy, gdy widzi krew.

Kaltwasser, niedziela, 1944.

Dzisiaj padał deszcz ze śniegiem. Pozwolono nam zostać w bloku. Obejrzałem swoje nogi - są mocno spuchnięte. Niektórzy radzą mi pójść do lekarza, ale zamierzam poczekać, aż bardziej jeszcze spuchną.

Straszny jest dla mnie wolny, niedzielny dzień. Uporczywie wracam wtedy myślą do moich najbliższych i drętwieję na myśl, że może cierpią oni takie same katusze jak ja. Boże! Miej w swojej opiece moje dziecko!

Kaltwasser, poniedziałek, 1944.

Dziś był wyjątkowo mroźny dzień. Nie mogłem sobie dać rady przy pracy. Po wczorajszym odpoczynku moje zgrabiące ręce są jeszcze bardziej obolałe. Nie mogę też chodzić. Stopy pieką jak przypalane żywym ogniem. Chodzę boso. Moje drewniane trepy są zupełnie zdarte. Pasiasta bluza za ciasna, toteż w odstępach między guzikami prześwieca gołe ciało, smagane przez mroźny wiatr. Drzę z głodu i zimna.

Grupa nasza liczy pięćdziesiąt osób. W trzydziestu pchamy jedną załadowaną lorę, w rezultacie czego na burcie wagonu nie ma nawet tyle miejsca, aby się chwycić choć jedną ręką. Majster z esesmanem chodzą za nami i tych, co nie mogą włączyć się do grupy pchającej lorę, okładają

nielitościwie kijami, bijąc w na pół zamrożone ciała. Bólu tego nie sposób opisać.

Gdyby choć można było pracować, ale przecież pracy nie ma dla wszystkich. Chcą nas tylko przy tej pracy wymordować. Czy nie szkoda mojego trudu? Czy nie przedłużam daremnie swoich cierpień? Och, jak byłoby dobrze, gdybym umarł! Jak błogo! Jak cicho! Nie czułbym już nic! Nie myślałbym nic! Byłbym wyzwolony! Nie, nie wolno mi o tym myśleć!

Muszę żyć! Może żyje moje dziecko? Może ma lepsze warunki niż ja? I cóż pocznie bez ojca, gdy wojna się skończy? Muszę żyć i wszystko przetrzymać. Nie wolno mi osierocić syna, bo zdany będzie na poniewierkę. A może i moja żona przetrwa? Już i tak dość się spodliłem, oddając swoje dziecko bez słowa protestu. Dlaczego tak uczyniłem? Dlaczego? Kiedy esesman kazał mi je zostawić, nie odrzekłem nic i zostawiłem moje dziecko na łasce losu. Nie! Nie na łasce losu - w ich szponach, w szponach tych oprawców i drapieżników! Nie!

Stokroć gorzej: nie drapieżników - niemieckich esesmanów. Dlaczego nie zdałem sobie od razu sprawy ze swego okropnego postępu? Och, gdybym był razem z dzieckiem! Żyłbym tylko dla niego! Wiedziałbym przynajmniej, dla kogo cierpię, że warto cierpieć! Nie, muszę bezwzględnie żyć!

Postanawiam sobie teraz. Muszę żyć bez myśli, bez czucia, jak automat. Muszę wytrwać do końca dla mojego dziecka, które tak bardzo skrzywdziłem, oddając je bez słowa w ręce esesmana.

Kaltwasser, wtorek, 1944.

Z wielkim trudem i w męczarniach przeżywam każdy dzień, który zdaje się trwać rok cały. Znów budzą nas o czwartej, a spać chodzimy między dwunastą a drugą. Od siódmej wieczorem jesteśmy w bloku, przemęczeni i brudni, gdyż wody przeważnie nie ma. Oczy nasze utkwione są w drzwiach. Każdy szelest na korytarzu sprawia, że wszyscy zrywają się ze swoich kojek w nadziei, że już niosą zupę i chleb.

Mijają godziny tęsknego wyczekiwania na jedzenie. Godzinami rozkoszujemy się myślą o jedzeniu. Planujemy, w jaki sposób dzielić chleb, aby nikt nie czuł się pokrzywdzony, aby nikt nie miał żalu, że dostał zbyt cienki kawałek chleba. Chleb nigdy nie jest równomiernie krojony - toteż jedni dostają większe, a inni mniejsze porcje. Niektórzy proponują losowanie, inni przygotowali prymitywną wagę, aby rozważać chleb na

równe porcje. Są również propozycje, aby wybrać kogoś najsprawiedliwszego, kto będzie dzielił chleb, tak jak jest on ułożony na desce. Inni znów są za tym, aby rozdawać po jednym bochenku na cztery osoby, które same już sprawiedliwie rozdziela go między sobą. Na tym tle trwają nieustanne kłótnie i spory, lecz gdy tylko chleb zostaje wniesiony do izby, każdy potulnie siedzi na swoim miejscu, drżąc z emocji i zniecierpliwienia. Wtedy oczy wszystkich są utkwione w chlebie, a każdy marzy tylko o jednym - aby do niego uśmiechnęło się szczęście w postaci największej, najładniejszej porcji. Teraz nikt nie odezwie się ani jednym słowem, aby nie narazić się kapo Kalińskiemu, który mógłby wydzielić najmniejszą porcję. Nikt nie odrywa wzroku od chleba. Jeden drugiemu spogląda przez ramię, aby się nasycić tym widokiem.

Pierwszy podchodzi Kaliński i wybiera cztery największe porcje: dla siebie, Kapitulnika, Kapłana i Katza - byłego szefa III rewiru Ordnungsdienst, obecnie sztabowego. Każdy spogląda na nich z udręką i życzy im, aby się tymi porcjami udławili. Teraz zaczyna się wymierzanie grubości swojego i sąsiadów kawałków chleba za pomocą żdźbła słomy. Żal ściska serce tym, którzy otrzymali mniejsze porcje. Rzadko kto ma tyle siły woli, aby powstrzymać się od natychmiastowego zjedzenia całej porcji chleba wraz z zupą; tymczasem porcja ta ma starczyć na całą dobę. Większość wygłodniałych ludzi zjada wszystko naraz, choć świadomość, że trzeba będzie pościć całą dobę, przyprawia ludzi o stan graniczący z obłędem. Każdy obiecuje sobie, że od jutra będzie już rozsądniejszy i odłoży część chleba na śniadanie, aby nie iść na czczo do pracy. Tymczasem nazajutrz historia powtarza się na nowo - i tak codziennie obiecujemy sobie, i co dzień pościmy, a przy pracy połykamy gorzką ślinę, pocieszając się myślą, że już niedługo, że już za dziesięć czy osiem, czy sześć godzin doznamy chwilowego uczucia błogiej sytości i wprost szczęścia przy spożywaniu kolacji.

W istocie żyjemy tylko i wyłącznie po to, aby jeść. Wszystkie nasze myśli obracają się tylko wokół tych spraw. W czasie pracy o niczym innym nie myślimy. Podtrzymuje nas na siłach ta myśl, że już niedługo wieczór, a wraz z nim zbliża się pora jedzenia. Bicie, maltretowanie, znęcanie się, śnieg, mróz, deszcze - to nic, to przeminie, a wieczorem znów trochę tej ciepłej zupy z kawałkiem chleba i odpoczynek na kojce. Czasami, po zjedzeniu

takiej kolacji przytomnieję na chwilę i widzę, jak nisko upadliśmy pod wpływem hitlerowskiego systemu tortur.

Kaltwasser, środa, 1944.

Zgłosiłem się dzisiaj na rewir, do dra Altmana. Spojrzał tylko na moje nogi, machnął ręką i powiedział:

- To nic, nawet gdybyś miał nogi jak dynie i w ogóle nie mógł chodzić, to też cię nie przyjmę na rewir, tylko pójdziesz od razu do trupiarni. Na rewir przyjmuje się tylko tych, którzy mają co najmniej 40 stopni gorączki.

Chciałem mu jeszcze pokazać moje odmrożone palce u nóg, tak popękane, że aż kości widać. Nie zdążyłem jednak, gdyż wyrzucił mnie za drzwi.

Ostatnio z rzadka tylko miewam przebłyski pełnej świadomości, wówczas też zdaję sobie sprawę z tego, że moja zdolność myślenia staje się z dnia na dzień bardziej ograniczona.

Czuję się z każdym dniem bardziej ociężały i tępy.

Kaltwasser, czwartek, 1944.

Dzisiaj była straszna burza. Stojąc od czwartej do szóstej rano na apelu, pod gołym niebem, przemokliśmy do suchej nitki. Łudziliśmy się nadzieją, że nie pójdziemy do pracy.

Błagaliśmy o to w duchu Boga, ale to nic nie pomogło.

Deszcz lał przez cały dzień. Ociekające pasiaki przylgnęły nam do ciał. Przestało skutkować bicie wachy i majstra. Nikt nie był zdolny poruszyć łopatką lub kilofem.

Rozeszliśmy się na wszystkie strony. Każdy krył się w lesie pod drzewem, szczekał zębami i dygotał. Owinięty w nieprzemakalną płachtę, majster szalał, przeklinał i krzyczał:

- Po co was dzisiaj przysłali? Skoro jesteście, trzeba robić! Nic na to nie poradzę, bo sam muszę co dzień zdawać firmie raport z wykonanej pracy. Firma płaci za każdego z was po cztery marki dziennie, ja zaś jestem odpowiedzialny za wykonanie robót. Gotowi mnie jeszcze posądzić o sabotaż. Rozglądał się przy tym bezradnie na wszystkie strony, jakby szukał jakiegoś ratunku.

Słowa te rozczuliły nas, bo brzmiały po ludzku, nikt zaś dotychczas nie przemawiał do nas w ten sposób. Okrążyliśmy go ze wszystkich stron, błagając, aby pozwolił rozpaść ogień, byśmy się choć trochę mogli ogrzać.

Wzruszył go widocznie widok naszych wynędzniałych, prawie nagich, dygoczących i szczękających zębami postaci, stojących w potopie lejącej się wody.

Po krótkim wahaniu pozwolił rozpaścić ogień, z tym, że potem pójdziemy do pracy.

Z nadmiaru radości, jaką wywołała ta jego niespodziewana wspaniałomyślność, zamiast słów podzięk, ze wszystkich piersi wyrwał się przejmujący płacz. Niektórzy całowali mu ręce i przyrzekali nadrobić stracony czas, aby tylko nie miał z naszego powodu przykrości. Musiało się i w nim coś załamać, bo zapłakał wraz z nami. Widzieliśmy w jego oczach łzy.

Poszedł do baraku, przyniósł bańkę nafty i oliwy, dał zapalki i odszedł - ale radość nasza krótko trwała. Ledwie buchnął ogień, nadbiegli wartownicy, którzy kolbami zaczęli tłuc nas po głowach. Wkrótce krew zmieszała się z deszczem, ogień zaś ugasili esesmani piaskiem.

Ukryłem się za wywróconym drzewem, pod olbrzymimi korzeniami. Tu, chociaż woda lała się strumieniem, było przecież lepiej niż na otwartej przestrzeni, gdzie jeszcze i wiatr zacinał w twarz. Pozostałem tam aż do wieczora, tęskniąc za ciepłem pieców... oświęcimskich. Lepiej już umrzeć w cieple niż tutaj na tym deszczu i zimnie. Jutro, jeżeli deszcz będzie padać, mogą mnie zabić, a do pracy nie pójde.

Kaltwasser, piątek, 1944.

A jednak, mimo deszczu, poszedłem do pracy. Beznadziejne jest to nasze życie. Dziś pracowaliśmy na innej placówce, pod nadzorem innego majstra. Dotychczasowy majster nie chciał nas dzisiaj przyjąć. Ociosywaliśmy kamienie w lesie.

Zauważyłem, że nowy majster jest człowiekiem bezwzględny. Straszny był dzisiaj ziąb.

Wydaje mi się, że ten chłód pochodzi z wnętrza organizmu. Ręce moje były jak martwe.

Nie czułem kilofa w rękach. Drewniana jego obsada obracała się w spuchniętych dłoniach na wszystkie strony. Raz po raz wypadł mi kilof z rąk. Z dala przyglądał mi się majster, z zaciśniętymi ustami i złą miną. Kurczowo, niehumanitarnym wysiłkiem woli ścisnąłem drzewce kilofa, gdyż rąk wcale nie czułem - i tłukłem ten czerwonoróżowy kamień. Bałem się unieść

głowę do góry, aby nie spotkać się z rozwścieczonym spojrzeniem nowego majstra. Czarne płatki latały mi przed oczami, a serce zamierało. Zdawało mi się, że mdleję. Nie widziałem odłamków kamienia, pryskających pod uderzeniem kilofa. Wtem dopadł mnie. Głos mu drżał, gdy mówił szeptem:

- Chodź tutaj!

Podszedłem. Otrzymałem potężny cios między oczy. Zdawało mi się, że uderzenie wymierzono pięścią z żelaza. Wszystko zawirowało mi przed oczami. Czerwone iskry rozleciały się na wszystkie strony. Zatoczyłem się na swoich spuchniętych nogach i runąłem na ziemię. Kopał mnie, wgniatał w błoto i ryczał:

- Ja cię nauczę pracować! U mnie będziesz pracował, ty przeklęty psie! Wróć tutaj za pół godziny i zobaczę, jak ty pracujesz!

Odszedł. Deszcz rozpadał się jeszcze bardziej. Ociekałem cały wodą. Woda ściekała ciurkiem po piersiach i plecach. Resztę dnia stałem nad swoim kamieniem nieruchomo, nieczuły na nic, tylko na widok zbliżającego się majstra unosiłem z determinacją i zawziętością kilof - i tłukłem nim, tłukłem.

Do obozu wróciłem zupełnie złamany i zrezygnowany. Blokowy Goldberg, były strażnik z getta, zaprowadził mnie do swojego pokoju i pozwolił się osuszyć i ogrzać przy piecu. Ten jego odruch współczucia i litości wzruszył mnie. Wybuchnąłem spazmatycznym płaczem i powiedziałem mu, że popełnię jakiś desperacki czyn, bo już dłużej nie mogę wytrzymać.

Blokowy Goldberg zapewnił mnie, że pomówi z Bładym.

- Może da się coś zrobić dla ciebie. Czy chciałbyś zostać kapo?

- O ile to będzie możliwe, to chętnie - odpowiedziałem bez namysłu.

Zaraz potem zacząłem żałować, że tak skwapliwie i bez zastanowienia zgodziłem się na jego propozycję, zapominając, co wiąże się z wykonywaniem tej funkcji. Przed oczami miałem jedynie dodatkową zupe, większą porcję chleba i to szczęśliwe położenie, w którym nie będę gnany kijem, bity pięściami i kopany, jak dotychczas.

Kaltwasser, niedziela, 1944.

Niewola egipska na pewno stokroć była lepsza od tej naszej obecnej. Wówczas przodkowie nasi przynajmniej jedli do syta, mieli siły do pracy i nie cierpieli chłodu. Nawet inkwizycji hiszpańskiej nie można porównać z

tym, co przeżywamy obecnie. Wówczas było jeszcze wyjście - przyjęcie chrześcijaństwa, a obecnie nie ma żadnego wyjścia. Za co cierpimy od tylu wieków? Za co? Dlaczego jesteśmy tak prześladowani?

W wyobraźni widzę koniec wojny, widzę wyzwolenie. Widzę siebie chodzącego po tej ziemi już bez żadnej obawy. Widzę Polskę wolną i szczęśliwą, zblizniającą szybko rany po tej okrutnej wojnie. Widzę Niemców zdruzgotanych, w gruzach i pogardzie.

Widzę nas, Żydów - bezdomnych i sponiewieranych, przez tyle wieków szukających spokoju pośród ludzi tylu narodów.

Wyobrażam sobie moje miasto rodzinne - Łódź... mój dom rodzinny, na zawsze dla mnie stracony.

Widzę Polskę - Ojczyznę, podnoszącą się z gruzów z niepohamowaną siłą wiary i mocą czynu; budującą swoją potęgę ze skarbca wezbranych, gorących uczuć do tej ziemi. A ja - polski Żyd, przybrany syn wielkiej rodziny - nieśmiało, pełen zwątpienia, nauczony smutnym doświadczeniem tragicznej przeszłości, niepewnie dorzucam swoją cegielkę do tego wielkiego, budującego się na nowo życia.

XIV

Kaltwasser, sobota, 1944.

Dzisiaj wstałem zupełnie zrezygnowany i zobojętniały. Bicie gongu fatalnie mnie nastroiło. Poszedłem na rewir do dra Altmana. Nie chciał nawet na mnie spojrzeć. Uniosłem nogawki i pokazałem mu moje opuchnięte nogi. Nie chciał ich oglądać. Rozmawiałem z drem Pikielnym, który powiedział mi, że on tutaj nie ma nic do gadania - wszystko jest zależne od dra Altmana, który jako naczelny lekarz ma wyłączne prawo kwalifikowania chorych. Błagałem, aby mnie przyjęli na rewir chociaż na jeden dzień - nic nie pomogło.

Przyszedł Lagerfuhrer, w asyście dra Altmana. Podchodzili do chorych, a Lagerfuhrer, uderzając każdego laską po głowie, pytał:

- Co jest z tą świnią?*
- Ten ma silne zapalenie płuc.*
- A ten?*
- Podejrzenie na tyfus. Wysoka gorączka.*
- A ta Świnia? - zdzielił mnie pałą po głowie.*

Doktor Altman wzruszył ramionami i zrobił zdziwioną minę.

- Ja go nie przyjąłem. On jest zdrów.*

Momentalnie posypał się na mnie grad uderzeń i wyzwisk:

- Du faule Sau, zurArbeit![\[1\]](#)*

Kaliński chwycił mnie za kark i zawlókł do mojej grupy w momencie, gdy kommando Sago i Werner miało wymaszerować do pracy Przez chwilęostałem w grupie, postanowiłem jednak zważyć się na ziemię i choćby mieli mnie zatłuc kijami, nie pójść dziś do pracy

- Gdy nasza grupa opuściła lager, udałem jeszcze bardziej kulawego, niż byłem w rzeczywistości. Szedłem na zgiętych nogach, wspierając się rękami o moich towarzyszy.

- Spostrzegł to jeden z esesmanów, który złapał mnie za kołnierz, popchnął w stronę Lagerfuhrera i krzyknął:

- Ten już teraz nie może chodzić! A co będzie w górach? A przy pracy? Zabierzcie go z powrotem!

- Lagerfuhrer dopadł mnie z kijem i bez opamiętania zaczął okładać po głowie i po nogach, wrzeszcząc: Du Sau!... du Sau! Uciekałem,

przystawiałem, unosiłem nogawki od spodni, pokazując swoje spuchnięte nogi. Nic nie pomagało. Uderzenia sypały się coraz silniejsze. Myślałem, że wyskoczę z bólu ze skóry. Wtem posłyszałem szept Błatego: - Krzycz!...

- Krzycz, bo on cię zabije... Krzycz głośno! Zacząłem krzyczeć ile tylko miałem sił w piersiach.

- Bicie natychmiast ustało. Przywołał mnie do siebie i zapytał, co mi jest. Znów uniosłem nogawkę, najpierw jedną, potem drugą, pokazując mu opuchnięte nogi. Wsparł się na kiju, rozdziawił gębę i zawołał:

- Altman, komm hier![\[2\]](#).

Podszedł dr Altman, a on wskazując na mnie, mówi:

- Na ja, der kann wirklich nicht laufen![\[3\]](#). *Ten pójdzie kartofle obierać - zdecydował.*

- Dzisiaj obierałem kartofle w baraku. Tutaj jest dobrze. Cały dzień jadłem surowe kartofle.

Jestem syty. Smakują nadzwyczajnie.

- Po skończonej pracy blokowy Goldberg zaprowadził mnie do Błatego, wskazał na mnie ręką i powiada:

- To on.

- Dobrze - mówi Błady. - Jutro odpoczniesz, a w poniedziałek pójdziesz do pracy jako kapo. Chcesz?

- Nie - odpowiedziałem stanowczo. - Ja nie nadaję się na kapo.

Goldberg otworzył drzwi. Wyrzucił mnie, kopnął i krzyczał:

- Więcej, idioto jeden, do mnie nie przychodź, bo cię zakastruję! Nie będziesz mi więcej głowy zawracał!

- Choćby mi przyszło znieść jeszcze gorsze męki, nigdy się nie spodłę i za kawałek chleba czy talerz zupy nie będę gnębił moich współtowarzyszy.

Kaltwasser, poniedziałek, 1944.

- Co dzień przed apelem idziemy do obieralni. Po ogólnym apelu obozowym przychodzi do nas Lagerfuhrer z Bładym, przeprowadzają na miejscu apel zatrudnionych tu trzystu więźniów. Obieramy kartofle i warzywa również i dla Niemców-esesmanów.

- Codziennie około dziesiątej z rana przyjeżdża do lagru kryty ciężarowy samochód, który zabiera stąd duże skrzynie, pełne trupów. Ta sama

ciężarówka przywozi również próżne skrzynie z poprzedniego dnia. Liczba zachorowań i zgonów rośnie z dnia na dzień. Rewir jest już przepelniony.

- Drzę na myśl, że lada dzień znów mogą mnie wysłać na kommando. Chociaż w obieralni jest zimno i poza kartoflami nic tutaj do jedzenia nie ma, ale przynajmniej tymi kartoflami mam zawsze wypełniony żołądek. Czasami niepostrzeżenie wynoszę kilka kartofli i wymieniam je w rewirze na chleb lub daję komuś z rewiru, aby mi je upiekł - za co oczywiście płacę również kartoflami. Jedzenie w obieralni lub wynoszenie kartofli na zewnątrz jest, rzecz jasna, związane z niebezpieczeństwem. Przy jedzeniu trzeba dobrze uważać, aby przydzielony do obierania kapo tego nie spostrzegł. Przed wyjściem z obieralni następuje rewizja, a każdy, u kogo zostanie znaleziony choć jeden kartofel, otrzymuje porcję kijów i zostaje natychmiast wydalony z grupy obierających. Moja metoda polega na tym, że gdy idę do ustępu, zabieram ze sobą dwa kartofle pod pachami i chowam je za belką między moimi notatkami.

- Dziś, będąc w ustępie, podsłuchałem rozmowę Lagerfuhrera z niemieckim lekarzem, który przybył do naszego lagru na inspekcję. Lekarz ów wyraził zdziwienie, że umiera tylko 50-60 ludzi tygodniowo.

- Przy ich odżywianiu, to istny cud - mówił. - Aby człowiek był zdolny do pracy, musi otrzymywać 1600 do 1800 kalorii dziennie. Każde odstępstwo od tej normy zmniejsza zapasy organizmu, ich zaś rezerwy powinny być dawno wyczerpane, ponieważ dzienna obozowa racja zawiera tylko 200-300 kalorii. Jeżeli dodać, że na samo trawienie wodnistej zupy organizm zużywa od 200 do 400 kalorii - powstaje pytanie, w jaki sposób ludzie ci jeszcze żyją?

- Obecnie jest już znacznie lepiej - zapewniał go Lagerfuhrer. - Dwa tygodnie temu mieliśmy tylko trzydzieści trupów tygodniowo, a teraz jednak przeszło sześćdziesiąt. W każdym razie nie ma co się martwić, gdyż powoli, powoli skończymy z tym „pensjonatem”!

Kaltwasser, wtorek, 1944.

- Na rewirze była dzisiaj wielka awantura. Część chorych skarżyła się przed Bładym na dra Altmana. Twierdzili, że nie daje im całych porcji chleba oraz sami widzieli, jak dr Altman wyjmuję kartofle i skwarki z przeznaczonej dla nich zupy.

- Blady wszedł do izby dra Altmana, zrobił rewizję i znalazł kilka menażek ze skwarkami oraz wielki zapas chleba. Doktor Altman tłumaczył się, że produkty te musi usuwać, ponieważ chorzy nie mogą trawić kartofli i skwarków. Jeśli chodzi o chleb, to odbiera go tylko niektórym, a oddaje innym, którzy powracają do zdrowia. Na świadków wezwał kilku chorych, zresztą swoich dobrych znajomych i przyjaciół, którym wydawał dodatkowy chleb.

- Cała sprawa oparła się o Lagerfuhrera, który zdecydował, że dr Altman wie, co robi. On jest naczelnym lekarzem i nikt nie ma prawa wtrącać się do jego spraw. Po podsłuchanej wczoraj rozmowie jestem przekonany, że dr Altman prowadzi tego rodzaju działalność na wyraźne zlecenie, a w każdym razie w porozumieniu z Lagerfuhrerem.

Kaltwasser, środa, 1944.

Chociaż nie chodzę do pracy i lepiej się odżywiam, nogi puchną mi coraz bardziej.

Skóra jest tak napięta, że aż się świeci. Jest to prawdopodobnie wynikiem całodziennego siedzenia i zimna, jakie tutaj panuje.

- Był u nas dziś Blady i zapowiedział, aby ci, co czują się na siłach, stanęli jutro do roboty, gdyż obóz ma być ewakuowany, a chorzy będą wysłani do Oświęcimia - do pieców.

- Macie jeszcze czas - powiedział - do jutra. Kto tutaj pozostanie, będzie zapisany przez Lagerfuhrera i wysłany.

- Niektórzy niepokoją się i postanawiają wrócić do roboty. Większość jest tak dalece zrezygnowana, że do pracy nie pójdzie. Mnie jest również wszystko jedno - do pracy nie powrócę.

Kaltwasser, piątek, 1944.

- Trzech nie przyszło dzisiaj do obieralni. Koło jedenastej zjawiał się Lagerfuhrer z Bladym i drem Altmanem. Lagerfuhrer sprawdził stan spuchlizny nóg u każdego z nas, a dr Altman zapisywał. Niektórzy prosili Lagerfuhrera, aby ich skreślił z listy. Obiecywali, że pójdą do pracy i będą się starali, ale nic nie pomogło.

- Chcę mieć zdrowych ludzi do pracy - oświadczył - a nie darmozjadów i chorych.

Tacy muszą iść do pieca!

Kaltwasser, niedziela, 1944.

- Dzisiaj obóz rzeczywiście został ewakuowany[4], a w lagrze pozostali jedynie chorzy z rewiru, jednak bez lekarzy, oraz personel obieralni, lecz bez dozoru kapo. Na zewnątrz lagru pozostało na posterunku kilku esesmanów.

- Mam wrażenie, że to nie były pogrożki, ale naprawdę wysłaliśmy nas do Oświęcimia na spalenie.

- Kapo w obieralni został chwilowo Heniek Gotheil z Łodzi, z Pomorskiej. Dopiero wczoraj sam dostał po mordzie od dotychczasowego kapo, za próbę wyniesienia kilku kartofli, a dziś wraz z pozostałymi napadli na mnie i odebrali mi kilka pieczonych kartofli, które przyniosłem z rewiru. Gotheil sam je zjadł, rozdając pozostałym po kartoflu, mnie zaś powiedział, że dość już się nażarłem, teraz inni też muszą jeść. Jeśli spostrzeże, że ktokolwiek wynosi kartofle, natychmiast zamelduje Lagerführerowi.

[1] Du faule Sau, zurArbeit! - Ty leniwa świnio, do roboty!

[2] komm hier! - Chodź tu!

[3] Na ja, der kann wirklich nicht laufen! - No tak, ten rzeczywiście nie może biec!

[4] Około 18.12.1944 r.zdrowych więźniów przeniesiono do nowo utworzonego obozu Lärche.

XV

Tannhausen[1], wtorek, 1944.

Wczoraj pod wieczór przybyliśmy tutaj na rewir. Składa się on z czterech murowanych, parterowych budynków. Budowlę tę dopiero co wykończono. Pokoje są jasne, z pryczami. W każdej izbie jest piec. Mamy nowe, białe prześcieradła ze stemplem „O.T.” i nowe koce.

Wczoraj byliśmy w kąpieli. Otrzymaliśmy świeżą bieliznę i świeże pasiaki. Odwszono nas.

Jest tutaj nadzwyczaj czysto i wszy już nas nie gryzą. Gdyby nie to, że wacha znajduje się na korytarzu i poza kolczastymi drutami, nie odczuwałbym wcale, że jestem więźniem. Z rana, przy apelu, wszyscy pozostają na swoich pryczach i tylko unoszą głowy. Apel odbiera Unterscharführer. Wolno nam cały dzień wylegiwać się na pryczach i do woli wypoczywać.

Co za rozkosz!

Tannhausen, czwartek, 1944.

Dziś odwiedził nas przed południem lekarz - Żyd holenderski, nadzwyczaj sympatyczny i dobry człowiek. Zapisał imię, nazwisko i numer. Wypytywał każdego szczegółowo o chorobę, a jako kurację zalecił leżenie w łóżku.

- To jest wszystko, czym mogę was leczyć - powiedział. - Przynajmniej na razie, póki nie nadejdą medykamenty. Jestem jednak zdania, że każdemu z was potrzebne jest tylko dobre odżywianie, ciepło, czystość i odpoczynek. Poza dobrym odżywianiem wszystko to macie na miejscu. Leżcie na pryczach, nie wychodźcie bez potrzeby, nie narażajcie się Unterscharführerowi, bo on nie znosi, jak ktoś chodzi po izbie lub korytarzu - w takich wypadkach staje się wściekły!

Tannhausen, sobota, 1944

Pod wpływem ciepła i odpoczynku spuchlizna zeszła mi zupełnie. Boję się, abym nie został odesłany z powrotem do obozu, gdyż lekarz zapowiedział, że kto wyzdrowieje, musi wracać do obozu, z którego wyszedł. To byłoby straszne. Wolałbym już tutaj umrzeć.

Co prawda jedzenie jest tutaj jeszcze gorsze niż w obozie, ale za to jak błogo jest leżeć cały dzień w cieple, pod kocem i myśleć o przeszłości i

przyszłości. Chętnie oddałbym pół porcji mojego nędznego jedzenia, aby móc tu tylko pozostać. Leżąc, znosi się przecież łatwiej głód. Wzdrygam się na myśl o pracy w takim dniu jak dzisiaj.

Tannhausen, poniedziałek, 1944.

Dziś lekarz obszedł rewir i wypisał zdrowszych, między którymi jestem i ja. Prosiłem go, aby mnie jeszcze zostawił, ale wyjaśnił, że to niemożliwe i nie powinienem o to się starać, gdyż inni chorzy czekają już na nasze miejsca, a każdy chce trochę odpocząć. Dziś wieczorem mamy opuścić rewir.

Tannhausen, czwartek, 1944.

Jeszcze jestem na rewirze. Prawdopodobnie dziś lub jutro powrócę do lagru. Pozostałem tu tylko przez przypadek. W poniedziałek wieczór, przed opuszczeniem rewiru, wyszedłem na dwór, do ubikacji. Schyliwszy się szukałem kawałka drzewa, który mógłbym zanieść do izby na opał, gdy niespodziewanie na moją głowę posypał się grad potężnych uderzeń, zadawanych przez Unterscharführera grubym, dębowym kijem. Nie zdążyłem uciec, upadłem, a on tłukł mnie bezlitośnie tak długo, póki nie straciłem przytomności.

Ocknąłem się dopiero w gabinecie lekarza, gdy obmywał mi twarz zimną wodą. Leżałem kilka godzin nieruchomo, nie mogąc ruszyć ani ręką, ani nogą, a krew ciągle rzuciła mi się ustami i nosem. Później zaniecono mnie do izby i położono na łóżku. Lekarz powiedział mi, że tylko dzięki wielkiej odporności organizmu wytrzymałem to katowanie. Inny na moim miejscu padłby prawdopodobnie trupem. Jeszcze dziś strasznie szumi mi w głowie, twarz jest posiniaczona, zaś nos i wargi, i jedno ucho spuchnięte.

Byłem dziś świadkiem, jak Unterscharführer dotkliwie pobił w ustępie lekarza za to, że któryś z chorych zanieczyścił podłogę. Zmusił lekarza do zebrania rękami nieczystości.

Wüstegiersdorf, V Lager, poniedziałek, 1944.

W poniedziałek opuściłem lager wraz z dziesięcioma innymi. Skierowano nas do V Lagru.

Byliśmy w kąpieli, po czym otrzymaliśmy świeżą bieliznę, mnie zaś wydano nareszcie nowe trepy.

Jeśli zostanę żywy, zawsze będę pamiętał niezwykle serdeczne przyjęcie, jakiego doznaliśmy ze strony piętnastoletniego chłopcaHaftlinga. Widząc

nas zmizerowanych i drżących, z zapadniętymi oczami i policzkami, patrząc na moją zmasakrowaną twarz, miał łzy w oczach. Poszedł do Lagerältestera i wyprosił u niego dla nas chleb oraz zupe.

Uważając, że dostałem za mało, oddał mi jeszcze swój własny chleb. Nie mogłem odmówić przyjęcia tego daru, gdyż czułem, że sprawiłoby mu to prawdziwą przykrość.

Chłopiec polecił mi także, abym zgłosił się do niego nazajutrz, obiecując, że może zdoła mi w czymś pomóc. Długo szukałem, nim go odnalazłem, ponieważ nie chciał ujawniać swego imienia ani nazwiska. Dowiedziałem się o nim tylko tyle, że jest bratankiem magazyniera lagru. Ucieszył się bardzo z moich odwiedzin i przyrzekł, że postara się wkręcić mnie do kommando, gdzie sam pracuje, jeśli to tylko będzie możliwe.

Wüstegiersdorf, V Lager, wtorek, 1944.

My, którzyśmy przybyli tutaj z rewiru, nie chodzimy do pracy na zewnątrz obozu, lecz pracujemy na terenie lagru, pod nadzorem kapo. Cały dzień zamiatamy dziedziniec, porządkujemy śmietnik, rąbiemy drewno. Niektórzy mają tyle szczęścia, że zostali przeznaczeni do sprzątnania bloku. Im jest dobrze, gdyż omija ich deszcz, śnieg i chłód przenikający do szpiku kości oraz bystre oko Lagerführera, który nie znosi, aby ktokolwiek stał beczynnie, gdy tymczasem często się zdarza, że roboty na dziedzińcu nie ma.

Kiedy pojawia się Lagerführer, ogarnia nas obłędny strach. Każdy szuka jakiegokolwiek zajęcia, ale często teren jest już tak wyprzątnięty, że brak jest nawet źdźbeł słomy, aby każdy mógł przenosić choćby po jednej słomce z miejsca na miejsce. Ale on tego nie uwzględnia, jego to nic nie obchodzi. Chce, aby wszyscy pracowali i znajdowali się w nieustannym ruchu.

Nawoływanie kapo: Arbeiten! arbeiten! - jeszcze bardziej nas dezorientuje i każdy błaga Boga o cud, aby móc znaleźć sobie jakieś zajęcie. Nasza przymusowa beczynność wprawia bowiem Lagerführera w taką furję, w taki szal, że ryczy, bije i kopie, póki ofiara nie straci przytomności. Schronić się nie ma gdzie, gdyż dziedziniec jest mały, a do bloku nie wpuszczają blokowi.

Na terenie lagru znajduje się dwupiętrowy budynek fabryczny. V Lager, podlegający GrossRosen, jest podcentralą wszystkich obozów na Dolnym

Śląsku. W obozie naszym przebywa około tysiąca Haftlingów. Pracują oni w różnych kommando na zewnątrz obozu.

Tutaj też mieści się centralny magazyn żywnościowy i magazyn odzieżowy, w którym zatrudniona jest część więźniów. Niektórzy pracują na dworcu przy wyładowywaniu wagonów z prowiantem, inni w ślusarni, stolarni, szwalni, warsztacie szewskim, przy rozwożeniu prowiantu do obozów, przy kanalizacji, budowie dróg. Odżywianie jest tutaj lepsze niż w Kaltwasser czy na rewirze. Jest tutaj nawet - w piwnicy - pomieszczenie kąpielowe, w którym można się co dzień myć. Brak jedynie pracy dla nas - nowo przybyłych - toteż jesteśmy cały dzień przepędzani z jednego miejsca na drugie. Fakt, że podobni do umarłaków zasługujemy tu na miano „muzulmanów”, musi tak samo drażnić funkcyjnych, jak nas razi ich czerstwy, zdrowy wygląd; wygląd nasz zapewne ośmiela ich, czy może nawet zachęca, do jeszcze większego znęcania się nad nami.

Pod wieczór, gdy kommanda powracają z pracy, lagersię ożywia. Zaczyna się handel wymienny. Ci, którzy coś zdobędą, czyli „zorganizują” przy pracy, sprzedają swoje zupy za chleb lub culagę - tłuszcz, kawałek kielbasy i surowe kartofle, które gotuje się na piecu, w bloku.

We wszystkich blokach rozlega się wołanie:

Kartofle do sprzedania! Zupa do sprzedania!

Można tutaj nabyć nawet cukier i makaron od tych, co pracują na dworcu lub w magazynie żywnościowym. Największym popytem cieszy się culaga, a więc: margaryna, kielbasa i ser, które otrzymujemy co drugi dzień. Dlatego też zazdrościmy tym, co idą na kommando, jakby tam było złote runo.

Wüstegiersdorf, V Lager, czwartek, 1944.

Przepracowaliśmy dzisiaj pierwszy dzień w kommando wraz z czterema innymi, którzy również powrócili z rewiru. Wybieraliśmy fekalia z dołu kloacznego, pod nadzorem esesmana. Przy sposobności „zorganizowaliśmy” sobie trochę kartofli z pobliskiej szopy, które zamieniliśmy wieczorem na zupę i chleb, a część upiekliśmy. Jutro kazano nam też iść do pracy.

Wüstegiersdorf, V Lager, sobota, 1944.

Jestem chory. Nie mam zupełnie apetytu. Mdli mnie, wstrząsają mną silne dreszcze i czuję łamanie w kościach. Niemniej jednak „zorganizowałem”

sobie przy pracy trochę kartofli, które zamieniłem na chleb. Pierwszy raz od czterech lat mam chleb i nie kusi mnie, aby go zjeść. Może jednak lepiej być stale głodnym, bo wówczas nie myśli się o niczym innym i jest tylko jeden cel, jedno dążenie - najeść się do syta!

Wüstegiersdorf, V Lager, środa, 1944.

Dzisiaj każdego z nas, świeżo przybyłych, spisano. Mają nas odesłać z powrotem do naszych „macierzystych” obozów. Czynimy rozpaczliwe starania, aby pozostać na miejscu.

Rozmawiałem z Morycem, który ma wielki wpływ na Lagerführera, ten zaś nadzoruje wszystkie obozy w okolicy. Niestety, nie dał mi żadnej nadziei.

Przygniata nas, żywe jeszcze, wspomnienie strasznych tortur i głodu, jaki nas tam czeka.

Zdawało się, że tamto minęło bezpowrotnie, a jednak trzeba będzie wracać do tej kaźni.

Nie chcę myśleć o tym, bo i tak przecież nic nie poradzę. Wierzę jednak, że gdy się tam znajdę, będę sobie jakoś radził i dalej brnął przez tę ohydę. Najgorzej, że straciłem bezpośredni cel działania, jakim było dążenie do zaspokojenia głodu - a wszelkie inne dążenia i myśli już pierzchły...

[1] Tannhausen - Jedlinka, pow. wałbrzyski

XVI

Lärche[\[1\]](#), niedziela, 1944.

Od piątku jesteśmy w tym obozie. Notatki moje z V Lagru przeniosłem ukryte w trepach, inaczej znalazłby je, gdyż przed naszym wyjściem przeprowadzili gruntowną rewizję.

Sprawdzali, czy ktoś nie ma na sobie dwóch koszul lub dwóch par kalesonów. Sam nie rozumiem tego swojego dziwactwa. Na co mi to jest potrzebne?

Pracuję w nocy przy kipowaniu. Co sześćdziesiąt minut nadchodzi pociąg, składający się z szesnastu lor ze zmarzniętym piaskiem. Piasek jest twardy jak kamień. Trzeba go rozbijać kilofem, a ściany wagonu ostukać dużym młotem, aby pozostałości odpadły. Mróz szczypie w twarz i ręce. Grupa nasza liczy trzydzieści osób. Pracujemy bez odpoczynku pod batami esesmanów, majstra i Ukraińca Iwana. Silny, mroźny wiatr zrywa się co chwila i prószczy nam w oczy śniegiem. Nie sposób usłyszeć czyichkolwiek słów - wiatr je porywa ze sobą.

Po wykipowaniu piasku i wyrównaniu terenu przesuwamy szyny za pomocą knypli.

Gdy tylko zakończymy pracę przy jednym pociągu, już nadchodzi następny - i znów bierzemy się za kilofy.

Ciszę nocą przerywają głuchoe uderzenia młotów i kilofów. Kto pada przy pracy lub mdleje, tego cuci kij majstra, esesmana lub Ukraińca.

O dwunastej mamy półgodzinną przerwę na zjedzenie zupy, którą zabieramy ze sobą na miejsce pracy. Wczoraj majster postawił kociołek z zupą tuż przy szynach - gdy pociąg się zbliżał, przysunął go jeszcze bliżej; oczywiście, cała zawartość wylała się na piasek. Rozpacz nasza nie miała granic, ale majster znalazł wyjście: ustawił nas w kolejce, każdy podchodził do miejsca, gdzie została rozlana zupa i podnosił dwa kawałki kartofla lub brukwi. Taka była tej nocy nasza kolacja. Nad ranem ledwie dowlekliśmy się do lagru.

Baraki nasze, zbudowane z cienkiej dykty, ustawione są w lesie, na zboczu góry. Śpimy na mokrej podłodze, pod ścianą. W południe, kiedy pod działaniem słońca topnieje śnieg, strumienie wody wlewają się przez liczne otwory do wnętrza baraku.

Kapo są ci sami, co w Kaltwasser, podobnie jak reszta władz obozowych. Cały obóz został tu przeniesiony - do Lärche; ponadto z GrossRosen przybyło kilkuset greckich i włoskich Żydów. Kaliński awansował na Lagerkapo.

Lärche, środa, 1944.

Wczoraj wezwał mnie do swej budy w lesie esesman i kazał mi rozpalić ogień. Był taki mróz, że aż trzaskały drzewa. Po napaleniu powiedział, że już mogę wracać do roboty.

Prosiłem, aby mi pozwolił trochę pozostać i ogrzać się przy ogniu. Zgodził się, pod warunkiem jednak, że gdy posłyszę, iż ktoś się zbliża, mam udawać, że dopiero co zakończyłem sprzątanie - i wyjść.

Ucieszyło mnie to bardzo. Znów palce u rąk mam popękane, a koszula rozsypuje się w strzępy, toteż wiatr łatwo dobiera się do mego ciała. Siedziałem cicho jak mysz, bałem się nawet oddychać, aby go nie rozeźliła moja obecność. Po kilku minutach pierwszy przerwał milczenie i zapytał, skąd pochodzę.

- Z Łodzi... z Litzmannstadt - odpowiedziałem.

Zacząłem opowiadać o naszych mękach w getcie. Mówiłem szybko, ile mi tchu starczyło, aby tylko zdążyć. Chciałem, aby zrozumiał, że nie jesteśmy bezdusznymi przedmiotami, jakimiś robotami, że też czujemy i myślimy na równi ze wszystkimi innymi ludźmi.

Chciałem, aby zrozumiał, że pomimo naszego poniżenia, jesteśmy tacy sami jak inni ludzie na świecie, że prócz kości i skóry, prócz naszych wygłodzonych i zmaltretowanych ciał, posiadamy jeszcze serca i dusze. Kiedy wspomniałem mu, że nic nie wiem o losie mojej żony i dziecka, i jestem pełen obaw, że mogą już nie żyć, usłyszałem jego szloch i słowa:

- Ja też nie mam już od sześciu miesięcy żadnej wiadomości od swoich najbliższych.

- Hamburg leży w gruzach. Nie wiem, co się stało. Mój los niewiele różni się od twojego. Ja też nie chciałem wojny. Było mi dobrze przed wojną... byłem ze swoją rodziną.

Plakał coraz bardziej, przejęty własnym nieszczęściem, nieczuły, głuchy na cierpienia innych. Jego ograniczenie i małoduszność czyniły go obojętnym na cudze tragedie. Nieomal czułem, jak chowa się w grubej

skorupie własnego egoistycznego bólu, gdzie nie było już miejsca na żaden głos sumienia.

Zamilkliśmy obaj. Cisza stała się męcząca. Nie chciałem więcej wykorzystywać jego wspaniałomyślności. Prawie godzinę przebywałem w budzie. Niechętnie, ociągając się, wstałem i wyszedłem na śnieg, mróz i wiatr, który dech zapierał w piersiach. Po chwili poddałem się już magicznej sile kija, za pomocą którego majster pozbawiał nas resztek sił.

Lärche, niedziela, 1944.

Dziwnie ludzie pojmują dobro i zło.

Czasy przedwojenne są w mojej wyobraźni spowite gęstą mgłą. Jest to coś zupełnie nierealnego, nieuchwytnego, może nawet nieprawdopodobnego. Coś takiego, o czym nie ma co myśleć i marzyć. Czasy te nie wrócą już nigdy.

Natomiast myślę czasami o getcie i - dziwna rzecz - wszystkie koszmarne przeżycia z tego okresu zatarły się już prawie całkowicie w mojej pamięci. Jeżeli myślę o tym obecnie, to wspominając swój ciepły pokój i łóżko oraz szczęście, jakie przeżywałem w dniu otrzymania przydziału żywnościowego; myślałem o dziecku, żonie, braciach. Chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że i w getcie byłem więziony za drutami, to spoglądając na to w mojej obecnej sytuacji, odnoszę wrażenie, że może ulegałem jednak złudzeniom. Przecież w obrębie getta mogłem względnie swobodnie poruszać się, mogłem rozmawiać z żoną i bawić się z dzieckiem, a także rozmyślać bez przeszkód; byłem razem z najbliższymi i nic nas nie dzieliło. Tutaj nawet przebywanie w ustępie jest pod stałym dozorem i podlega ograniczeniom.

Gdyby tak można było resztę życia spędzić tam, w tym głodującym getcie, za tymi drutami, razem z moimi bliskimi, nie tęskniłbym do większego szczęścia.

Cały świat wydaje mi się jednym wielkim gettem, poza które zwykły, szary człowiek nie potrafi wyjść.

Każdy dąży do tego, aby ograniczyć się i stworzyć swój własny, mały świat, tak mały, aby można go było objąć własną, małą duszą i mizernym sercem - zasklepić się w tym świecie i rozkoszować się nim.

Lärche, piątek, 1944.

Dawno już pogodziłem się z myślą o utracie tego „raju”, jakim było getto, ale wspominając rewir w Tannhausen doznaję uczucia, jakbym z

własnej tylko winy opuścił to miejsce.

Dręcę się, że lekkomyślnie, być może, zaprzepaściłem okazję pozostania w rewirze i V Lagrze, tym samym tracąc jedyną i, zdaje się, osiągalną szansę przetrwania wojny.

Gorzej niż mamy tutaj, być nie może. Chociaż nie - nie powinienem narzekać, bo przecież mogłoby być gorzej. Mogliby nas, dajmy na to, trzymać przy pracy zamiast dwunastu godzin - całą dobę, póki nie skonamy z wycieńczenia lub nie zamarzniemy na śmierć.

Nierzadko zresztą znajdujemy się w podobnej sytuacji.

W poniedziałek, po powrocie z nocnej pracy, nie zdążyliśmy nawet napić się kawy, gdy znów wypędzono nas do całodziennnej pracy przy rozładowywaniu wagonów z amunicją.

Zmęczonych, przemarzniętych i niewyspanych zmuszono do całodziennego dźwigania pięćdziesięciokilowych skrzyń z amunicją po stromej, śliskiej górze. Choć pracowali wszyscy, to przecież najstraszliwiej cierpieliśmy my - nocna zmiana. Zdrętwiałe od lodowatego chłodu i wysiłku ręce raz po raz wypuszczały na ziemię skrzynię, a esesmani i majstrowie bili nas niełitościwie kolbami.

Pięciu z tej nocnej zmiany pozostało na zawsze, z rozplatanymi głowami, wieczorem zaś raz jeszcze musieliśmy pójść do naszej zwykłej roboty przy kipowaniu. Nie pozwolono nam przy tym nawet ogrzać się lub zjeść zupę. Kociołek z zupą zabraliśmy na Baustelle, lecz dopiero o północy, po trzydziestogodzinnej pracy o pustym żołądku dostaliśmy miskę lodowatej lury. Przez resztę nocy cucono nas i budzono za pomocą kijów, bo każdy zasypiał z kilofem w rękach.

Lärche, czwartek, 1944.

Po usilnych staraniach, udało mi się zmienić nocną pracę na dzienną. Od poniedziałku pracuję już w dzień. Sadystyczni majstrowie i esesmani, natrząsając się z nas i naszej okropnej nędzy, urządzają sobie wesołe widowisko. Wygląda to tak, że gdy w porze obiadowej przywożą południową zupę, a jest to w istocie zabarwiona i ledwie zaprawiona woda, wydzielający ją esesman zamiast litra nalewa każdemu tylko połowę. Jesteśmy, rzecz jasna, bezgranicznie rozzarowani, ale w poczuciu własnej bezsilności, nie okazujemy tego.

Potem esesman wybiera niektórych, ustawia ich w kolejce i wydaje dodatkowo trochę zupy. Powstaje ścisk, każdy pcha się naprzód, chcąc zwrócić na siebie uwagę, w nadziei, że zostanie wyróżniony przez esesmana. Tymczasem ten, przerywając dzielenie, rzuca czerpak i odchodzi na kilka kroków od kociołka, mówiąc:

- Dzielcie sobie sami, ja się tym więcej zajmować nie będę!

W odpowiedzi prawie jednocześnie gromada więźniów dopada kociołka. Talerzami i rękami starają się zdobyć chociaż łyk zupy. Odpychają się wzajemnie, szarpią, przewracają i depcą. Z dala stoją esesmani, majstrowie i Ukraińcy - wszyscy zaśmiewają się do rozpuku, zataczają się, łapią za brzuchy. Niektórzy z nas, bardziej ambitni i opanowani, wołają:

- Przestańcie! Wstyd! I tak się tym nie najecie! Poniżacie się tylko!

Nikt jednak na te nasze słowa nie zwraca uwagi; nikt tych słów nie słyszy. Przy kociołku robi się zamieszanie. Jedni drugim wyrrywają go z rąk. Kiedy szarpanina dochodzi do punktu kulminacyjnego, ten sam esesman dopada zbiegowiska i kolbą zaczyna walić stłoczonych. Pomimo to niektórzy nie dają za wygraną, kurczowo trzymają się kociołka i szamocą ze sobą - ociekając krwią, rękami wybierają kartofle i chlepcą zupę.

Widowisko takie powtarza się dzień w dzień, a nie ma siły, która by mogła w tym przebiegu zdarzeń cokolwiek zmienić. Dzisiaj jeden z esesmanów przyniósł z sobą aparat fotograficzny i ku uciesze swoich kolegów wielokrotnie fotografował tę nadzwyczajną scenę.

[1] AL Lärche zostai zbudowany na zboczu góry Ramenberg (Soboń). Nazwa obozu pochodzi prawdopodobnie od modrzewia (Lärche), który być może występował w tej części lasu, gdzie zlokalizowano obóz.

XVII

Lärche, niedziela, 1944.

Wczoraj, w czasie przerwy obiadowej, gdy maszynista zatrzymał obok nas parowóz, podszedłem do lokomotywy, aby ogrzać zmarznięte ręce.

Wyglądający przez okno maszynista, zapytał mnie:

- A cóż to za przestępstwo popełniłeś, że tutaj jesteś?

- Ja? - zdziwiłem się. - Ja? Żadnego.

- A dlaczego cię tu umieścili?

- Bo jestem Żydem.

- Skąd pochodzisz... z jakich stron?

Zacząłem mu wszystko opowiadać, wszystko o naszym życiu - o tym, jak nas wysłano z getta łódzkiego, o tym, jak nas Biebow oszukał, zapewniając: „Jedziecie do Niemiec na roboty... będzie wam tam dobrze”, o naszym czteroletnim głodzie w getcie, o tym, jak ludzie umierali z prośbą na ustach: „Dajcie mi jeden kęs chleba”, a najbliżsi spoglądali na to bezsilnie.

Opowiedziałem mu również o obecnej naszej sytuacji.

Słowa moje wywarły na nim przygnębiające wrażenie. Zamyślił się i rzekł, jakby do siebie:

- A nam mówili, że jesteście najgorszymi przestępcami na świecie.

Wyjął kawałek chleba, rozejrzał się na wszystkie strony i chciał mi go dać. Pokusa była ponad ludzkie siły. Jakiś spazm zdławił mi gardło, nie byłem w stanie choćby jednym słowem odpowiedzieć: nie, nie chcę!, tylko ruchem głowy gwałtownie zaprotestowałem. Nie mogłem tego chleba przyjąć, aby nie myślał, że chciałem w nim wzbudzić litość.

W tej chwili odżyły wspomnienia z getta. Przypomniałem sobie scenę, gdy niemiecki wartownik przywołał do siebie mojego dziewięcioletniego synka i dał mu kawałek chleba z masłem, a on, ku wielkiej mojej rozpacz, nie chciał go przyjąć, pomimo że był stale głodny.

Pamiętam, z jaką mocą, siłą przekonania, zawziętością i bólem, powiedział do mnie:

- Ty! Tato! Jak ci nie wstyd? Ty! Tato! Każesz mi przyjąć od Niemca chleb?! Wolę z głodu umrzeć, a od niego nie przyjmę. Jak urosnę i będzie już po wojnie, zemszczę się na nich, ale małym dzieciom nie zrobię krzywdy,

bo cóż one są winne? W czym ja zawiniłem, że urodziłem się Żydem? Czy to jest grzech? Czy uczyniłem komu co złego?

Wyobraziłem sobie, co by powiedział mój syn, gdyby był tutaj i widział, że ja, jego Ojciec, Wzbudzam litość u Niemca, aby dostać kawałek chleba. Nie, nie wezmę chleba, za nic w świecie! Jakby usprawiedliwiając się przed sobą, pomyślałem: Przecież wcale nie miałem zamiaru wzbudzać w nim litości. Chciałem tylko, aby dowiedział się prawdy o nas - „najgorszych przestępcach na świecie”.

Lärche, poniedziałek, 1944.

Dziś nie poszedłem do pracy. Na skutek zarządzenia Lagerführera, mamy od wieczora powrócić na nocną zmianę. Na samą myśl o tym, wstrząsają mnie dreszcze.

Chciałbym schować się głęboko pod ziemię. Och, gdyby tak można umrzeć, nie żyć już w tej chwili!...

Skończyłyby się moje cierpienia. Czuję, jak kurczy się mój żołądek. Wewnątrz brzucha coś szczypie i ściska. Może to żołądek trawi sam siebie... Jest mi zimno. Drżę i szczękam zębami.

Moja koszula to same strzępy i frędzle - nie mogę sobie dać z nią rady. Wszy żywem zagryzają. Po co tak się męczę? Za co? Czy nie lepiej z tym wszystkim skończyć? Nie! Nie pozwala mi na to myśl, że może jednak odnajdę mego syna. Dzieci chyba nie są tak torturowane? Muszę żyć dla mojego dziecka.

Boże! Co się ze mną dzieje? Nie mogę myśleć. Mąci mi się w głowie. Czy konam?

Drżę cały.

Chwieję się na nogach. Cały świat kołysze się, chybocze. Położę się spać.

Lärche, poniedziałek, 1944.

Poleżałem na mokrej kojce może godzinę, a może i dłużej. Nogi nie wytrzymały ciężaru ciała. Obsunąłem się. Padłem na siennik jak martwy. Pierwszy raz od czasu, jak jestem w obozie, spocilem się. Oblał mnie zimny pot. Czułem mdłości i jakąś sztywność. Zapadłem się w siebie, w głęboką wewnętrzną ciemność.

Leżąc na kojce, doszedłem do wniosku, że właściwie nikt nigdy nas nie zrozumie. Ten, kto sam, osobiście tego wszystkiego nie przeszedł, nie zdoła ani nas, ani tego wszystkiego, co się z nami działo - zrozumieć. To jest

niepojęte! Słownik ludzki jest zbyt ubogi i nie ma takich słów, którymi można byłoby opisać nasze męki. Myślę, że trzeba wybaczyć wszystkim, którzy w obozie spodlili się na skutek katuszy i głodu. Sądzić ich nikomu nie wolno prócz tych, którzy żyli w takim samym piekle. Prócz nas nikt nie zrozumie i nie będzie wiedział, do czego może doprowadzić głód i nieustanne znęcanie się nad człowiekiem.

Nie mogę jednak znaleźć usprawiedliwienia dla Kalińskiego, bo on ma możliwość być sytym bez znęcania się nad nami.

Lärche, czwartek, 1944.

Wynalazłem sposób, aby łatwiej znosić ból. Wmawiam sobie, że to, co mnie fizycznie boli, to nie mnie boli, a jedynie tylko moje ciało - i to nie powinno mnie wcale obchodzić. Ja, to jestem ja - ten, co myśli, rozumie i czuje, a ciało to jakby tylko przedmiot, jakiś instrument.

To jest tak samo, jak z tym kawałkiem palca, którego brak mi u ręki. Może ten kawałek palca, który gdzieś gnije, odczuwał jakiś ból. Może ból czuły mięśnie, kości, ścięgna, czerwone i białe ciałka krwi, ale ja tego bólu już nie czuję. Choć to jest kawałek mojego własnego ciała, ale w tej chwili jest mi obcy, nic nie mam z nim wspólnego - tak samo jak nie chcę mieć, jak często nie mam, nic wspólnego z resztą mego ciała. Staram się jakby wyłączyć ciało, oddzielić od reszty „siebie”. W ten sposób jest mi lżej i nie odczuwam już takiego bólu, jak poprzednio, gdy jestem bity.

Również z głodem poradziłem sobie do pewnego stopnia. Drogą wielu wysiłków doszedłem do takiej wprawy, że nie myślę o jedzeniu wcale, oprócz chwili samego jedzenia.

Codziennie chodzę na śmietnik i uważnie wybieram obierzyny, które po umyciu, ale na surowo, daję do strawienia żołądkowi. Zapycham go, aby mnie nie dręczył. Mój żołądek posiada chyba jakiś własny rozum i wie, że takie jedzenie musi mu smakować, że niełatwo je zdobyć, że wreszcie nie gotowane łupiny składają się z samych witamin.

Kiedy żołądek zaczyna czasami kaprysić, tłumaczę mu cierpliwie, że i tak w tej chwili nie ma nic lepszego do jedzenia, a jak się wojna skończy, sprawię mu taką ucztę, jakiej jeszcze nigdy nie trawił. Tymczasem, jeśli chce przeżyć, musi zadowolić się „witaminami”.

Ta najbardziej zachłanna część mojego organizmu na pewno posiada jakąś inteligencję, gdyż poddaje się moim argumentom i odczuwa

przyjemność, gdy ją napchać obierzynami ze śmietnika.

XVIII

Wolfsberg, środa, 1944.

W poniedziałek rano wysłali czterdzieści osób do Wolfsberga. Drogę, jakieś osiemnaście kilometrów, odbyliśmy pieszo. Lagerführer wybrał najgorzej wyglądających, samych „muzułmanów”, i oświadczył, że „tam” podreperujemy się. Kilku z nas, najbardziej osłabionych, padło w drodze. W obozie oczekiwał już nas Unterscharführer. Na widok naszych ślaniających się postaci zrobił litościwą minę i kazał prędko przynieść krzesło dla niejakiego Ryby, który nie mógł już utrzymać się na nogach o własnych siłach. Usadził go przed nami na dziedzińcu i zaczął przemawiać:

- Och, ty musisz być bardzo chory... Widać to po twojej twarzy i oczach... Pewnie dalej już byś nie zaszedł... Przydałaby ci się gorąca kawa z mlekiem, słonina, wygodne łóżko z ciepłym kocem... Tak, tak... zaraz się zrobi, zaraz to wszystko będziesz miał.

Ryba nic nie odpowiadał, tylko kiwał potakująco głową, którą z trudem unosił na szyi.

Unterscharführer poszedł do kuchni i wrócił z pełną menażką gorącej kawy. Zbliżył się do Ryby i troskliwie zapytał:

- Chcesz pić? Na, masz, ale ostrożnie, wolno, bo mógłbyś się zakrztusić.

Podsunął mu menażkę prawie pod sam nos i chlusnął całą zawartość w twarz. Ryba mimo woli uniósł się z krzesła.

- A widzisz! - mówił dalej esesman. - Już ci jest lepiej. A teraz pobiegamy sobie trochę, aby rozgrzać się, bo nie daj Boże, możecie się przeziębnić.

I pędził nas, z kijem w ręku, ze dwie godziny po olbrzymim dziedzińcu, póki kommanda nie zaczęły wracać do obozu.

Tejże nocy Ryba zmarł z wycieńczenia na rewirze, a sześciu innych umarło w blokach, w których zostaliśmy rozmieszczeni.

Ten obóz w Wolfsbergu jest duży. I on, podobnie jak poprzednie, położony jest na zboczu góry, ukryty w lasach i odcięty od świata. Jest nas tutaj ponad sześć tysięcy Żydów polskich, czeskich, greckich, włoskich, niemieckich i węgierskich. Firm, które korzystają z naszej niewolniczej pracy, jest aż trzydzieści osiem. Praca jest taka sama jak w Lärche.

Niektóre grupy pracują w tunelach, dla firmy Stohl. Ci ludzie mają najlepiej. Zajęci są wszystkiego osiem godzin na dobę i otrzymują co dwa tygodnie dodatkowo jeden kilogram chleba; prócz tego wydają im porcje sztucznego miodu, cukru, margaryny i papierosów. Baustelle jest tutaj olbrzymie, odległe od obozu o jakieś trzy kilometry. Cała droga pokryta jest śniegiem, sięgającym kolan. Ja pracuję w „małych kamieniołomach”.

Wolfsberg, niedziela, 1944.

Wczoraj przybyło do naszego obozu siedmiuset nowych Haftlingów z Oldenburga. Są to wszystko młodzi chłopcy, w wieku od czternastu do dwudziestu lat.

W czasie apelu dostrzegłem jakąś dziecięcą znajomą twarz. Okazało się, że to jest mój kuzyn Morgenstern. Chłopak liczy obecnie szesnaście lat. Od dwóch lat przebywa w różnych obozach. Był już w GrossRosen, w Oranienburgu, w Oldenburgu, w Sieben Teichen, a obecnie trafił tutaj. Wyjechał „ochotniczo” do getta będzińskiego zamiast swego ojca, wyznaczonego przez Judenrat na wysyłkę. Byłem tym wypadkiem zdumiony.

- Ojciec pozwolił ci wyjechać? - spytałem. - Miałeś dopiero czternaście lat...

- Cóż było robić? Ja byłem najstarszy, nie mogłem przecież pozwolić, aby on jechał. W domu pozostawała matka i troje małych dzieci, a ja byłem w sam raz. Choć, co prawda, to i tak na nic się nie zdało - getto będzińskie zostało zlikwidowane.

Po ostatnich słowach westchnął ciężko, zamyślił się i smutno spojrzął w dal.

Wolfsberg, wtorek, 1944.

Od poniedziałku pracuję na nocnej zmianie w firmie Buzer, przy kipowaniu. Na samym szczycie góry wiatr hula swobodnie i gwiżdże przejmująco. Powiadają, że tutaj jest „niemiecki Sybir”.

Co pół godziny nadchodzi pociąg z kamieniami, które musimy wyładowywać i kipować do wąwozu. Słyszeć tylko uderzenia kilofów, szurgot szufel i łoskot spadających kamieni. Niezmordowany majster nawołuje: - Bewegt euch... Bewegung!

Praca nagli. Nim zdążymy rozładować jeden pociąg, już nadjeżdża drugi. Nie ma czasu odetchnąć. Wyężamy wszystkie siły, byleby nadążyć. Walczymy z wichurą, która nas chce przewrócić. Każdy dobywa z siebie

resztek sił i pracuje, aby tylko nie zamarznąć. Choć majster nie może narzekać na tempo naszej pracy, to jednak, gdy spojrzy na zegarek i widzi, że niebawem nadejdzie następny pociąg, wpada w szal i okłada nas kijem po głowach, usiłując nakłonić nas w ten sposób do większego wysiłku.

Wolfsberg, środa, 1944.

W nocy dziewięć lor stoczyło się z nasypu w dół. Maszynista nie zahamował w porę - widocznie nie dostrzegł sygnałów podawanych przez majstra za pomocą latarki.

Parowozowi nic się nie stało, gdyż pociąg Baustelle zawsze zjeżdża tyłem - zdążył zatrzymać się, ale dziewięć wagonów spadło do przepaści.

W pierwszej chwili byłem zadowolony. Myślałem, że praca zostanie tymczasem przerwana, a rano sprowadzą dźwig, który wyciągnie lory.

Jednakże, gdy po kilku minutach namysłu majster kazał wszystkim zejść na dół i wziąć się do wyciągania lor, mój nastrój uległ zmianie. Zadanie to wydawało się niewykonalne, gdyż lory były duże, a wąwóz bardzo stromy i głęboki.

Od nasypu do miejsca, gdzie leżały lory, było około dwustu metrów. Majster ustawił nas wokół lory, którą na komendę „hop!” mieliśmy jednocześnie unieść i dźwignąć pod górę.

Praca ta zdawała się przekraczać nasze siły. Było nas zaledwie trzydziestu dwóch, a przy tym nie wszyscy mogli zmieścić się wokół lory. Bez przekonania tedy każdy chwycił za brzeg lory, a gdy padła komenda... wagon nawet nie drgnął. Widząc to, majster zawezwał do pomocy kilku esesmanów, którzy okrążyli nas, zdejmując z ramion karabiny. Majster klął:

- Die verfluchten Hunde sind faul [\[1\]](#).

Kazał jednemu z esesmanów wydawać komendę, a sam z kijem w ręku chodził naokoło i wrzeszczał:

- Chcę widzieć tę lorę w górze!... Biada, braciszku, jeśli nie wyciągniecie jej do góry!

Esesmani stanęli tuż przy nas, a gdy znów padła komenda - wbrew oczekiwaniom, lora drgnęła. Nie mogliśmy się wyprostować, gdyż ciężar był zbyt wielki. Majster z kijem, a esesmani z karabinami biegali wkoło, bijąc nas, gdzie popadło i wrzeszcząc:

- Ich helfe euch gleich! [\[2\]](#).

Powoli posuwaliśmy się w górę, kurczowo trzymając gołymi, zlodowaciałymi rękami lory.

Na nasze głowy i barki bezustannie walił się grad uderzeń i ciosów, a ciało smagał iście syberyjski wicher. Kamyki i grunt usuwały się spod nóg. Niektórzy potykali się, padali i staczali się w dół po stromiznie. Tych zastępowali inni, którzy wraz z nami posuwali się naprzód, ale dla których nie było miejsca przy lory. W ten sposób pierwsza lora, choć bardzo powoli, została jednak wydobyta z przepaści.

Majster triumfował:

- Macie pod dostatkiem sił! Wszystko możecie, tylko wam się nie chce! Lenie jesteście! Wy, świńska banda! Już ja wam dopomogę - do rana wszystkie lory mają być na górze! W przeciwnym razie zostanieie tutaj choćby i cały dzień jeszcze!

Przyniesiono powrozy, które przywiązano do lory, część z nas zaprzęgnięto i znów kijami i kolbami zmuszono do nadludzkiego wysiłku.

Do świtu wszystkie lory zostały wyciągnięte. Twarze nasze, zbroszone krwią i spuchnięte od uderzeń, pokrywała siność spowodowana mrozem i wiatrem.

Niepojęte są siły i wytrzymałość człowieka!...

[1] Die verfluchten Hunde sind faul! - Te przeklęte psy są leniwe!

[2] Ich helfe euch gleich! - Zaraz wam pomogę!

XIX

Wolfsberg, niedziela, 1944.

Natknąłem się dziś na Winograda - znajomego z Łodzi, który w Oświęcimiu był w Sonderkommando. Zapytałem go, czy nie widział mojej żony i dziecka.

- Twoja żona i dziecko? Oczywiście, że widziałem... nie tylko widziałem, ale nawet sam ich zaprowadziłem do pieca. Pamiętam doskonale. Twoja żona pytała mnie, gdzie ich prowadzę.

Nie chciałem jej powiedzieć prawdy, odrzekłem, że do kąpieli... nawet dałem jej ręcznik i mydło.

- Pamiętasz na pewno? Nie mylisz się? - zapytałem spokojnie, napinając całą siłę woli, aby się opanować. Nie chciałem, aby dostrzegł, jakie ta wiadomość robi na mnie wrażenie, bo mógłby zataić prawdę.

- Masz sobie! Cóż to, nie znałem twojej żony i dziecka? Powiem ci, jak byli ubrani. Twoja żona miała na sobie jasne, angielskie palto, a syn cyklistówkę, brązowe paletko i golfy.

Pociemniało mi w oczach. Cała moja nadzieja i źródło siły, dzięki któremu mogłem wszystko znosić, prysnęło jak bańka mydlana. Czulem, że grunt usuwa mi się spod nóg.

Zaprzagnąłem być na Baustelle, aby szalejący tam lodowaty wiatr targał mną i rwał, jak rwało się moje serce. Chciałbym wyc z bólu wraz z tym wiatrem. Nie było cienia nadziei, powiedział prawdę!

Widząc, jakie wrażenie słowa te wywarły na mnie, dorzucił w formie pocieszenia:

- A co ty myślisz, że my pozostaniemy przy życiu? Czy masz jeszcze jakąś nadzieję? Kto może wiedzieć, jak my będziemy zdychać... a oni już mają spokój... Na pewno jest im lepiej niż nam. Nie czas ani miejsce na rozpaczanie.

Odszedłem w milczeniu. Nie słuchałem już więcej jego gadania. Szukałem samotności i spokoju. W nocy starałem się jakoś uporządkować rozlatane myśli. Zastanowiłem się dokładnie nad wszystkim. Po co dalej się męczyć? Na co? Dla kogo? Dla społeczeństwa... jakiego społeczeństwa? Dla ludzi... jakich ludzi? Czy w ogóle jacyś ludzie istnieją? Czym jest życie?

- Pasmem coraz większych cierpień! A przecież jednak istnieje jakiś świat. Czy naprawdę jest on bezsilny?

Czy jest jakikolwiek sens, abym dalej walczył o utrzymanie się przy życiu? Czy mnie coś z życiem jeszcze łączy? Wiecznie i tak się nie żyje. Cóż pozostało z mojego dotychczasowego życia? Popioły, zgliszcza, strzępy, ruiny. Nic nie pozostało, nic nie mam!

Ach, nie warto się zastanawiać. Trzeba z tym skończyć!

Czy zostawić jakiś list, jakieś wspomnienie po sobie? Może ktoś z nas zostanie przy życiu?

Nie warto! To byłby głos zza grobu, który by tylko ludzi straszył i przytłaczał. A ludzie nie lubią prawdy, nie chcą o niej słyszeć.

A może nie mam słuszności? Może należy dalej walczyć i trwać? Życie przecież jest jedno i powszechnie uważane jest za największe dobro. Każdy stara się utrzymać przy życiu wszelkimi możliwymi środkami. Może straciłem poczucie istotnej wartości życia? Może nie jestem już normalny? Ludzie pracują nieraz ciężko całe życie, odmawiają sobie wszystkiego, wyrzekają się każdej uciechy, aby tylko coś zaoszczędzić na stare lata. A gdy ta starość już przyjdzie, gdy się leży na łożu śmierci - człowiek oddaje wszystko, aby tylko ratować tę odrobinę życia, które jest już samą męką...

Teraz wiem, bo za życia znalazłem się w piekle, że życie to tylko wieczysta przemiana form - to złudzenie. Człowiek żyje, bo wciąż się łudzi. Gdy traci złudzenia, to brakuje już i chęci do życia.

A może on kłamał? Może kłamał? Może oni żyją? Co oni poczną beze mnie po wojnie? Nie!

To niemożliwe! Oni nie żyją! Nie żyją!...

Zagłuszam w sobie głos złudnej nadziei. Jestem szczery w ostatnich godzinach mojego życia. Szukam usprawiedliwienia dla swojej, może niesłusznej, decyzji, tak jak w Oświęcimiu starałem się usprawiedliwić swój nieuczciwy postępek względem Lolka.

Ukradłem mu zupę - wówczas ten czyn był podyktowany głodem, obecnie zaś moja decyzja skończenia ze sobą - nadmiarem cierpień. Nikt chyba nie będzie miał prawa mnie sądzić.

Myślę nawet, że każdy przyzna mi słuszność. Nie można od człowieka wymagać nadludzkich czynów i nadludzkiej wytrzymałości. Za bardzo mi ciąży życie, abym mógł je dźwigać nadal. Nadziei, która mnie dotąd podtrzymywała, już nie ma...

Pragnę jedynie najeść się przed śmiercią do syta raz jeszcze. Chcę w chwili śmierci mieć to jedno zadowolenie. Sprzedam swoje palto za chleb i najem się bez miary, potem palto nie będzie mi potrzebne. Jutro sprzedam... a pojutrze?!

W jaki sposób to zrobić? Powiesić się? Nie! Za dużo bólu. Rzucę się pod lokomotywę!

Zmiażdży prędko! Pozbędę się myśli, cierpień, uczuć, kłopotów. Tylko jedna chwila - a potem wielkie, wieczne wytchnienie!

Wolfsberg, poniedziałek, 1944.

Chodzę na dzienną zmianę. Obok nas pracuje pięciu Polaków wywiezionych na roboty.

Mają na piersi uwieszone tabliczki z literą „P”. Prześliznąłem się do nich i jednemu z nich zaproponowałem kupno płaszcza. Zgodził się od razu. Jutro z rana przyniesie mi chleb i tytoń.

Obserwuję z ukrycia parowozy. Staram się to tak robić, aby nikt nie zauważył. Nie chcę się niczym zdradzić. Jestem weselszy niż zwykle i bardziej ruchliwy. Dopisuje mi humor.

Doznaję uczucia wielkiego spokoju i radości na myśl, że już jutro będę nieżywy, obojętny, na nic nieczuły. Jestem niecierpliwy! O niczym nie myślę. W głowie mam pustkę.

Uporządkowałem wszystkie myśli i uczucia - pozostało tylko postanowienie. Ach, jaka szkoda, że to nie dziś - to oczekiwane jutro!

Wolfsberg, wtorek, 1944.

Mój kontrahent nie przyniósł dziś ani chleba, ani tytoniu. Powiada, że to tak od razu nie da się zrobić. Może jutro, może pojutrze. Oczywiście niecierpliwię się. W duchu śmieję się z majstra i beczelnie patrzę mu w oczy. Cóż on mi teraz może zrobić? Jestem znacznie od niego silniejszy. Dureń!

XX

Wolfsberg, 23 grudnia 1944.

Było to 18 grudnia 1944. Mój klient przyniósł mi bochenek chleba i pół paczki tytoniu oraz grubą kurtkę na watolinie. W zamian dałem mu moje letnie palto w dobrym stanie.

Śnieg prószył, mróz trząsał. W naszej budzie, gdzie oczekiwaliśmy w wolnych chwilach na nadejście pociągu, zjadłem chleb i skręcałem sobie papierosa. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że nie mam już swojego palta. Jedyne kapo Żychliński zapytał mnie, co się stało z moim paltem i skąd mam tę kurtkę. Spojrzał przy tym wymownie na chleb, który jadłem.

Wywołał mnie na dwór i powiedział:

- Słuchaj, ja jestem odpowiedzialny za wszystko, co się dzieje w grupie. W lagrze spostrzegą, że masz obcą kurtkę, gdyż nie ma na niej białego krzyża na plecach. Będę musiał o tym wszystkim zameldować w lagrze. Ile chleba dostałeś? - zapytał.

- Bochenek - odpowiedziałem.

- Daj pół!

- Jutro, jak mi przyniesie resztę.

- Daj skręcić.

Dałem mu tytoniu.

Poprosiłem majstra, aby mi pozwolił pójść do ustępu. Zgodził się, szybko oddaliłem się od miejsca pracy. Baustelle zajmuje tu tak wielki obszar jak miasteczko. We wszystkie strony biegną szyny kolejki wąskotorowej, ale jak na złość nie było widać żadnego parowozu.

Czekam pół godziny - i nic. Niecierpliwiłem się coraz bardziej. Zdawało mi się, że sam los wziął się na mnie. Zwykle co kilka minut przejeżdżała tędy kolejka, a teraz nie było jej ani śladu. Prócz tego obawiałem się, że któryś z majstrów zwróci uwagę, że błąkam się bez celu.

Udawałem, iż kogoś szukam, aby w razie czego powiedzieć, że majster wysłał mnie na poszukiwanie jednego z Haftlingów, który miał mu coś załatwić.

Minęła godzina jedna i druga, a żadnego parowozu nie widać. Jak się później dowiedziałem, akurat zabrakło węgla. Zmartwiony, postanowiłem

już wracać na placówkę i zastanawiałem się, co powiedzieć majstrowi, gdy mnie zapyta, gdzie tak długo byłem.

Przygnębienie moje było tym większe, że wewnętrznie nastawiłem się i przygotowałem na ten moment, a prócz tego przed wyjściem rozdałem cały posiadany tytoń współtowarzyszom.

Nagle posłyszałem gwizd lokomotywy i znów wstąpiła we mnie nadzieja. Wyglądało przecież na to, że będę musiał przełożyć całą tę przeprawę na jutro.

Patrzyłem, jak parowóz jedzie szybko z góry na dół, w moim kierunku.

Stanąłem z boku pozorując, że zamierzam czekać spokojnie, aż mnie minie. Skupiłem się w sobie, nie tracąc ani na chwilę zimnej krwi, i gdy pociąg był w odległości jakichś pięciu kroków - błyskawicznie rzuciłem się przed siebie. Padłem na szyny, przed szybko jadącą lokomotywą, i równocześnie niemal otrzymałem silne uderzenie. Leżałem w ten sposób, że głowa moja wystawała z jednej strony toru, nogi z drugiej, a popychany wielkim ciężarem maszyny, po prostu ślizgałem się po szynach.

Ogarnęła mnie straszna rozpacz. Byłem zupełnie przytomny i nie mogłem pojąć, dlaczego koła lokomotywy mnie nie przecinają. W duchu zanosilem błagania, aby maszynista nie zahamował. Targała mną bezsilna wściekłość.

Tysiączne myśli kotłowały się w głowie. Gorączkowo zastanawiałem się nad przyczyną mojego niepowodzenia. Prawdopodobnie kurtka za gruba lub może jestem za lekki i nie stawiam wystarczającego oporu, albo też szybkość parowozu jest zbyt wielka! Z determinacją zacząłem rękami chwytać ziemię, aby stawić opór. Wszystko na nic! Teraz... teraz... wydaje mi się, że się spełni! Słyszę jakiś przeraźliwy krzyk:

- Halt! Halt! Halt!

Parowóz zatrzymał się. Pociemniało mi w oczach. Złamany na duchu, pozwoliłem się podnieść majstrowi. Trzymając za rękaw, zaprowadził mnie do budy majstrów.

Oszołomionego i osowiałego wystawił na ich widok i powiedział:

- Ten przeklęty pies rzucił się pod lokomotywę!

A maszynista dodał:

- Parowóz mógł się wykoleić!

- Dać mu dwadzieścia pięć batów na gołą dupę! - zaproponował któryś z majstrów.

Ktoś wstał, gotów to wykonać. Stałem nieruchomo, nie drgnąłem nawet.

Wyprostowany - spojrzałem oprawcy w oczy i powiedziałem:

- Bij! Ja się nie boję! Bezbronnych łatwo bić!

Rwący się do bicia znieruchomiał, inny znów zapytał mnie naiwnie:

- Dlaczego to zrobiłeś?

W odpowiedzi uśmiechnąłem się i spojrzałem na niego z politowaniem, że taki tępy, taki głupi.

Przyszedł esesman z wachy i pod bagnietem zaprowadził mnie do obozu. Po drodze zastanawiałem się, co mogą ze mną zrobić. Nie jest wykluczone, że mnie zastrzelą. To byłoby najlepsze - utopiliby rybę w wodzie - za karę!

Pierwszą osobą, na którą natknęliśmy się w obozie, był Lageraltester Wiener, krakowianin. Esesman powiedział mu, co zaszło, dodając, iż pozostaję w dyspozycji Lagerfuhrera - po czym odszedł.

Gdy znaleźliśmy się sami, Wiener zapytał, czemu tak postąpiłem. Nie byłem na to przygotowany, więc odpowiedziałem tylko:

- A czy brak powodów?

Zawezwano mnie do Lagerfuhrera. Jest to niedawno przybyły starszy człowiek, o jednej ręce bezwładnej i stalowych oczach. W przeciwieństwie do jego kolegów, oczy te są czujne, rozumne i myślące.

Zapytał mnie jak i poprzednicy:

- Czemu?

Czułem, że muszę coś odpowiedzieć. Nie namyślając się wiele, palnąłem:

- Przy pracy biją, w obozie biją, w dzień biją, w nocy biją, nigdzie i nigdy spokoju, zawsze głód, zawsze zimno... to nie ma sensu!

- A kto bije?

- Kto? Wszyscy. Biję majster, wacha, kapo, blokowy, sztubowy, kto ma jakąkolwiek władzę na Baustelle i w obozie.

Przysłuchiwał się tej rozmowie również Lageraltester.

Lagerfuhrer kazał przynieść dla mnie z kuchni chleb oraz zupę i powiedział:

- Nie można posyłać go więcej na Baustelle. Zostanie w obozie, w Lagerbau - i co dzień ma dostawać dodatkową zupę.

Nie spodziewałem się tego. Byłem zaskoczony

Skierowano mnie natychmiast do obieralni, gdzie przepracowałem do końca dnia.

Podczas wieczornego apelu przemawiał Lagerfuhrer. Zwracając się do wszystkich więźniów, powiedział:

- Ktokolwiek z was zostanie pobity przy pracy, bez względu na to, kto was uderzy, czy wacha, czy majster, czy jakikolwiek funkcjonariusz, ma się zaraz po przyjściu do obozu, zgłosić do mnie i zameldować!

Po apelu Lagerfuhrer wezwał do siebie wszystkich blokowych oraz niektórych kapo, którym prawdopodobnie w ostrych słowach dał do zrozumienia, że nie będzie tolerował bicia. Zabronił bić!

Gdy wszedłem na izbę, okrążyli mnie wszyscy. Sztubowy podał mi rękę i powiedział:

- No, ale ty jesteś odważny, nie spodziewałem się tego po tobie.

Ktoś inny dodał:

- Dobrze tak. Świetnie się zachował.

Niektórzy mi winszowali, inni dziękowali.

Przyszli dwaj kapo - bracia Żychlińscy - i zaczęli mnie pouczać, co mam mówić, jeśli jeszcze raz zostanę wezwany do Lagerfuhrera:

- Ty możesz teraz dużo zrobić dla obozu. Nie bój się niczego. Wal śmiało. Powiedz mu, że i blokowi biją. Tobie się już nic nie stanie.

Po kolacji wezwał mnie blokowy (jestem w bloku 1-2) i zaczął perswadować, abym był ogłędny w razie rozmowy z Lagerfuhrerem.

Wreszcie dał mi jeszcze jedną zupę i powiedział:

- Będiesz teraz długo żyć. Już miałem takiego jednego gościa, jak ty... jego też się odratowało i żyje po dziś dzień!

Od tego dnia codziennie ktoś inny ściska mi rękę, gdy wraca z pracy, i dziękuje.

Wachman i majstrowie nie biją już więcej.

Ja w dalszym ciągu pracuję w obozie. Do południa sprzątam blok, po południu zamiatam dziedziniec obozowy.

Mam teraz świetną okazję do pisania, ale nie mam o czym pisać. Czuję w sobie pustkę.

Wszystko we mnie jakby umarło. Wszystko zdaje się pospolite, marne, codzienne, niegodne uwagi.

Wolfsberg, 21 grudnia 1944.

Przyzwyczajają mnie z powrotem do normalnego życia obozowego. Nie dostaję już dodatkowej zupy. Nikt nie ściska mi ręki po powrocie z pracy. Jakby już zapomnieli o mnie.

*Dzisiejszej nocy któryś z sąsiadów ukradł mi chleb. W obozie wre praca.
Budują na gwałt sanie. Obóz ma być ewakuowany.*

XXI

Wolfsberg, 28 grudnia 1944.

Dziś pracowałem na zewnątrz obozu w tym samym co poprzednio kommando Lagerbau, gdyż brak ludzi. Kilka tysięcy chorych Haftlingów przebywa na rewirze. Samochód już nie przyjeżdża po trupy. Podobno krematoria są już nieczynne. Blokowi na rozkaz Lagerfuhrera poszli dziś do lasu z kilofami i łopatami, aby wykopać doły na pochowanie trupów.

Widziałem, jak wywozili wóz z nagimi trupami. Każdy miał na szyi zawieszoną drewnianą tabliczkę z numerem, a na prawej łydce ten sam numer wypisany chemicznym ołówkiem.

Od kilku dni szczelnie zaskłamy okna i drzwi, aby żaden promyk światła nie wydostał się na zewnątrz. Słychać dalekie detonacje, jakby od bomb i pocisków artyleryjskich. Ciemność nocną często rozdzierają światła rakiet.

Przysłuchuję się tej dalekiej kanonadzie, jak najpiękniejszej muzyce. Czuję, że wyzwolenie już blisko.

Gdyby tak chociaż jedna z bomb padła gdzieś niedaleko, choćby nawet w nasz blok, abym miał namacalny dowód, że naprawdę coś się dzieje, że to nie są tylko ćwiczenia.

W każdym razie coś się dzieje. Majstrowie i esesmani porozumiewają się ze sobą szeptem.

Są podnieceni, a jednocześnie przygnębieni i zamyśleni. To wszystko pobudza moją wyobraźnię.

Co dzień, gdy zbliża się godzina apelu, wypatruję, czy wacha znajduje się jeszcze przed obozem. Wieczorem, gdy wychodzę z bloku, naumyślnie zostawiam nieco dłużej uchylone drzwi w nadziei, że może nas spostrzegą... może padnie bomba... albo może zrzucą nam nieco chleba.

Wolfsberg, 30 grudnia 1944.

Wczoraj w południe kommando nasze wróciło do obozu, aby zjeść południową supę. Po obiedzie zarządzono zbiórkę poszczególnych kommand przed wyruszeniem do pracy. Te kommanda, które wcześniej zjadły swoją supę, odmaszerowały z obozu. Chodziłem po obozie, mając nadzieję, że uda mi się ukraść kilka kartofli z taczki, którą wożono kartofle

d obieralni, nasłuchując jednocześnie, czy nikt nie wzywa do zbiórki mego kommando. Nic jednak nie było słychać.

Wtem wezwał mnie Lageraltester Wiener i zapytał:

- Gdzie pracujesz? W kommando Scheilhorn?

- Nie - odpowiedziałem. - W Lagerbau.

Odchodząc, dostrzegłem kilku moich współtowarzyszy, z którymi razem pracowałem, ustawionych w szeregu i już gotowych do wyjścia. Szybko podszedłem do tej grupy i stanąłem między nimi. Zauważył to Lageraltester i przywołał mnie ponownie do siebie, pytając: - Gdzie ty pracujesz?

- W Lagerbau - odpowiedziałem.

- A nie w Scheilhorn?

- Nie.

- Czemu więc stanąłeś w tamtej grupie?

- Bo w tej grupie pracuję.

- Nawet nie wie, gdzie pracuje - powiedział Wiener do innego Lageraltestera. - To jest ten sam...

Obok nich stali: Lagerkapo, blokowy Niewiem i kilku innych blokowych.

Kiedy Lageraltester Wiener powiedział: „To jest ten sam”, posypały się na moją głowę uderzenia zadane kijami Lageraltestera, Lagerkapo i blokowego Niewiem. Bili mnie bez opamiętania. Krzyczałem wniebogłosy. Wilem się z bólu. Zamroczyło mnie. Poczułem coś ciepłego i lepkiego lejącego się z twarzy i ust. Upadłem, a oni wciąż stali nade mną i bili, bili niełitościwie, bili z całych sił. Czołgałem się po ziemi, aby ująć spod zasięgu ich kijów, ale oni posuwali się w ślad za mną. Skuliłem się, podkurczyłem nogi i zemdląłem. Nie czułem już nic.

Gdy otworzyłem oczy, spostrzegłem, że leżę w kałuży krwi. Obok mnie stało próżne wiadro, ja zaś ociekałem wodą. Ledwo się poruszyłem, usiłując powstać, gdy znów posypały się uderzenia. Czołgając się na czworakach, pod nieustającym gradem razów, przebyłem może ze dwadzieścia kroków i ponownie upadłem.

Ktoś mnie później podniósł i ślaniającego się na nogach zaprowadził na rewir.

Lekarz, grecki Żyd, nie chciał mnie nawet opatrzyć, krzycząc:

- Jego bił sam Lageraltester... ja go nie będę opatrywał!

Krew lała się ze mnie nieprzerwanym strumieniem - z głowy, nosa, ust, całej twarzy. Nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia - wyrzucił mnie

z gabinetu na korytarz. Tutaj dopiero zlitował się nade mną jakiś sanitariusz. Obmył mnie, opatrzył mi rany na twarzy i głowie, zaprowadził do izby, gdzie przesiedziałem do apelu.

Po apelu, gdy wszedłem do bloku, podszedł do mnie blokowy i powiedział:

- Widzisz, jak cię oporzędzili! To wszystko twoi przyjaciele, przed którymi żaliłeś się, że ja, twój blokowy, znęcam się nad tobą i biję cię.

Chciałem mu wytłumaczyć, że sam nie wiem, co się stało i dlaczego mnie tak oporzędzili, ale on nie dał mi dojść do słowa i ciągle powtarzał swoje:

- Idź teraz do nich, to twoi przyjaciele, idź do nich żalić się na mnie!

W dalszym ciągu pracuję w Lagerbau wewnątrz obozu. Przypadkowo dowiedziałem się dopiero teraz, że kommando Lagerbau, które pracuje na zewnątrz obozu, nazywają „kommando Scheilhorn”. Tak więc nieprawidłowa odpowiedź, jakiej udzieliłem na pytanie dotyczące miejsca pracy, dostarczyła pretekstu do zmasakrowania mnie.

Jestem strasznie zniechęcony i załamany. Nie mam też tej siły woli, której trzeba, by powtórzyć swój czyn. Żyję bezmyślnie jak bydlę - oni to widocznie widzą i szykanują mnie na każdym kroku. Rzecz oczywista, nie dostaję już dodatkowej zupy. Stałem się drętwy, tępy i nieczuły. Nie mogę w żaden sposób zebrać myśli, aby cokolwiek postanowić.

Wolfsberg, 1 stycznia 1945.

Wczoraj posłano mnie na Baustelle do firmy Bazan. Gdy wieczorem wracaliśmy do obozu, nogi odmówiły mi posłuszeństwa i zabrakło sił, aby wejść na wzgórze. Upadłem.

Esesman dźgał mnie bagnetem w plecy i pośladki, ale byłem tak zobojętniały i zrezygnowany, że nawet nie reagowałem. Dwaj koledzy dotaszczyli mnie jakoś do obozu.

Zostałem przyjęty przez lekarza na rewir. Blisko trzy tysiące chorych, niemal w stanie agonalnym, znajduje się w obozie. Bloki zostały zamienione na rewiry. Umieszczono mnie w blokurewirze u Cytryna - również łódzianina z firmy Bracia Cytryn.

Leżę cały dzień na swojej kojce, skulony i zadowolony, że mam spokój. Nie obchodzi mnie nic. Ze stanu odrętwienia budzi mnie tylko wycie zwariowanego Greka - Salomona, który leży na podłodze, przy samych drzwiach, zupełnie nagi, nawet bez koszuli, owinięty w kawałek koca. Całe

jego ciało jest pogryzione przez wszy. Robi wrażenie wielkiego wyjącego strupa.

Wolfsberg, 2 stycznia 1945.

Lekarze obchodzą bloki, badają chorych i kwalifikują, kto jest zdolny do marszu.

Obóz ma być ewakuowany. Kto chce, może na ochotnika zapisać się do kolumny marszowej.

Ja wolę tutaj pozostać. Mam wrażenie, że za kilka dni zostaniemy wyzwoleni. Detonacje są częstsze i jakby bliższe. Kommanda nie chodzi już do pracy. Brak żywności.

Zupa to lekko zaprawiona, prawie czysta woda. Na dwadzieścia osób otrzymujemy półtora kilograma Chleba.

Dzisiaj odwiedził mnie Benet - były sąsiad z getta, i Perelman - kolega z wojska.

Namawiali, abym zapisał się na wymarsz, bo z chorymi nie wiadomo, co będzie.

Mogą ich zagłodzić lub w jakiś sposób uśmiercić.

Byłem im wdzięczny za troskliwość, ale nie chciałem się zgodzić z tą argumentacją. Moim zdaniem, lepiej było zostać między chorymi, gdyż w razie jakiejś paniki ewakuacyjnej

Niemcy nie będą sobie zadawali wiele trudu chorymi i może się zdarzyć, że na miejscu zostaniemy prędzej wyzwoleni niż gdzie indziej.

Wolfsberg, 3 stycznia 1945.

Obóz zostaje ewakuowany[1]. Pozostaną jedynie chorzy. Ci, co czują się lepiej, opuszczają rewir. W rzeczywistości nikt nie ma sił, ale nawet tym goniącym resztkami życie jest miłe, chcą je ratować.

Zdecydowałem się postawić wszystko na jedną kartę i nie dać się ewakuować. Albo zostanę wyzwolony, albo umrę. Nie ma też najmniejszych powodów, aby próbować ucieczki - wolność jest mi przecież tak samo miła jak śmierć...

Wolfsberg, 4 stycznia 1945.

Minionej nocy nie zmrużyłem oka - oczekiwałem ciągle wyzwolenia. Wczoraj obóz został ewakuowany. Posterunki zostały wzmocnione, a sam lager ściśniony. Dziś nad ranem znaleźliśmy w naszym bloku dwadzieścia

dwa trupy. Każdemu z nas na prawej nodze wypisali tuszowym ołówkiem numer. Lekarz twierdzi, że zostaniemy jutro ewakuowani.

Jeden z nas, niejaki Cynamon, prosił lekarza, węgierskiego Żyda, aby go umieścił choć na jeden dzień w prawdziwym rewirze, który tutaj znajduje się i jest przeznaczony dla ciężko chorych.

- Ja i tak nie będę dłużej żył niż do jutra - mówił. - Czuję śmierć w kościach. Doktorze!

Chciałbym jeszcze raz przed śmiercią doznać rozkoszy leżenia na prawdziwym łóżku, wyciągnięcia się na miękkim sienniku. Przysięgam, że będę żył tylko do jutra. Nie zajmę wam dłużej miejsca. Doktorze! To jest ostatnie moje życzenie. Spełnijcie je! Nawet najgorszemu zbrodniarzowi nie odmawia się spełnienia ostatniego życzenia. To jest prawo łaski!

Usiłował unieść się z podłogi, aby zatrzymać odchodzącego lekarza, ale nie starczyło mu sił, upadł. Po upływie kilku godzin zaczął się rzucać po podłodze, wierzgał nogami, ciężko dyszał, przewrócił się twarzą do podłogi, różowa piana wystąpiła mu na wargi; skończył.

Wolfsberg, 6 stycznia 1945.

Wczoraj wydano nam drewniane szufle i wyprowadzono na szosę, abyśmy uprzętnęły śnieg. Każdy drżał i szczykał zębami z zimna. Byliśmy w samych tylko pasiakach. Mało kto posiada jeszcze koszulę i kalesony. Zamieć śnieżna tamowała dech w piersiach. Mróz powodował nieznośny ból rąk i nóg.

Szuflami odgarnialiśmy śnieg, torując drogę dla nadjeżdżających wozów, którymi uciekali, wraz ze swym dobytkiem, Niemcy z Wrocławia. Na wozach znajdowali się tylko starcy, kobiety i dzieci. Niektórzy ze starców płakali, skarżąc się, że na stare lata muszą uciekać z rodzinnych stron.

Pierwszy chyba raz od wybuchu wojny tak szczerze i prawdziwie się radowałem.

Spoglądałem, nie wierząc własnym oczom: Niemcy uciekają! Zapomniałem o głodzie i chłodzie, wstąpiła we mnie nadzieja. Myślałem nawet, że nim zdążymy powrócić do obozu, to już zostaniemy wyzwoleni.

Warto było znieść wszystko, aby na własne oczy zobaczyć klęskę Niemców. Teraz byliśmy już pewni, że dla nas wojna kończy się, byle tylko nie zdążyli nas ewakuować.

*Bardzo dziś żałowałem, że nie mnie wyznaczono do uprzątkowania śniegu.
Nacieszyłbym się raz jeszcze tym widokiem, jeszcze raz upewniłbym się, że
to nie sen! Jutro mają nas ewakuować - o ile, oczywiście, zdążą.*

[1] Obóz został ewakuowany 16.02.1945r. Tego samego dnia kolumna ewakuacyjna dotarła do Friedland (Mieroszów). W znajdującym się tam obozie KL GrossRosen część więźniów spędziła noc. Następnego dnia kontynuowano marsz, w trakcie którego więźniów podzielono na dwie grupy. Ostatecznie jedna grupa dotarła do KL Mauthausen, a druga do BergenBelsen.

XXII

Schotterwerk[\[1\]](#), 10 stycznia 1945.

Od kilku dni jesteśmy w obozie Schotterwerk. Niektórych z nas ewakuowano również do innych obozów. Jedzenie tutaj mamy stosunkowo niezłe. Choć dostajemy dobrą, gęstą zupę i ładną porcję Chleba - jesteśmy bardziej głodni niż w Wolfsbergu. Tam byliśmy zupełnie zrezygnowani, bierni, przygotowani na śmierć głodową; tymczasem wypadki wojenne obudziły w nas nadzieję, wyrwały z ośpienia i rezygnacji. Pobudzona wyobraźnia zaktywizowała z kolei nasze żołądki, które domagają się pożywienia w dzień i w nocy. Z głodu nie można spać, przewracamy się tylko z boku na bok i wciąż myślimy o jedzeniu.

Do pracy nie chodzimy. Przebywamy cały dzień w obozie i leżymy na pryczach. Jedyńm naszym zajęciem jest strącanie wszy z koszul, pasiaków, koców. Wszy rozmnożyły się zastraszająco, stały się istną plagą.

Wielu więźniów choruje na poważne zaburzenia żołądkowe. Jest to skutek tego, że uprzednio odzwyczailiśmy się od jedzenia, a obecnie żołądki nasze nie dają sobie rady z trawieniem. Lekarze są bezsilni, gdyż nie ma żadnych lekarstw. Nie wiem, po co dokonują codziennego obchodu chorych - chyba po to jedynie, aby u jednych pogłębiać świadomość ogólnej bezsilności, a u drugich rozbudzać nieusprawiedliwioną nadzieję. Nieustannie słysząc rozpaczliwe głosy, wołające o pomoc.

Co dzień w bloku umiera masa ludzi w straszliwych męczarniach. Trupy wynoszone są na celtach do baraku nr 11 lub 10, gdzie zostają rozebrane do naga. Ubrania ich przywłaszczają sobie niektórzy więźniowie, aby znaleźć ochronę przed zimnem. Co noc odbywa się defilada hien ubraniowych do trupiarni i zdzieranie okryć z trupów. Niektórzy trudnią się tym procederem zawodowo, sprzedając później zdobytą odzież za łyżkę zupy lub kawałek chleba.

Robi to na mnie wrażenie, jakby pożerali trupy.

W nocy, gdy wszyscy pogrążeni są we śnie, wychodzę wraz z Dobrynem do śmietnika. Po omacku grzebiemy w śmieciach i wybieramy obierzyny od kartofli. Niestety, jest ich tutaj niewiele, gdyż na śmietnik dostają się tylko łupiny rozdeptane i wymiecione przy sprzątaniu obieralni. Poszukiwania w ciemnościach trwają czasem po kilka godzin, bo nie mam czuci w palcach,

które od dawna są odmrożone i popękane. Nie mogę doczekać się świtu, aby wymyć te obierzyny w wodzie i ugotować. Tymczasem jednak, pokonując resztki wstrętu, staram się wytrzeć łupiny dokładnie o pasiak i zjadam je na surowo, z całą świadomością, że jestem gorszy od świni. Świnia na pewno nie jadłaby tego, ale mnie smakuje to wyśmienicie. Gdy odczuwam mdłości, przestaję jeść, chowam reszkę i w dzień gotuję w bloku, w naczyniu pożyczanym od Wajsberga. Za wypożyczenie naczynia muszę mu oddać część obierzyn. Wszyscy w izbie spozierają na mnie z zazdrością, ale oczywiście nie zamierzam zdradzić im tajemnicy pochodzenia moich łupów. Przekonani są, że dostaję je od kucharza Zylberberga, tym bardziej, że widzieli przecież sami, jak dostałem od niego pełen talerz zupy. Niektórzy proszą mnie nawet o protekcję.

Schotterwerk, 22 stycznia 1945.

Od kilku dni bacznie obserwuję obieralnię. Śpi w niej i pilnuje jej kapo.

Podpatrzyłem, że co dzień rano, gdy wchodzi do kuchni po ciepłą wodę do mycia, drzwi zostawia otwarte.

Dzisiaj postanowiłem wykorzystać tę okazję.

Aby dostać się do obieralni, trzeba przejść pod kuchennymi oknami.

Pochyliłem się, aby mnie nie dostrzegli, i przedostałem się do obieralni.

Miałem przy sobie, przygotowaną uprzednio, torbę, zrobioną z pasiaka.

Niestety, mogłem ją napchać tylko obierzynami, gdyż kartofle znajdują się w sąsiedniej izbie i zamknięte są na klucz. Drżałem na całym ciele, sam nie wiem - z radości czy ze strachu. W każdym razie takiej emocji nie przeżyłem jeszcze nigdy w życiu. Torba była już pełna, a ciągle jeszcze ociągałem się z wyjściem - szkoda mi było... może już nigdy nie będę miał takiej okazji.

Chciałbym zabrać wszystkie obierzyny, jakie się tutaj znajdowały. Wtem drzwi skrzypnęły i wszedł kapo Madziar.

Wstrzymałem oddech, błyskawicznie pochyliłem się i ukląknęłam w kącie. Serce biło mi szybko i podchodziło do gardła. Kapo otworzył kluczem drzwi do następnego pokoju i wszedł do środka. Mnie nie spostrzegł. Stałem jeszcze chwilę nieruchomo, aż doszedłem do jakiejś takiej równowagi nerwowej, i wówczas szybko, nie czyniąc najmniejszego szmeru, wymknąłem się z obieralni.

Gdy wróciłem do naszej izby, wszyscy mnie okrążyli i chcieli mi wydrzeć mój łup. Nie mogłem sobie dać rady. Musiałem wezwać do obrony

Wajsberga i Cukiermana.

Przyrzekłem podzielić się z nimi moją zdobyczą, aby tylko mnie obronili.

Wczoraj Lagerfuhrer przyłapał Dobryna grzebiącego w śmietniku - dostał dwadzieścia pięć batów i dzisiaj cały dzień leży na pryczy. Zaniósłem mu trochę obierzyn.

Nie mogę powiedzieć, aby po tym, co dotychczas przeżyłem, dużo było na świecie rzeczy, które by mnie mogły zadziwić - dziś jednak byłem świadkiem niezwyklej sceny.

Przed bramą lagru, po drugiej stronie drutów, mieści się barak esesmanów i pomieszczenie wachy. Mają tam dużego psa, dobermana. Dzisiaj ten pies przyszedł do obozu z kością w pysku. Otoczyła go zaraz grupa Haftlingów, którzy znajdowali się w pobliżu. Stali bezradni i z zazdrością spoglądali nie tyle na psa, ile na ogryzaną przez niego kość. Podejść bliżej nikt nie śmiał, ale psa otoczyli i cierpliwie czekali, aż skończy swą ucztę i porzuci ogryzioną kość. Kiedy to nastąpiło, cała gromada rzuciła się w kierunku kości, którą dwóch schwyciło, szarpiąc się między sobą i odbijając ataki reszty, która usiłowała im kość wydrzeć.

Pies stał spuściwszy ogon i spoglądał, jakby rozumiał o co chodzi. Kilka razy szczeknął, po czym z podwiniętym ogonem i spuszczoną głową powoli odszedł do swojego baraku.

Dwaj zdobywcy kości sprawiedliwie podzielili się nią i upiekli ją w ogniu. W swoim czasie lekarz zalecił jeść upalone kości jako lekarstwo na rozwolnienie.

Schotterwerk, 29 stycznia 1945.

Dzisiaj od rana jest w obozie Unterscharführer z rewiru w Tannhausen. Obchodzi wszystkie baraki i spisuje najlżej chorych. Wszyscy muszą się znajdować na miejscu, w swoich blokach. Mają wysłać trzysta osób na roboty do innego lagru.

[1] W sąsiedztwie stacji kolejowej Oberwustegiersdorf (Głuszyca Górna) znajdował się obóz Schotterwerk. Jego nazwa pochodzi od znajdującej się w pobliżu wytwórni szutru.

XXIII

Dörnhau[1], luty 1945.

Od kilku dni jestem w tym obozie. Jest to dwupiętrowy fabryczny budynek. Parter i pierwsze piętro zajmują wyłącznie chorzy, a drugie piętro „zdrowi”, do których i ja zostałem zaliczony.

Zdrowi chodzą do pracy, która niczym nie różni się od pracy w innych obozach. Jedzenie jest gorsze niż w Schotterwerk. Pracujemy w cementowni niedaleko Schotterwerk.

Chorzy leżą na pryczach nago. Zabiera się im ubranie, nawet koszule. Otrzymują tylko pół porcji chleba i połowę zupy, gdyż nie są „produktywni”.

Z rana, przed apelem, zdrowi dostają kawę - i w tym czasie rozgrywają się dantejskie sceny. Chorzy schodzą ze swoich prycz nago, z przewieszonymi przez ramię kocami. Twarz mają zapadnięte i żółte jak wosk. W oczach jakiś śmiertelny blask. Na ich ciele można policzyć każdą kostkę. Nie są to zresztą ciała, lecz szkielety powleczone pergaminową skórą.

Te poruszające się szkielety podchodzą do nas i daremnie żebrzą o zmiłowanie - proszą, aby im dać choć odrobinę kawy. Blokowi i kapo odpędzają ich, biją, katują, grożąc, że odbiorą im chleb, jeśli nie powrócą na swoje prycze.

Po wydzieleniu kawy lekarze zabierają kociołki na rewir i rozdają po łyżce fusów z kawy najciężej chorym.

Lekarze - węgierscy Żydzi, Madziarzybiją chorych za byle głupstwo. Niektórzy sprzedają chorym kawę za kęs chleba.

Dörnhau, luty 1945.

Często wracam myślą do tego miłego chłopca, którego spotkałem w V Lagrze. Czy jeszcze żyje? Nie mogę zapomnieć jego ciemnych, wilgotnych, pełnych dobroci oczu. Nie mogę pojąć, jak to się stało, że w tych okropnych warunkach nie załamał się i mężnie stawiał czoło tej największej w dziejach ludzkości ohydzie. Z jakim heroizmem znosił męczarnie, niosąc innym pomoc i pociechę. To dowodzi, że nie wszyscy się upodlili, nie wszystkich

dotknęło moralne zwyrodnienie. Takich jednostek jest chyba między nami więcej, a tylko ogrom naszych cierpień przesłania ich istnienie.

Cóż wiemy o sobie nawzajem, o tym, co się dzieje na dnie duszy każdego z nas? A co dopiero może wiedzieć człowiek, który tu nie był, który nie widział tych wszystkich chorych, leżących nago w zimnej hali fabrycznej i oczekujących śmierci jak wybawienia, który nie widział tych ludzi pełzających, jęczących i kurczowo czepiających się życia, nie widział tych co już nie mają nawet tyle siły, aby strącać pchły i wszy pożerające ich żywcem... Tych konających z wyczerpania i pragnienia, w katuszach głodu, poniewierki, samotności, nie umiejących znaleźć odpowiedzi na pytanie, za co i dlaczego muszą umierać...

Dörnhau, luty 1945.

Ten obóz ma nieco inny charakter niż wszystkie, przez jakie przeszedłem. W każdym z dotychczasowych obozów dostać się na rewir było zawsze rzeczą niezmiernie trudną, prawie niemożliwą. Ktokolwiek choć trochę poruszał jeszcze rękami i nogami, musiał pracować, a tutaj lekarze codziennie przed apelem przeglądają kommanda i wybierając tych, którzy „źle wyglądają”, kierują ich na rewir. Nie pomagają żadne prośby i zapewnienia o zdrowiu i dobrym samopoczuciu oraz umiejętnościach i chęci do pracy.

Kogo lekarz zakwalifikuje, ten zostaje umieszczony na rewirze. Już na dziedzińcu, kapo lub blokowi zabierają takiemu - o ile jeszcze posiada - czapkę i płaszcz i oddają te rzeczy innym, idącym do pracy. Na rewirze odbierają mu resztę ubrania, więc zostaje nagi.

W czasie przeglądu każdy stara się mieć dobrą postawę i tęgą minę, aby tylko nie ujawnić własnej słabości. Na rewirze bowiem dostaje się tylko pół porcji zupy i chleba.

Pracujemy dzisiaj naprzeciwko obozu. Ładujemy do wagonów szyny i „szwele” [\[2\]](#).

Obok nas są warsztaty ślusarskie, gdzie naprawiają uszkodzone szyny i parowozy.

Majster z tych warsztatów hoduje sobie kilka kur, które karmi kartoflami. Przez cały czas pracy starałem się przebywać w pobliżu tych kur i wreszcie udało mi się podebrać im kilka kawałków kartofli.

Z naszego stanowiska roboczego widać, jak przez cały dzień bez przerwy kursuje tam i z powrotem wóz załadowany trupami. Wszystkie trupy są nagie. Ponad wozem wystają sztywne, chude ręce i nogi. Z boków wozu, kołysząc się w takt jazdy, zwisają sinożółte głowy kościotrupów z głębokimi oczodołami i wyszczerzonymi zębami.

Wóz z trupami jeździ aż do późnego wieczora. Robi to wrażenie, jakby trupy były wożone z jakiegoś zasobnego magazynu. Grupa zatrudnionych przy tej pracy nazywa się Totenkommando. Dostają oni dodatkową zupę, toteż dużo ludzi garnie się do tego zajęcia.

Dörnhau, luty 1945.

Zapisałem się dzisiaj ochotniczo na wysyłkę do pracy do innego obozu. Przyjęto mnie chętnie. Nie mogę sobie dać już rady z wszami - żżerają mnie żywcem.

Od czasu, gdy przebywam w tym obozie, nie przespąłem spokojnie ani jednej nocy. Bez przerwy zajęty jestem walką z wszami. Zdejmuję je z siebie całymi garściami. Całe ciało mam pogryzione. Mam nadzieję, że w nowym obozie zostaniemy odwszeni, a może nawet dostaniemy czystą bieliznę. Kalesonów nie mam już wcale, a z koszuli pozostało tylko kilka strzępów, w których gnieźdzą się wszy i pchły.

[1] Dörnhau - Kolce, pow. wałbrzyski

[2] Szwela - (niem. Schwelle), podkład kolejowy.

XXIV

Erlenbusch[1], marzec 1945.

Wczoraj przybyliśmy do obozu w Erlenbusch. Jest nas tu pięćset osób. Zostaliśmy odwszeni, otrzymaliśmy czystą bieliznę i nowe koce. Mamy również czyste pokoje z pryczami. Jest tutaj nawet łaźnia z ciepłą wodą, więc co wieczór można się myć.

Chwilowo nie pracujemy. Codzienna porcja jedzenia składa się z ośmiu deka spleśniałego chleba i litra gotowanej i zabarwionej wody, ale przynajmniej jest czysto.

Nie mogę o niczym myśleć ani nic sobie przypomnieć. Czuję się tak, jakbym miał jakąś przegrodę czy zasłonę w mózgu, która nie pozwala mi myśleć i pamiętać. W pewnym momencie wszystko się urywa, dalej już jest jakaś mętna pustka. Jedna tylko myśl i jedno pragnienie, nie tylko wyraźne, ale przesłaniające wszystko inne, czuję w sobie bez ustanku: jeść! chleba! zupy! kartofli! mięsa! kielbasy!

Choćbym nie wiem jak się starał i walczył z sobą - zawsze powraca ta myśl, a z nią wizja upragnionego jedzenia. Obraz ten bez ustanku mam przed oczyma. Zdarza się, że po zjedzeniu swego kawałka chleba często zapominam, że już go nie mam, i gorączkowo szukając go, dochodzę wreszcie do przekonania, że prawdopodobnie zjadłem go przed chwilą, gdyż inaczej przecież być nie może...

Zastanawiając się nad tą luką w mojej pamięci, dochodzę do wniosku, że na pewno chleb otrzymałem. Niebawem przypominam już sobie, jak stałem przed koszem, w którym znajdowały się pokrojone kawałki chleba, i pożądliwie chłonałem oczami ten skarb, życząc sobie w duchu, aby największy kawałek mnie przypadł w udziale. Przypominam sobie nawet nastrój, jakiemu uległem otrzymując chleb - czy byłem rozgoryczony, czy zadowolony. A jednak momentu jedzenia chleba zupełnie nie pamiętam.

Erlenbusch, marzec 1945.

Dziś poszliśmy pierwszy raz na Baustelle, które znajduje się tuż przy obozie. Dokucza mi nieznośny szum w uszach i zawroty głowy, co sprawia, że chwieję się na nogach.

Zbieramy i znosimy różnego rodzaju żelastwo, które trzeba ładować do wagonów. W tym strasznym państwie niemieckim coś musiało się poważnie popsuć, bo przy pracy panuje niebywała dezorganizacja. Majstrowie nie zwracają na nas uwagi, wacha również. Łazimy beczynnie w strugach deszczu, dzwoniąc zębami z zimna.

Przy niskiej temperaturze powietrza mój przemoczony deszczem pasiak sztywnieje, a jego oblodzona powierzchnia zdziera mi skórę z ciała. Czuję się, jakbym był ubrany w metalową tarkę do skrobienia jarzyn. Kurczę się i kulę jak tylko mogę, oczy z bólu zachodzą mgłą.

Staram się jak najmniej poruszać, bo każdy ruch wywołuje ból, jakby mi kto żywcem zdzierał skórę, przykładając jednocześnie mrozące kompresy na nagie ciało. Nie mogę jednak zbyt długo trwać w bezruchu, ponieważ zaczynam kostnieć z zimna. Trudno mi jest się schylać, jestem strasznie sztywny i ociężały. Ciało straciło wszelką elastyczność, a stawy jakby się pozrastaly.

Co pewien czas przychodzą kontrolować naszą pracę jacyś wysocy partyjni dygnitarze.

Gdy tylko ukazują się w oddali, kapo zaganiają nas do pracy okrzykiem: Bewegung!... Bewegung! - Wtedy zapominamy o zimnie, zmęczeniu i głodzie, znika cała nasza sztywność i ociężałość, bierzemy się do roboty i pracujemy tak długo, póki dygnitarze nie skończą inspekcji i nie znikną nam z oczu.

Gdy tylko odejdą, napięcie nerwowe pryska momentalnie, wraca poprzednia ociężałość i nieznośny szum w uszach, uginają się nogi, a głowa chybocze się na wszystkie strony.

Biegnę to w jedną, to w drugą stronę, aby choć trochę się rozgrzać. Często potykam się, przewracam, upadam. Nie mogę utrzymać równowagi. Cały otaczający mnie ponury świat tańczy przed oczami. Mam wrażenie, że wokół mnie wszystko jest ruchome, jakby nie posiadało stałych kształtów ni wymiarów. Mieni się to wszystko w oczach ciemnymi barwami. Staram się wyprostować i prawdopodobnie stoję prosto, ale często wydaje mi się, że chodzę zgarbiony i zmagam się ze sobą, aby wreszcie wyprostować się i odczuć to. W tej walce z własnym ciałem nogi mi się płaczą, głowa ciąży jak ołów; nie mogę utrzymać jej ciężaru i padam na ziemię. Powstaję z wysiłkiem, zmuszam się do jakiegoś zastanowienia.

Chcę sobie zdać sprawę ze swojej sytuacji, ale nie mogę. Staram się myśleć o dziecku, żonie, o ojcu, ale nawet to nie budzi już we mnie żadnego wzruszenia...

Wszystko wokół jest blade, przezroczyste, nierealne. Jak przez mgłę widzę swoich towarzyszy kulących się i drżących z zimna. Przecieram oczy i doznaję wrażenia, jakby ta cała masa ludzka skurczyła się i zmalala do rozmiarów łebka od szpilki i jakby zaraz miała umrzeć i zapaść się pod ziemię wraz ze mną.

Jest mi tak źle, że wolny jestem od uczuć goryczy, żalu, nienawiści, pogardy. Znikła nawet chęć zemsty, która dotychczas żyła we mnie i była jednym z bodźców podtrzymujących we mnie chęć przetrwania. Chciałbym tylko móc zaszyć się w jakiś kąt, położyć i leżeć, póki nie umrę. Jak błogo, jakie to szczęście umierać w spokoju. Jak dobrze musi być, gdy się już nic nie czuje... gdy zamyka się powieki i ciało już nie boli, oczy już nie widzą, uszy nie słyszą.

Szczęśliwi i godni zazdrości są ci, co już nic nie czują! Czy aby naprawdę nic nie czują? Czy istnieje prawo i łaska absolutnego braku czucia? Czy też zawsze jeszcze trzeba coś czuć?

Jeszcze kilka tygodni temu silniej odczuwałem ból uderzenia, męki zimna i głodu.

Dawniej dominowało uczucie poniżenia, poniewierki i deptania godności ludzkiej.

Jakże silna była na samym początku pobytu w obozie tęsknota za domem, rodziną, za dzieckiem.

A w getcie? Czego mi tam było mało? Chciałem być wolnym człowiekiem. Cha, cha, cha!

Nie tylko wolnym, ale i dumnym. Nie chciałem nawet wstąpić do Sonderkommando, bo nie mogłem znieść myśli, że kiedyś, po wojnie, mógłby mi ktoś rzucić w twarz oskarżenie, że należałem do Sonder.

Jak szybko można człowieka złamać i pozbawić najszczytniejszych uczuć! Wprost nie do wiary, że przed wojną - zaledwie kilka lat temu - bardziej zabolalaby mnie drobna obraza niż obecnie najsilniejsze uderzenie.

Chyba podobnie przebiega proces śmierci, bo człowiek nie umiera przecież od razu, tylko po trochu, jakby „na raty”. Z początku, gdy organizm jest bardziej zdrowy i odporny, odczuwa się mocniej ból i cierpienia; w tym czasie wszystko w człowieku cierpi - nerwy, ciało, kości i

duśa. W miarę jak choroba rozwija się i osłabia organizm, zmniejsza się liczba ośrodków czucia, aż wreszcie zostaje ich tak niewiele, że większość ludzi umiera z prawdziwą ulgą. W końcowej chwili życia, gdy się wydaje ostatnie tchnienie, organizm doznaje wyzwolenia, które jest chyba podobne do uczucia wielkiej radości. To tak, jak u zdrowego człowieka nagły ból zęba, który zniemacka ustępuje. Życie, to bolący ząb, a śmierć, to pełna błogości chwila, gdy ból mija. Gdybyż to można było już umrzeć!

Erlenbusch, marzec 1945.

Od kilku dni pracuję przy wykańczaniu budowli odległej o jakieś trzy kilometry od

Baustelle. Grupa nasza liczy sześćdziesiąt osób. Pracujemy w trzech punktach, pod nadzorem jednego majstra i czterech esesmanów.

W pobliżu znajduje się kilka wiejskich zabudowań, których swoisty spokój dziwnie mnie nęci, kusi, pobudza wyobraźnię i spędza sen z powiek.

Gdyby tak przekraść się do którejś z tych chałup - prosić, błagać, przyrzec, dać do zrozumienia, że po wojnie odwdzięczę się, zapłacę, ofiaruję wszystko, co posiadam! Może by uwierzyli, może by mnie przyjęli i ukryli. Przecież oni też są chyba ludźmi, chociaż nie wiem... nie wiem! Ale może zdarzy się cud i zrozumieją mnie, może zlitują się, może zdołam przemówić do ich serc, do sumienia, na pewno potrafię wzbudzić w nich litość-przecież nie ma i nie było większej nędzy ludzkiej niż nasza. Warto zaryzykować!

Przedostać się do chałupy nie jest zbyt trudno. Pilnuje nas właściwie tylko jeden esesman, pozostali odpoczywają i wygrzewają się w ciepłym pomieszczeniu. Muszę przezwyciężyć swoją bojaźń - gra warta jest świeczki - muszę zdobyć się na odwagę, muszę wyrzucić ze swej świadomości wszelką myśl o niepowodzeniu. Muszę! Muszę! Trzeba być śmiałym, odważnym - tak odważnym i śmiałym, jak odważne i śmiałe są moje marzenia podczas bezsennych nocy. Nie mam przecież nic do stracenia, a do zyskania - wszystko! Może ta decyzja, ten jeden szalony krok uratuje moje marne, a jednak bezcenne życie.

Gdy snuję w wyobraźni te plany, życie od razu nabiera wartości. Widzę już siebie w Łodzi.

Mieszkam w ciepłym, czystym, jasnym pokoju - obok ogród, w nim kury, kaczki, gęsi.

Posiadam spiżarnię pełną mąki, kaszy, kartofli. Widzę zwoje suchych kielbas wiszących na drążku, a w piwnicy puszki z mięsem i skondensowanym mlekiem.

Ślina napływa mi do ust, a w żołądku coś ściska. Gdy zasypiam, śnię o tych wszystkich bogactwach i rozkoszach, ale nawet we śnie prześladują mnie myśli, że po wojnie będą ograniczenia i nikomu nie wolno będzie posiadać tak ogromnej ilości zapasów żywności. Że w Polsce zapanuje szalony głód, gdy powrócę z obozów wszystkie głodomory i kościotrupy.

Nie będzie pewnie dość jedzenia na całym świecie, aby można było ich nasycić. Rzucę się na świat jak szarańcza i pożrę wszystko. Trzeba będzie ukryć dobrze swoje zapasy, jak to bywało w getcie, aby nikt nie dowiedział się, że mam tyle żywności, że jestem tak bogaty.

Muszę, muszę, muszę! I to jak najszybciej, bo lada dzień mogą mi zmienić stanowisko robocze, a potem już może nie nadarzyć się taka okazja - przecież nigdy nie pracowaliśmy tak blisko zamieszkanym przez ludzi zabudowań.

Postanawiam: jutro! Nie będę myślał o niepowodzeniu. Trzeba być odważnym. Ten jeden krok może zadecydować o moim życiu. Jutro! Boże, pomóż mi, wesprzyj mnie, użyj Swojej opieki, dodaj odwagi! Wybacz, że bluźnię w chwilach zwątpienia!...

[1] Erlenbusch (Olszyniec) - wieś, w której zorganizowano kolejny obóz wchodzący w skład AL Riese.

XXV

Erlenbusch, marzec 1945.

Od samego rana bez przerwy obserwowałem naszego esesmana. Zdawało mi się, że domyśla się moich zamiarów i zwraca na mnie szczególną uwagę.

Siedziałem przed budynkiem i wysypywałem słomę z sienników. Przy sposobności wybierałem pozostałe gdzieniegdzie w kłosach ziarna. Współtowarzysze moi zrywali pełne garście trawy i jedli ją na surowo. Inni znów wybierali różne chwasty i chowali do puszek, aby później ugotować je w obozie.

Czas przemijał niechętnie, wlokąc się w nieskończoność. W pewnej chwili wstałem i poszedłem do ustępu. Serce waliło mi jak młotem.

Przez szparę obserwowałem esesmana. Widziałem, jak odwrócił się i poszedł w odwrotnym kierunku.

Na palcach, cicho i szybko, wyśliznąłem się i popędziłem co sił w kierunku chałupy. Serce podchodziło mi do gardła, nogi ugiwały się i plątały, dech w piersi ustawał. Pochyliłem się, aby być jak najmniej widocznym. Biegłem krętą drogą, między stertami cegieł, które stanowiły pewną osłonę. Wreszcie znalazłem się przed chatą i zatrzymałem się przed otwartymi do sieni drzwiami. Bez namysłu wszedłem do sieni, starając się działać szybko, aby czym prędzej zniknąć z pola widzenia. Dotknąłem ręką klamki przy drzwiach do izby.

Przez ułamek sekundy zawahałem się, ale było już za późno, aby się cofnąć.

Nacisnąłem klamkę - drzwi otworzyły się; wszedłem do środka. Owionęło mnie miłe, radosne ciepło i zapach czystego, zamieszkanego pomieszczenia. Przez okno wpadało dużo światła, które raziło w oczy. Odsunąłem się jak najdalej od okna, aby nie być widocznym z ulicy.

Na wpółprzytomnie rozejrzałem się wokół. W izbie nikogo nie było prócz niemowlęcia, które siedząc pośrodku na podłodze bawiło się drewnianą łyżką. Tysiące myśli przebiegało mi przez głowę. Jeśli ktoś przyjdzie, gotów krzyknąć. Pomyśli? Właśnie, co pomyśli na mój widok?

Chrząknąłem raz i drugi - nikt się nie zjawił ani nie odezwał. Chciałem już sięgnąć po chleb, który leżał na stole, i ulotnić się, gdy w drzwiach

stanęła kobieta w czystym fartuchu, cała lśniąca od czystości, z bujnymi, jasnymi włosami.

Na mój widok wytrzeszczyła oczy, rozwarła usta, ręce wyciągnęła przed siebie i przytłumionym głosem zapytała:

- Mensch! Was machst du hier? Was wollst du hier haben! [\[1\]](#)

Czego tu chcesz?

Stałem bez słowa, onieśmielony i oszołomiony. Nie mogłem sobie przypomnieć, jaki miałem zamiar, po co właściwie tutaj przyszedłem, chociaż pamiętałem, że przyszedłem w bardzo ważnej sprawie.

Rozglądałem się bezradnie po pokoju, wysilałem wszystkie władze umysłu, ponad wszystko pragnąłem skupić myśli - na próżno!

Jej świeża, zdrowa, czysta postać onieśmielała mnie i odbierała mi zdolność myślenia.

Mimo woli spojrzałem w lustro i zobaczyłem swoje odbicie - brudną skurczoną postać, drżącą, jakby śmieszną, a w istocie straszną. Naprzeciw stała kobieta dorodna, czysta i - wystraszona.

Zamierzałem uciec natychmiast, bez żadnej zwłoki - i to nie ze strachu, tylko ze wstydu, że tak wyglądam, ze wstrętu, który nagle poczułem do samego siebie.

Zerknąłem w stronę okna, a potem drzwi. Na myśl, że esesman mógł zauważyć moją nieobecność, zadrżałem. Może zorientował się, że mnie nie ma, może już mnie szuka?

Wówczas... Mój Boże... co się wówczas stanie?

W tej chwili przypominałem sobie, po co tu przyszedłem, ale w dalszym ciągu nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Czuję, że wszystko, co powiem, będzie bez znaczenia, że nie sposób mi uwierzyć, gdyż wszystko, co powiem, jest nie do wiary, nie trafi jej do przekonania.

Momentalnie straciłem wiarę w celowość mojej prośby. Straciłem siłę przekonania, którą wypielegnowałem w sobie i którą żyłem przez tyle dni i nocy.

Cała wiara, że słuszość jest po mojej stronie, bo jestem człowiekiem umęczonym, uciemiężonym i zmalretowanym, znikła na widok tej kobiety czystej, sytej, zdrowej, wolnej i moim widokiem - przerażonej.

Czy ona może mnie zrozumieć? Po cóż miałyby narażać życie dla takiego obdartego i zżartego przez wszy niewolnika w pasiaku, dla takiego

nędzarza, śmiecia ludzkiego, którego nie zna, który ją nic nie obchodzi, którym najwyżej... brzydzi się?

Wszystkie moje nadzieje przysły, ujrzałem całą bezsensowność swoich marzeń. Bałem się jej chłodnego spojrzenia i szyderczego uśmiechu, gdy usłyszy moją prośbę. Stałem jak na rozżarzonych węglach, lękając się spojrzeć w lustro, aby ponownie nie zobaczyć siebie - prawie upiora. Z trudem wreszcie zmusiłem się do wydobycia głosu. Ochryple, prawie bezdźwięcznie zapytałem:

- Haben Sie vielleicht was für mich zu essen? [2].

- Was denn? Brot? [3].

Nie wiedziałem, czy śnię, czy też naprawdę słyszę te słowa. O dziwo! Ta kobieta nie gardziła mną, nie śmiała się, nie drwiła!

Szybko odrzekłem:

- Tak... tak! Może być! Bardzo proszę...

Jeszcze nie skończyłem, a miałem już chleb pokrajany. Sama mi go podała i sama pomagała włożyć do kieszeni od spodni i bluzy.

Gdy miałem już wyjść, przytrzymała mnie za rękę, wyszła przed drzwi i po chwili wróciła, mówiąc:

- Trzeba poczekać... wacha jest w pobliżu!

Zdumienie moje i radość były bezgraniczne. Nie silę się nawet tego wszystkiego opisać.

Zacząłem odzyskiwać jakąś odrobinę wiary w człowieka.

Spostrzegłem wiadro z kartoflami i zapytałem, czy mogę wziąć kilka.

- W co weźmiesz? - zapytała. Kieszenie miałem już pełne.

Szybko wpuściłem bluzę do spodni, owiązałem się sznurkiem i przy jej pomocy kładłem kartofle pod bluzę. Po chwili jeszcze raz wyszła, rozejrzała się i powróciła, mówiąc:

- Teraz wyjdź! Prędko, prędko! Wachy nie widać!

Z kocią zwinnością, podniecony z radości i gnany strachem, zniknąłem za rzędami cegieł.

Pochylony przy ziemi, pędziłem, jakby mnie szatan poganiał. Nie zauważony przez nikogo, wśliznąłem się do ustępu. Tutaj odetchnąłem z ulgą. Plecami oparłem się o ścianę - nogi drżały mi konwulsyjnie, a ręce latały. Wyciągnąłem chleb z kieszeni i pakowałem go sobie do ust.

Dławiłem się, brakowało mi śliny, nie nadążyłem łykać - byle prędej, byle

prędzej i jak najwięcej. Jeśli mają mnie nakryć i ukarać, niech mnie skatują sytego.

Byłem niespokojny, wydawało mi się, że straciłem zbyt wiele czasu. Obtarłem usta, wyszedłem z ustępu i powróciłem do swojej pracy, polegającej na wysypywaniu słomy z sienników. Przykucnąłem na słomie, ale myśl o tym, że posiadam jeszcze reszkę nie zjedzonego chleba, nie dawała mi spokoju. Z zachowaniem wszelkich ostrożności włożyłem kawałek chleba do ust, ale w tej chwili runęli na mnie moi towarzysze, powalili na słomę, zaczęli mnie szarpać. Wpadł na to wszystko esesman, rozdając razy kolbą po głowach i plecach. Całe zdarzenie trwało kilka sekund - i zostałem pozbawiony resztek zdobytego chleba i wszystkich kartofli.

Ogarnęło mnie bezgraniczne zniechęcenie. Poczulem się bardzo znużony i pokrzywdzony - ale przez kogo? Sam nie wiem. Może przez los.

Czy mogłem mieć pretensję do moich nieszczęśliwych, zagłodzonych współtowarzyszy niedoli? Nie! Ostatecznie ja coś niecoś zjadłem i byłem mniej głodny niż oni.

Czym jest właściwie w takiej sytuacji, wobec takich faktów - uczciwość? Czym jest prawo?

Czym jest wreszcie sprawiedliwość i solidarność? Czy miałem prawo jeść chleb w ich obecności? Czemuż miałbym ich oskarżać? Tutaj, w tych warunkach, gdzie od dawna zatraciliśmy obraz i podobieństwo ludzkie, gdzie od dawna umarły w nas wszystkie uczucia odróżniające człowieka od zwierzęcia? W tym wypadku nie było niczyjej winy, prócz mojej własnej. To ja właśnie nie miałem prawa pokazywać im się z chlebem, drażnić ich widokiem jedzenia, to ja ich sprowokowałem i wystawiłem na pokusę, której nikt w tej sytuacji nie mógłby się oprzeć.

Dzisiaj ta sama Niemka przeszła obok mnie i szepnęła, że naszykowała dla mnie kartofle za ustępem. Przechodząc wcale na mnie nie spojrzała. Skierowała się do majstra z prośbą, aby jej pożyczył piłę. Zdążyłem jeszcze cicho jej szepnąć: - Dankel

Musiałem wtajemniczyć we wszystko naszego kapo i oddałem mu wszystkie kartofle do rozdzielenia w grupie. Uczyniłem tak w obawie, aby nie powtórzyła się wczorajsza historia.

Dla siebie zastrzegłem potrójną porcję.

Erlenbusch, marzec 1945.

Jestem na siebie wściekły. Cemu przepuściłem taką okazję? Dlaczego nie zrobiłem chociaż jakiejs próby? Byłem w chałupie, zdobyłem się na to - i zamiast prosić, aby mnie ukryła, prosiłem o jedzenie... Co za idiota ze mnie! Teraz widzę, że to jest dobra kobieta i na pewno by się zlitowała i ukryła mnie. Dlaczego nie miałem tyle odwagi, aby poprosić ją o to?

Skoro już odważyłem się na przekroczenie progu jej mieszkania, trzeba było być konsekwentnym.

Teraz już nie czuję się na siłach, aby powtórzyć to wszystko raz jeszcze, chociaż ta kobieta co dzień przychodzi i podrzuca kartofle pod ustępem. Powtórzyć? Nie ma sensu.

Będzie przekonana, że nadużywam jej dobroci. Wtedy, to co innego. Trzeba było działać od razu, bez namysłu.

Erlenbusch, marzec 1945.

Wczoraj w południe zostaliśmy nagle ściągnięci z Baustelle do obozu. Tłumaczyli nam, że praca została przerwana na skutek epidemii tyfusu, jaka wybuchła w naszym obozie.

Wydało mi się to dziwne, ponieważ nie słyszałem o żadnym wypadku zachorowania na tyfus. Może rzeczywiście zdarzył się wypadek tyfusu, ale nie u nas, tylko u nich - i nie zwykłego, a politycznego i militarnego. Może to nawet cholera lub dżuma!

Wydaje się to tym bardziej prawdopodobne, że ostatnio pracujemy bez majstrów, a jedynie pod nadzorem samej wachy.

W obozie jest jeszcze gorzej niż przy pracy. Głód coraz większy, a nasz Lagerkapo, Solnik, znęca się nad nami w nieludzki sposób. Wypędza nas na dwór, usunął z izby piec, bije nieustannie bez żadnego powodu i wynajduje najrozmaitsze roboty, które nikomu nie są potrzebne.

Każdy go przeklina za plecami, ale w jego obecności wszyscy są posłuszni jak tresowane psy i drżą przed nim ze strachu. Raz jednak pewien kapo powiedział mu:

- Cemu nie dajesz im spokoju? Przecież po wojnie powieszą cię na pierwszej lepszej gałęzi.

Solnik odpowiedział:

- Grunt to wojnę przeżyć, a po wojnie mogą mnie powiesić.

Dörnhau, marzec 1945.

Przedwczoraj ewakuowali nas do Dörnhau. Po przybyciu do obozu zamknęli nas w izbie kąpielowej i, diabli wiedzą po co, trzymali tam przez trzydzieści sześć godzin. Przedtem zabrali nam ubrania, które jakoby miały być poddane dezynfekcji. Spaliśmy na mokrej, betonowej podłodze. W ciągu trzydziestu sześciu godzin nie dostaliśmy żadnego pożywienia. Gdy komuś robiło się słabo, Solnik polewał go zimną wodą.

Wszyscy kapo z Erlenbusch mają pełne torby chleba. Chleb ten przed ewakuacją mieliśmy dostać na drogę, ale Solnik wytłumaczył Lagerführerowi, że nie należy nam wydawać pełnej porcji chleba, gdyż od razu go zjemy.

- Jak zajdziemy do Dörnhau - powiedział - to ja im rozdam. Rozdał go istotnie, ale blokowym i kapo.

Dörnhau, kwiecień 1945.

Pracuję na dworcu, w grupie kapo Büchera z łódzkiego getta. W całym obozie są tylko dwie grupy, którymi dowodzą dwaj polscy Żydzi - Bücher i Birenbaum.

Czyniłem usilne starania, aby pracować w grupie Büchera. Sądziłem, że na dworcu uda mi się coś „zorganizować”. Niestety, zawiodłem się.

Pracujemy na bocznicach kolejowej - ładujemy części baraków, maszyny, rury i szyny.

Majster wyznaczył nam akord i chcąc, abyśmy się śpieszyli, zapowiedział, że po załadowaniu wyznaczonej liczby wagonów możemy odpoczywać. Nie ma to znaczenia, gdyż

Bücher zawsze znajdzie dla nas jakieś dodatkowe zajęcie. Nie daje nam odetchnąć, opornych bije i grozi, że nazajutrz zostawi takich na rewirze, na połowie porcji chleba i zupy, lub wyznaczy ich do innej grupy - niejakiego Madziara, sadysty i łotra jeszcze gorszego niż on.

Coraz bardziej opuszczają mnie siły, w marszu zostaję w tyle, nie mogę nadążyć za grupą.

Coraz częściej mam zawroty głowy, a opuchlizna, która zaczęła się od nóg, sięga już brzucha.

Rozpaczliwie źle jest przy pracy, a jeszcze gorzej w obozie. Jestem tak osłabiony, że z trudem wdrapuję się na drugie piętro do swojej kojki.

Wczoraj przy pracy zasłabł mój znajomy z Łodzi, Joskowicz, którego po powrocie do obozu umieszczono na rewirze. Dzisiaj rozmawiałem z nim.

Pienił się z bezsilnej złości i rozpacz.

- Bandyti! - krzyczał. - Wykończą mnie na rewirze. Lekarze, Madziary, zjadają nas... Pół zupy i pół porcji chleba... Bez ubrania, nawet bez koszuli... wszy zżerają mnie żywcem. Ratuj mnie! Wczoraj zabrali stąd trupa Gerszta z Łodzi. Leżał obok mnie. Wszy wgryzły mu się w dołek pod szyją. Brr! Całe mrowisko. Ratuj mnie! Błagam cię! Ratuj! Rzucili mnie wszom na pożarcie. Ratuj!

Odszedłem strasznie zgnębiony. Nie mogłem się zdobyć na zdawkowe słowo pociechy.

Błagał mnie o ratunek, a ja sam nie wiem, czy nie znajdę się na rewirze jutro lub za kilka dni...

Dziś pracowałem w innej grupie - u Madziara w tunelu, w sztolni nr 4. Demontujemy urządzenia tunelu - wrywamy olbrzymie, długie, ciężkie rury. Wynosimy je i składamy przed tunelem. Co godzina przyjeżdża samochód, na który ładujemy to żelastwo. Tunel jest wielki, wilgotny i zimny. Stale pilnuje nas majster i wacha. W ciągu dwunastu godzin pracy mamy jedną godzinę odpoczynku. Wielu spośród nas codziennie ulega różnym wypadkom.

Przygniatają nas żelazne belki, rury spadają na nogi, mdlejemy pod ich ciężarem, ale kto tylko może, wytrwale krząta się i dźwiga żelastwo, w obawie, aby nie być ocuconym za pomocą kolby lub drąga.

Nosząc rury i nie chcąc czuć ich piekielnego ciężaru, zmuszam się do myślenia o czymś zupełnie innym. Przeważnie myślę o tym, jaki to będzie świat i jakie życie po wojnie.

Dörnhau, kwiecień 1945.

Od kilku dni w żaden sposób nie mogę zasnąć. Żołądek kurczy się w strasznych bólach - tracę po prostu przytomność. Co robić? Pójść na rewir? Denerwuje mnie, że słowo „rewir” oznacza miejsce, gdzie udziela się ludziom chorym pomocy lekarskiej, a w rzeczywistości to jakaś mordownia, rojowisko wszy i miejsce największych męczarni. Lekarze na rewirach, to żarłoczne, spasiono bestie, hieny żywiące się naszymi trupami.

Odsuwam od siebie myśl o rewirze. Będę chodził do pracy tak długo, aż padnę martwy.

Póki choć trochę jeszcze poruszam rękami i nogami, nie zejść z posterunku. Ach, dlaczego wówczas nie pozostałem u tej kobiety, dlaczego

nie uciekłem? Najwyżej by mnie zastrzelili, gdybym został przez kogoś wydany lub odnaleziony, a tak przedłużam tylko swoje męki.

Staram się oszukać swój żołądek, tak jak w getcie, w okresie największego głodu, oszukiwałem swoje dziecko bajkami o tym, jak dobrze będzie po wojnie.

Z największym wysiłkiem woli staram się wyobrazić sobie wspaniałe potrawy, jakimi będę się raczył po wojnie. Widzę siebie siedzącego przy suto zastawionym stole - mam do wyboru wielką ilość smacznych, wyszukanych potraw. Pachną smakowicie, parują, nęcą oczy i podniebienie. Pod wpływem tych myśli mój żołądek się uspokaja. Gdy wreszcie zapadam w sen, śnią mi się stoły uginające się pod ciężarem jedzenia. Tyle jest w tych snach realizmu, że wydaje mi się, iż rzeczywiście wybieram smakowite kąski i zajadam.

Z rana, gdy budzę się, podgłówek jest cały mokry od śliny i wcale nie odczuwam głodu.

Czuję się tak pokrzepiony, jakbym naprawdę to wszystko, o czym śniłem, spożył. Co za rozkoszne sny. Chyba sam Pan Bóg karmi mnie w nocy...

Dörnhau, 7 kwietnia 1945.

Poszedłem dzisiaj na rewir, aby zbadał mnie lekarz. Od pewnego czasu mam rozwolnienie i brzuch mój puchnie z każdym dniem coraz bardziej. Na wszelki wypadek, gdyby mnie lekarz chciał przyjąć na rewir, podałem zmyślane nazwisko i numer zmarłego już Haftlinga.

Lekarz skonstatował, że spuchlizna dochodzi do serca.

- Musisz pozostać na rewirze i odpocząć - powiedział. - Zgłosisz się do mnie jutro przed apelem.

Zapisał sobie moje zmyślane nazwisko i numer nieżyjącego już więźnia. Przestraszyłem się nie na żarty, oczywiście nie śmierci, bo śmierci dawno już się nie boję, lecz rewiru i lekarzy.

Zaświtała mi w głowie myśl o ucieczce.

Przypadkowo dowiedziałem się, że w obozie naszym przebywają dwaj więźniowie - jeden Polak i jeden Rosjanin - którzy rok temu uciekli z przymusowych robót, po czterech tygodniach zostali schwytani i za karę umieszczeni w naszym obozie. Prócz tego w naszym obozie znajduje się jeszcze sześćdziesięciu Polaków i Rosjan, ale są oni uwięzieni w oddzielnej izbie, na parterze, i nie ma do nich dostępu.

Postanowiłem zobaczyć się z tymi dwoma więźniami i nakłonić ich do wspólnej ucieczki.

Plan szczegółowo obmyśliłem i wyobrażałem sobie, że z nimi uciekać będzie najlepiej, gdyż znają oni tutejszy teren i będą wiedzieli, do jakiego miejsca należy dojść.

Do dwunastej w nocy leżałem i rozmyślałem nad wszystkimi szczegółami. Zdawało mi się, że wszystko przewidziałem. Tymczasem oczy zaczęły mi się kleić do snu, ogarniała mnie coraz większa senność. Szczypałem się i białem po twarzy, aby nie zasnąć.

Oprócz oczywistych powodów, skłaniających mnie do ucieczki, strach przed rewirem dodawał mi siłę do podjęcia ryzyka. Co będzie, jeśli lekarz rozpozna mnie przy jutrzejszym apelu i siłą wpakuje na rewir?

Muszę uciekać dzisiaj, i to nieodzwrotnie. Pogoda mi sprzyja. Noc jest ciemna, aż gęsta, i dmie silny wiatr.

Chciałem wstać z pryczy, ale przychodziło mi to z wielkim trudem. W myślach czułem się zdrowy, rześki, silny i zdolny do pokonywania wszelkich przeszkód - w rzeczywistości ciało moje było słabe, ociężałe i bezwładne.

Nie wiem, ile czasu trwało, nim zlałem z mojej койki, z drugiego piętra na dół - w każdym razie bardzo długo.

Cicho otworzyłem drzwi do izby, w której spali obydwaj więźniowie. Obudziłem najpierw Rosjanina Kolę, a potem Polaka Piotra. W tej samej chwili pożałowałem, że ich zbudziłem, gdyż wyglądali na nieprzytomnych, tak byli zaspani, a poza tym odniosłem wrażenie, że są bardzo zaskoczeni i zdziwieni. Nie miałem nadziei, aby się zgodzili na mój szalony pomysł, toteż zamiast proponować im wspólną ucieczkę poprosiłem, aby pożyczili mi siekierę.

- A na co ci potrzebna siekiera o tej porze? - zapytali.

- Urąbię trochę drzewa... mam kilka kartofli... ugotuję je sobie.

- Na, masz - podali mi siekierę. - Ale pamiętaj, że dla nas po kartoflu.

- Dobrze.

Jak lunatyk wyszedłem z izby, z siekierą ukrytą pod bluzą pasiaka i skierowałem się do Waschraumu[4]. Nikogo tam nie było. Siekierą podważyłem zakratowaną ramę okienną-ustąpiła pod jednym silnym naciśnięciem.

[1] Mensch! Was machst du hier? Was wollst du hier haben? - Człowieku! Co tu robisz?

[2] Haben Sie vielleicht was für mich zu essen? - Czy ma pani może coś dla mnie do jedzenia?

[3] Was denn? Brot? - Co? Chleb?

[4] Waschraum - umywalnia.

XXVI

Widziałem esesmana, idącego w kierunku szosy. Z powodu wiatru miał podniesiony kołnierz płaszcza. W rogu obozu przystanął na chwilę; z przeciwnej strony nadszedł drugi esesman i obydwaj skryli się za czerwonym budynkiem.

Musiałem jak najprędzej opuścić to miejsce - nie było ono bezpieczne.

Wylazłem przez okno. Na chwilę przykucnąłem na ziemi, bacznie rozglądając się dokoła.

Nikogo nie było widać. Ostrożnie zbliżyłem się do drutów, uniosłem siekierę i przeciąłem druty wzdłuż ogrodzenia. Drżącymi rękami odgiąłem druty, schyliłem się i szybko poszedłem w kierunku tak trudnej do odzyskania wolności.

Szedłem śmiało przed siebie, ściskając siekierę w rękę, jak obłąkany lub desperat, który nie ma już nic do stracenia. Byłem zdecydowany dzielić siekierą przez łeb każdego, kto stanąłby mi na drodze.

Wokół panowała głęboka cisza. Słyszałem jedynie odgłos własnych kroków. Wtem posłyszałem jeszcze jakieś inne kroki, podobne do przytłumionego echa moich własnych.

Odwróciłem się gwałtownie. Z ciemności coraz wyraźniej wylaniała się, otoczona mgłą, jakaś ludzka postać, a kilka kroków za nią druga. Serce zakotłowało mi w piersi niespokojnie.

Koniec - pomyślałem - jestem stracony. Nikt inny, tylko esesmani. Wyteżyłem wzrok, silnie zacisnąłem dłonie na rękojeści siekiery - i w tej chwili posłyszałem szept:

- Czy aby wiesz na pewno, że tędy trzeba iść?

Natychmiast poznałem głos Koli. Z niesłychanym wysiłkiem wykrztusiłem:

- Nie... nie mam gdzie iść!

Zabrakło mi tchu. Gwałtowne bicie serca utrudniało mi mowę. Kola i Piotr wzięli mnie pod ręce i postąpili krok naprzód, aleja nie mogłem poruszać nogami, jakbym przyrósł do ziemi.

- Chodź, pójdziesz z nami - powiedział Piotr. - My wiemy, gdzie trzeba iść.

Podąłem się naprzód, chcąc ruszyć z miejsca, lecz nadaremnie - nogi pozostały bezwładne, a kolana sztywne. Oparłem się o nich całym ciężarem ciała. Piotr i Kola niespokojnie spoglądali na mnie. Wysunęli ręce spod moich ramion i jeden z nich odezwał się:

- Chodźmy... musimy go zostawić... przez niego i my wpadniemy.

Chwilę się namyślali.

- Widzisz przecież, że on z nami nigdzie nie zajdzie - powiedział któryś z nich.

- Nogami nie może poruszać... Nie rozumiem, po co ten trup uciekał?

Odeszli. Zostałem sam w szczerym polu, na pagórku, w pasiaku.

Widziałem, jak oddalali się niknąc we mgle. Upadłem twarzą do ziemi i sam nie wiem, jak długo tak leżałem.

W duchu modliłem się za nich, za ich powodzenie, aby szczęśliwie doszli do swojej kryjówki. Widziałem, że poszli do lasu, w kierunku Kaltwasser.

Kiedy zaczęło trochę szarzeć, rozpocząłem próby z poruszeniem nóg - z wysiłkiem poddawały się moim rozkazom. Zginałem je kilkanaście razy, aby utwierdzić się w przekonaniu, że mogę nimi władać. Szczołgałem się na brzuchu z pagórka. Za pagórkiem powstałem i rozejrzałem się wokół. Co robić? Dokąd pójść? Z takim wyglądem - i do tego w pasiaku?

Cała wioska była pogrążona we śnie i tonęła w gęstej mgle. Nigdzie nie było widać żadnego światła. Zacząłem żałować, że uciekłem. Poszedłem w tym samym kierunku, w którym i oni poszli, ale czułem, że nie starczy mi sił.

Bezmyślnie skierowałem swoje kroki na wiejską drogę. Szedłem jak widmo, jak zjawą nie z tego świata. Byłem zupełnie zrezygnowany. Szansa ocalenia równała się zeru. Podświadomie obserwowałem domy.

Przystawałem i pytałem samego siebie: Może tutaj?

Zdawało mi się, że idę już bardzo długo, że odszedłem daleko od obozu.

Staniałem się na nogach.

Bezwiednie i zupełnie przypadkowo minąłem jakieś obejście i wszedłem do sieni.

Schroniłem się za drzwiami przed dokuczliwym wiatrem i stałem tam długo otępiały, zobojętniały, nie mając najmniejszego pojęcia, co czynić dalej. Nie byłem zdolny do prawidłowego myślenia, nie zdawałem sobie nawet sprawy z beznadziejności własnej sytuacji.

Stałem spokojnie, oparty o ścianę, zadowolony, że jest noc i że wszystko śpi wokół, że mnie nikt nie widzi, jakbym był pewny, że ta noc będzie trwać

wiecznie.

Ledwo zaczęło cokolwiek świtać, gdy postyszałem czyjeś kroki. Odruchowo wyprostowałem się, przylgnąłem do ściany, chcąc skryć się przed wzrokiem nadchodzącego. Drobne i niegłośnie kroki zbliżały się powoli. Serce uderzyło mocniej, oddech uległ przyśpieszeniu.

Myśli jak błyskawica przelatwały przez głowę i znikaly. Dopiero w tej chwili uprzytomniłem sobie grozę mojego położenia.

Wtem, gdzieś niedaleko, kroki ustały. Ostrożnie wychyliłem głowę, aby przekonać się, czy niebezpieczeństwo minęło, i ujrzałem przed sobą kobietę z dzbankiem w ręku. Stała o jakieś pięć kroków ode mnie, w pozycji wyczekującej, niezdecydowanej.

Na mój widok wypuściła dzbanek z ręki, zakrywając dłońmi twarz, jakby chciała nimi zasłonić sobie oczy przed czymś strasznym, potwornym. Po chwili palce jej rąk zamieniły się w drapieżne szpony, gotowe do walki z przerażającym upiorem, który na nią spoglądał.

Powoli, bez słowa, zaczęła się cofać. Zdawało się, że oczy wyjdą jej z orbit z wielkiego strachu.

Widać było, że cofanie zamieni się w paniczną ucieczkę. Jej przerażenie przywróciło mi równowagę. Postąpiłem krok naprzód, a ona z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami przystanęła na miejscu, jak urzeczona.

Cicho odezwałem się:

- Frau, haben Sie keine Angst vor mir, ich mache Ihnen nichts Böses[1].

- Ale tyś uciekł z lagru... przecież cię złapią i powieszą! - mówiła z przerażeniem w głosie.

- Na to nie ma żadnej rady - odpowiedziałem.

- Wyjdź z tego domu!

- Nie, nie wyjdę. Czy pani nie rozumie, że nie mam gdzie iść?

Dostrzegłem w jej oczach wahanie.

- Pani - mówiłem - wojna ma się już ku końcowi, niebawem przyjdą tutaj Amerykanie, Anglicy lub Rosjanie, a wtedy może być dla Niemców bardzo źle. Ukryje mnie pani, będzie pani miała alibi - wstawię się za panią, będę pani bronił, wówczas nic pani nie będzie groziło.

Starłem się, by moje słowa brzmiały przekonująco, ale w istocie nie bardzo tym słowom wierzyłem, gdyż nie wiedziałem, co przyszłość przyniesie.

- Kiedy ja nawet nie mam własnego mieszkania - odpowiedziała z rozpaczą w głosie. -
Jestem Flüchtling[2] z Breslau. Znalazłam schronienie wraz z pięciorgiem dzieci tutaj, u mojego ojca.

- Przecież ja nie chcę do mieszkania... Mogę być w komórcie lub w piwnicy, albo na strychu... gdziekolwiek.

- A jak wykryją? Powieszą mnie razem z dziećmi... Może cię kto zauważył?

- Nikt mnie nie widział. Jestem w tej sieni już od kilku godzin. Zresztą ja pani nie wydam, żeby mnie mieli żywcem obedrzeć ze skóry. Prędej, prędej, bo nas jeszcze kto zauważy!

- A czy na pewno nikt cię nie widział? Na pewno?

- Nie!

Wyszła przed dom i rozejrzała się wokół. Spoglądała na wszystkie strony, wreszcie powróciła i zdecydowanym ruchem ujęła mnie pod ramię, po czym wprowadziła do piwnicy.

Stanęliśmy naprzeciwko siebie, podobnie jak było z tamtą kobietą - ona wysmukła i blada i ja, ostatni nędzarz na świecie. Ujęła moją dłoń, na którą, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, spadła ciepła łza. Stałem nieruchomy, niemy i pełen jakiegoś wewnętrznego drżenia.

Po dłuższej chwili przerwała milczenie.

- Szkoda czas tracić - powiedziała. - Już świta. Niebawem przyjdą tutaj Polki, które są u nas na robotach. Nie zdradzaj przed nikim swojej obecności. Przychodzą tutaj po wodę.

Pamiętaj, nie ufaj nikomu! Nie zdradź się!

Zauważyłem kilka długich, stojących pod ścianą skrzyń. Podeszedłem, uniosłem wieko - i ujrzałem pełno kartofli. Chciwie chwyciłem do ręki kartofel i nie zważając na obecność mojej wybawicielki, zacząłem go jeść. Zachowanie jakichkolwiek form było ponad moje siły. Jak nieprzytomny gryzłem i połykałem kartofle, i nie zauważyłem nawet, kiedy Niemka wyszła z piwnicy. Ujrzałem ją znowu, gdy już pożarłem kilka kartofli na surowo. Powróciła z pościelą i jedzeniem.

- Zjedz - powiedziała - a ja tymczasem przygotuję ci legowisko w tej skrzyni, bo już świta i niebawem zaczną tutaj przychodzić po wodę.

Postawiła jedzenie, a sama zajęła się przekładaniem kartofli z jednej skrzyni do drugiej.

Zacząłem połykać wielkie kawały ciasta. Nie miałem czasu, aby żuć. Po kilku minutach wszystko zostało zjedzone. Podeszedłem do niej i pomogłem przełożyć resztę kartofli.

Kiedy skrzynia była już próżna, położyła na dno pierzynę i małą poduszkę, a na wierzch dwa koce do przykrycia, po czym spojrzała na mnie i zapytała, czy chcę jeszcze jeść.

- Tak... ale proszę tylko o chleb.

Było mi przykro, że zjadłem tyle ciasta. Po chwili wróciła z czterema kromkami chleba i litrowym garnuszkiem owsianki na mleku.

Nie tracąc czasu zjadłem i to. Potem pomogła mi ułożyć się w skrzyni, zamknęła wieko - i zostałem sam.

Usnąłem. Gdy zbudziłem się, ujrzałem ją pochyloną nade mną. Z uwagą i niepokojem spoglądała na mnie. Widząc, że podnoszę powieki, odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu - usłyszałem jej słowa. - Myślałam, że już nie żyjesz. Spałeś całą dobę.

Czy nikt cię nie zauważył?

- Nie - odpowiedziałem.

- Masz... Zjedz i wypij. Jutro znów przyjdę, a teraz muszę już odejść, gdyż boję się, aby mnie kto nie spostrzegł.

Zostałem znów sam. Leżałem spokojnie i nasłuchiwałem. Słyszałem, jak ludzie przychodzili do sąsiedniej izby piwnicznej; jak brzękali pustymi wiadrami; jak naciskali pompę. Słysząc było szum napętniającej wiadra wody, odgłos kroków na schodach. Od czasu do czasu ktoś zanucił piosenkę. Przez szpary w skrzyni obserwowałem nastający świt i zapadający zmierzch.

Często nachodził mnie niepokój, czy moja wybawicielka nie rozmyśli się czasem...

Codziennie przez długie dwadzieścia cztery godziny oczekiwałem jej przyścia. Witałem ją zawsze z niepomowaną radością i żal ścisnął mi serce, gdy odchodziła. Dziwna radość wypełniała mnie, gdy słyszałem jej słowa, które powtarzała prawie co dzień; - Haben Sie gut geschlafen? [\[3\]](#). Do widzenia. Do jutra.

Po czym opuszczała pokrywę i wychodziła z piwnicy. Znów pozostawałem sam. Znów nasłuchiwałem - kroki, brzęk wiader, plusk wody, oderwane słowa, ponowne kroki - po czym dwadzieścia cztery godziny upiornej ciszy.

Po kilku dniach nie mogłem już dłużej uleżeć w skrzyni. W nocy wstałem i bardzo cicho spacerowałem po piwnicy. Wreszcie, przemarznięty, powróciłem do skrzyni, owinąłem się kocami i marząc o tym, aby znów usłyszeć dźwięczny głos tej, która uratowała mi życie - usnąłem.

Pewnego dnia, niespodziewanie, przyniosła z sobą do piwnicy krzesło. Postawiła je w kącie i powiedziała:

- W nocy wyjdź i posiedź sobie trochę, ale ostrożnie... cicho.

Nie zdążyłem podziękować, a już znikła jak cień.

W tych dniach jedyną radość sprawiały mi jej odwiedziny. Jej głos powodował szybsze bicie serca. Tyle, tyle chciałbym mówić, opowiadać, pytać - ale nic z tego, bo trzeba było nieustannie uważać, czuwać, nasłuchiwać. Z nadmiaru pytań, które cisnęły mi się na usta, często nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Słowa zamierały mi na wargach, zresztą bałem się własnego głosu, aby kto nie posłyszał, nie zaczął śledzić i podejrzewać.

Szczególnie trapiła mnie myśl: jak długo to jeszcze potrwa, ile czasu będę musiał tutaj przebywać, czy zdołam się ocalić, czy ta wojna nigdy się nie skończy?

Często wracałem myślą do obozu. Wzdrygałem się na samo wspomnienie. Tak jakbym widział rewir z setkami i tysiącami półtrupów, chorych, z niemą prośbą w wygasłych oczach - prośbą o szybką śmierć. Kogokolwiek ze znajomych sobie przypominałem, stawały mi przed oczyma martwe, skamieniałe twarze i sztywne, sponiewierane ciała - Wlezlaka, Kupermana, Skoczylasa... setki, tysiące nazwisk przewijały się przez pamięć. Wszyscy zmarli, pomordowani. Umarły, zniszczony świat.

W tym czasie skonało sumienie ludzkie, runął wielki gmach cywilizacji, wznoszony z takim trudem przez tysiące lat. Śmierć... śmierć rozpostarła swe skrzydła nad światem. Śmierć zapanowała niepodzielnie - wszędzie trupy i trupy. Cała kula ziemską zlaną krwią, użyźniona popiołami. Historia wyda kiedyś sąd o Niemcach, którzy chcieli być panami świata, a nie zasłużyli nawet na miano dzikich zwierząt. Może znajdą się uczeni, którzy zbadają, do jakiego stopnia upadku i znikczemnienia może doprowadzić człowiek człowieka, jeden naród drugi naród. Może również zbadają, czemu tak źle się dzieje i jaki to ma sens.

Myślałem również o naszych obozowych lekarzach. Przecież zawód lekarza, to poświęcenie siebie w służbie człowieka - tymczasem w obozach

widziałem prawie wyłącznie wyzbytych z ludzkich uczuć kombinatorów, którzy zdolni byli do każdego łotrostwa za jeden dodatkowy kęs chleba. Z oblicza świata zdarto maskę. Obnażony człowiek niewiele zachował cech ludzkich.

Solidarność, ofiarność, altruizm nie ostaje się wobec kija esesmana i wieloletniego głodu.

Świat walczy o kawałek chleba. Pogoń za kawałkiem chleba kształtuje losy ludzkie i narodów.

W tej pogoni ludzie tracą człowieczeństwo, demoralizują się, upadają. Silni i bogaci zwyciężają - oni gubią słabych i biednych. Na złych, przegniłych filarach stał świat i dlatego runął.

[1] Frau, haben Sie keine Angst vor mir, ich mache Ihnen nichts Böses - Niech się pani nie obawia, nie zrobię pani nic złego.

[2] Flüchtling - uciekinier.

[3] Haben Sie gut geschlafen? - Czy pan dobrze spał?

XXVII

Pewnego dnia, a było to 10 maja 1945 roku, o świcie, leżałem w swojej skrzyni i tęsknie oczekiwałem przyjścia mojej wybawicielki. Wtem posłyszałem jakieś ciężkie, szybkie, obce kroki. Ogarnął mnie niepokój. Kto to może być? Znałem chód wszystkich przychodzących do piwnicy, chociaż nigdy nikogo nie widziałem. Odróżniałem każdy krok i na tej podstawie stworzyłem sobie wyobrażenie osób, które przychodziły do piwnicy. Wymyśliłem nawet system, który do pewnego stopnia umożliwił mi orientowanie się w czasie. Zwykle liczyłem:

Nr 1 już był. Jest to prawdopodobnie osoba szczupła, żywa, zwinna, wesola. Nr 2 - ktoś niski, gruby, ocieężały, o nalanej twarzy, dość ponury. Nr 3 - kobieta mała, o tanecznych ruchach, wesola, pogwizdująca. Potem przyjdzie Ona! Idzie powoli, dostojnie, drobnym krokiem.

Zanim przyjdzie do mnie, obejdzie całą piwnicę, zajrzy do wszystkich zakątków.

Wtedy serce zaczyna mi bić żywiej, a ona wolno unosi pokrywę skrzyni.

Kroki, które słyszę, na pewno nie pochodzą od żadnej z tych osób. Są to kroki nowe. Słyszę również jakieś hałasy, przewracanie różnych przedmiotów, jakieś trzaski. Wszystko to głuchym echem odbija się w mojej skrzyni, tak bardzo podobnej do trumny. Wreszcie słychać krzyki, pękanie wyłamywanych drzwi.

Na chwilę serce przestaje mi bić w piersiach. Nic innego, tylko szukają mnie! Za chwilę wpadną tutaj esesmani, chwycą mnie za nogi i roztrzaskają o ścianę. Ciemne płatki zawirowały mi przed oczami. Odruchowo skurczyłem się i przytuliłem do ściany skrzyni.

Zdawało mi się, że zapadam się pod ziemię, że obsuwam się w głęboki dół.

Kroki najwyraźniej zbliżają się do mojej skrzyni. Skurczyłem się jeszcze bardziej, głowę schowałem w ramiona i zakutałem się w koc.

Ktoś silnym szarpnięciem poderwał pokrywę, brutalnie odrzucił koc, chwycił mnie za kark i zaświecił w oczy elektryczną latarką.

Struchlałem. Skończyło się - pomyślałem - to już jest koniec!

Słyszałem czyjeś słowa, ale ze strachu nic nie rozumiałem. Byłem prawie nieprzytomny.

Twarzy tego człowieka czy ludzi nie widziałem, gdyż w dalszym ciągu oślepiło mnie światło latarki.

Jedno jednak pytanie dotarło do mojej świadomości i przywróciło mi przytomność.

- Toś ty z lagru?

- Tak!

- No, to możesz iść... Jesteś wolny!

Człowiek zgasił latarkę i pomógł mi wyjść ze skrzyni. Przyjrzałem mu się uważnie.

Tak. To był sowiecki żołnierz!

Wreszcie nadeszła ta chwila. Jestem wolny!

Pragnąłem się cieszyć, manifestować w jakiś sposób swoją radość - i nie mogłem.

Zapomniałem, jak się należy cieszyć. Zdawałem sobie sprawę, że powinienem temu żołnierzowi okazać wdzięczność, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Chciałem z siebie wydobyć jakieś serdeczniejsze słowa, ale nie umiałem tych słów znaleźć. Chwyciłem go tylko za rękę i mocno nią potrząsnąłem.

Obawiałem się wyjść z mojej ciemnej, wilgotnej nory. Przywykłem do ciemności i bałem się dnia. Bałem się również prawdy, z którą miałem się zetknąć.

Dokąd pójdę, gdzie powrócę? - przemknęło mi przez myśl. - Kto na mnie czeka?

Komu jestem potrzebny? Kto mi jeszcze pozostał na tym świecie?

Niechętnie, bez entuzjazmu wyszedłem z piwnicy. Oślepiło mnie światło dnia. Odwykłym od słońca wzrokiem spojrzałem w głąb wiejskiej ulicy, po której biegali i tańczyli niedawni niewolnicy XX wieku, rozkoszując się powietrzem i wolnością. Nie poruszając się, stałem długo w drzwiach, spoglądając na ten widok i nie mogłem zebrać myśli. I ja chciałem radować się i tańczyć, ale nie mogłem. Jedno było jasne: jestem strzępem człowieka i strzęp ten jest wolny!

Nagle przypomniałem sobie, że dziś nie widziałem Jej, mojej zbawicielki, dobrego, uczciwego człowieka - i zawróciłem do piwnicy. Nie uszedłem kilku kroków, gdy spotkała mnie, mocno ujęła za rękę i zaprowadziła do swego ubogiego mieszkania.

Po południu, wymyty i ogolony, poszedłem do miasta. Ulice przedstawiały niesamowity widok. Wszędzie leżały porzucone mundury i broń, pociski, maski gazowe, naboje, hełmy i rozbite wozy. Wszystkie sklepy były porozbijane. Na każdym kroku służalczo kłaniali mi się Niemcy, łaszcząc się, jakby w moich rękach spoczywały losy świata. Byłem pełen niesmaku i pogardy.

Przed jednym z rozbitych sklepów leżał rozsypany na ziemi groch, a w środku piętrzyły się wory cukru, mąki, kaszy i makaronu. Stanąłem jak przygwożdżony do ziemi, zahipnotyzowany tym widokiem. Schyliłem się i pieczołowicie zacząłem zbierać ziarenka grochu z ziemi.

Podszedł do mnie sowiecki żołnierz i zapytał:

- Na co ci to?

- Do jedzenia - odpowiedziałem.

- To przecież nie jest jedzenie - rzekł. - Zostaw to! Chodź.

Zaprowadził mnie do rozbitego sklepu.

- Bierz, czego dusza zapagnie - powiedział. - I najedz się!

Podziękowałem i zacząłem udawać, że coś sobie wybieram. Gdy odszedł powróciłem na poprzednie miejsce i znów zabrałem się do zbierania grochu. Zebrałem wszystkie ziarenka co do jednego i schowałem je do kieszeni, jakby to był wielki skarb.

Po kilku dniach odwiedziłem obóz. Sale fabryczne nadal pełne były chorych, których pielęgnowały siostry Niemki. Ściany tego pomieszczenia zostały już wybielone, prycze wyczyszczone, wszędzie uwijali się sanitariusze i lekarze.

Sowieckie wojsko dostarczyło lekarstw, i ci sami lekarze, którzy kilka dni temu zjadali przydział dla chorych i kwalifikowali słabszych do pieców, obecnie wykazywali maksimum starań i z zaafelowanymi minami konferowali z oficerami sowieckimi, jak polepszyć byt i zdrowie drogocennych pacjentów. Nikomu z nas nie przyszło na myśl oskarżać ich i dochodzić w stosunku do nich sprawiedliwości. Tak przecież głęboko byli oddani swemu pięknemu powołaniu - służeniu chorym ludziom.

Kacikapo tak się starali, że wprost wylazili ze skóry. Organizowali dowóz żywności dla obozu, czynili wszelkie wysiłki, aby wszystko szło sprawnie, a my - tępi, dobroduszni więźniowie - przyjmowaliśmy dziękczynnie ich usługi, nie decydując się na ich zdemaskowanie.

Od rana do wieczora kapo Bücher siedział wytrwale na wozie i przybierając pozę przepracowanego męczennika wydawał nam cukier. Czynił to z równą energią jak wtedy, gdy zaganiał nas kijem do pracy, odbierał chleb, bił i kopał. Różnica w jego zachowaniu polegała jedynie na tym, że o ile przedtem bluzgał przekleństwami, to obecnie nie szczędził miłych i słodkich słów.

Lagrältester zamienił się we wzorowego gospodarza. Trudno opisać, jak umiał wszystko przewidzieć, świetnie zarządzić, najlepiej zorganizować.

Lagerführer, a poprzednio Unterscharführer SS, również chciał pozostać nam wierny aż do grobowej deski i z pełnym oddaniem piastował stanowisko kierownika kuchni. Funkcję tę pełnił tak dobrze, jak dobrze wykonywał dotychczas straszne obowiązki Lagerführera.

Całe dowództwo lagru wykazało, że i teraz zdolne jest do zajmowania kierowniczych stanowisk.

Tylko w salach fabrycznych dawnego lagru codziennie konały dziesiątki i setki byłych Haftlingów ofiar systemu wymyślonego przez wielki, europejski naród.

Byli więźniowie długo jeszcze umierali w oswobodzonych obozach, powiększając grono ludzi poległych, zmarłych i zamęczonych nie wiadomo czemu. Bo w imię czego zamęczono te miliony istnień ludzkich?...

Nr. aktu 133 /1916 r.

1. Nazwisko: Kajzer
2. Imiona: Fajbus Abraham
3. Imiona rodziców Fajbus i Hella
i nazwisko pa-
nieńskie matki: Dancygier
4. Data urodzenia: Dnia 15 m-ca lutego 1914 r.
5. Miejsce urodzenia: Bedzin
6. Zawód ojca (matki): handlarz
7. Uwagi: _____



Cmentarz żydowski przy ul. Brackiej w Łodzi. Macewa na grobie (str. L, kw. AI, grób 37) ojca Abrahama - Fajwisza Kajzera (zm. 6.03.1923 r. w wieku 36 lat) Foto: Marek Szukalak, Fundacja „Monumentum Iudaicum Lodzense”

DER ÄLTESTE DER JUDEN

in Litzmannstadt-Getto

142806

Anmeldung.

38

Familiennamē Kajzer
Vornamen Abram
Vornamen der Eltern Jajmuk, Udlu
Stand verh Geburtsort Bendzin
Geburtsdatum 25.2.1914 Religion Mosaisk
Beruf Maur
Der Obengenannte bezog am 5.6.1940 mit
34 Personen 1 Zimmer — Küche
in der Wohn. Nr. 9 an der Alexanderhof
Nr. 10/21 Reg. Nr. —
Frühere Adresse Pomorka 107
Personalausweis Pass. n. 3212

Anmerkungen :

Litzmannstadt-Getto, d.

1.7

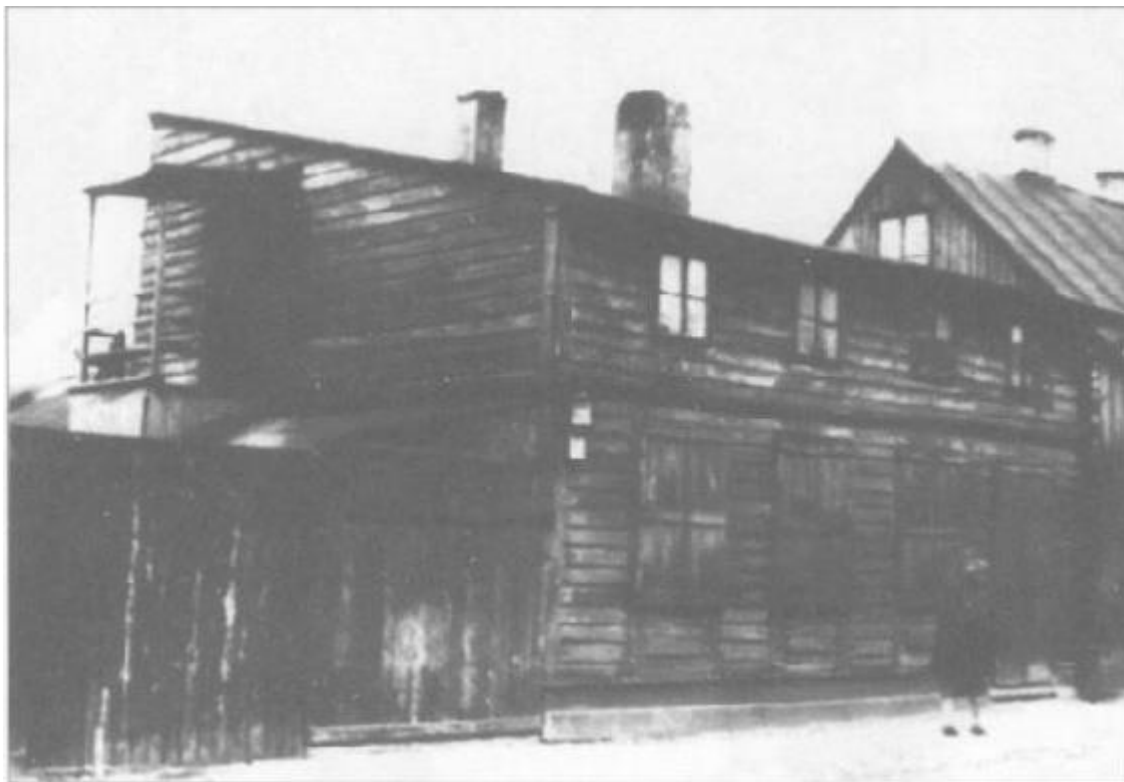
1940

Eigenhändige Unterschrift
des Angemeldeten.

Eigenhändige Unterschrift des
verantwortlichen Hausverwalters

Karta meldunkowa z getta w Łodzi (Litzmannstadtgetto) na nazwisko Abram Kajzer z 1.07.1940 roku. Arch.

Państwowe w Łodzi, akta Przełożonego Starszeństwa Żydów w Łodzi, 1939-1944, sygn. 1011 (38/K).



Drewniany budynek przy ul. B. Limanowskiego 21 w Łodzi (foto z 1941 r.); charakterystyczny dla ówczesnej zabudowy tej ulicy. Podobnie - lub jak drewniak widoczny za nim - mógł wyglądać dom, w którym mieszkali Kajzerowie podczas pobytu w łódzkim getcie.



Pn.zach. narożnik ul. B. Limanowskiego i Ciesielskiej w Łodzi (widok współczesny).

Tu stał dom, w którym mieszkał A. Kajzer z rodziną podczas pobytu w łódzkim getcie (ul. Limanowskiego, w tym czasie Alexanderhofstr. 29) Foto: Wojciech Żródlak, Łódź. Fkopia ze zbiorów Działu Okupacji Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi, sygn. AZ-671/3



A. Kajzer (pierwszy z lewej) z bratem Chaskielem, siostrą Nechą i jej córkami Miriam i Sulamit - początek lat 50. XX w. Z albumu rodzinnego Miriam Meir, Izrael



A. Kajzer (pierwszy z prawej) ze swoją siostrzenicą Miriam, jej mężem Danem Meir i córką Osnat - 1962 r.

A. Kajzer (pierwszy z prawej) ze swoją siostrzenicą Miriam, jej mężem Danem Meir i córką Osnat - 1962 r. Z albumu rodzinnego Miriam Meir, Izrael



A. Kajzer (w najwyższym rzędzie, trzeci od lewej) w gronie rodziny - 1965 r. Z albumu rodzinnego Miriam Meir, Izrael



A. Kajzer (w środku) w gronie rodziny. Z albumu rodzinnego Miriam Meir, Izrael
**Tablica na grobie żony A. Kajzera,
 Zofii TUTAJ POCHOWANA NASZA KOCHANA**



SOFIA KAJZER CÓRKA GITA I KOPEL

SZPINDEL 1909-2000

Foto i tłum. inskrypcji: Zvi Bergman, Izrael



Tablica na grobie A. Kajzera TUTAJ POCHOWANY NASZ DROGI KOCHAJĄCY SPRAWIEDLIWOŚĆ ABRAHAM

KAJZER SYN FAJBISZA -1914 - 1979

Foto i tłum. inskrypcji: Zvi Bergman, Izrael

פנאי: יצחק : מ. לעון קאמ.
 מ. פייביש. שרעניץ פריינדליכ
 מ. פריינדליכ
 תל-אביב 18/3/63.

ABRAM KAJZER ZA DRUTAMI ŚMIERCI

Opracował Adam Ostoja

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

Karta tytułowa I wydania wspomnień A. Kajzera, Łódź 1962, z dedykacją i autografem autora

Ze zbiorów Ryszarda Lów, Izrael 138



Jeden z budynków AL Dómhau (stan powojenny) Ze zbiorów Muzeum GrossRosen



Pomnik na cmentarzu w Kolcach, upamiętniający zamordowanych więźniów AL Riese



Ruiny obozu Lärche (stan powojenny) Ze zbiorów Muzeum GrossRosen



Ruiny obozu Wolfsberg (stan powojenny)
Ze zbiorów Muzeum Gross-Rosen

Słownik niemieckich nazw geograficznych występujących w tekście

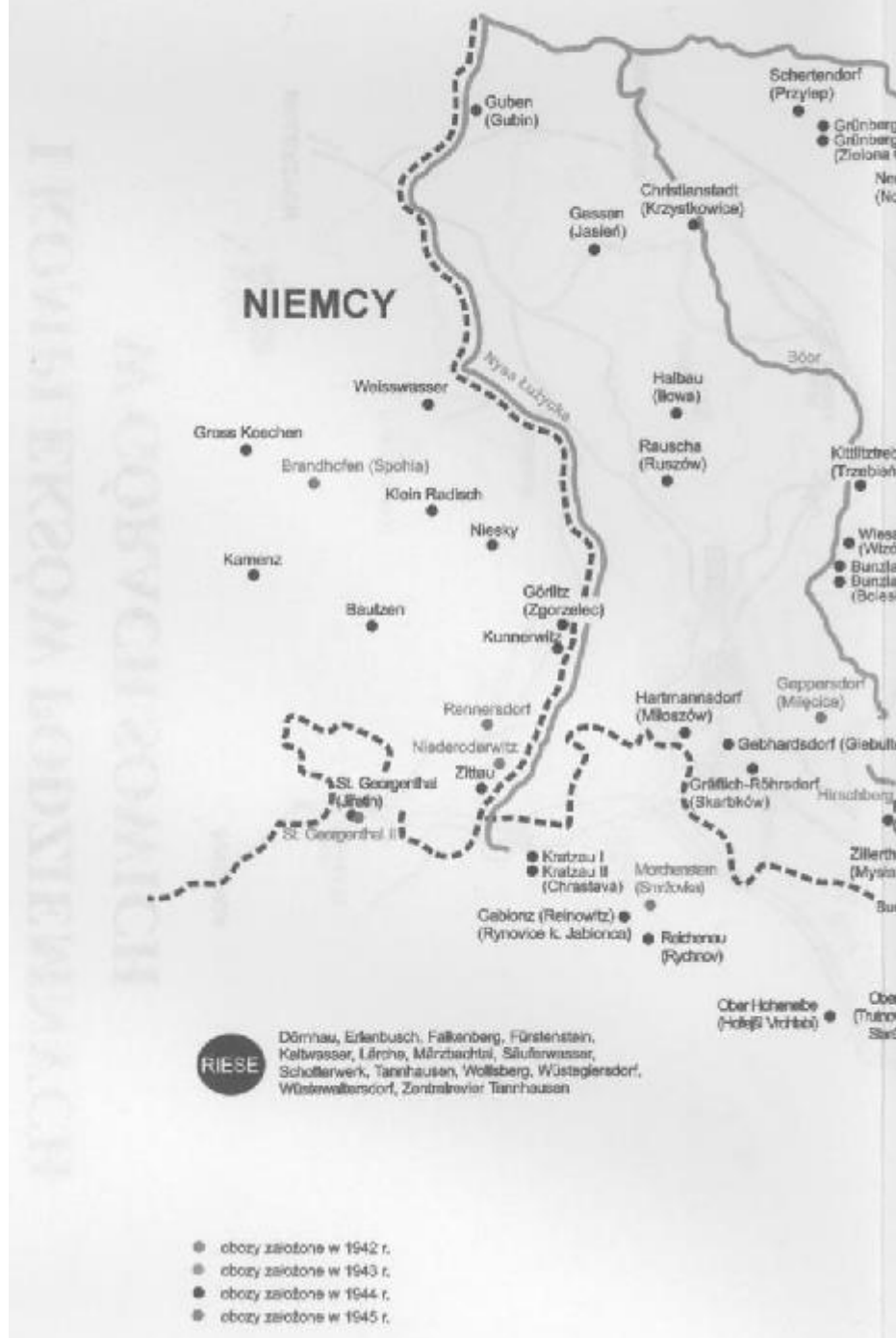
Auschwitz - Oświęcim
Birkenau - Brzezinka
Birnbäumel - Gruszcza
Breslau - Wrocław
BreslauLissa - WrocławLeśnica
Christianstadt - Krzystkowice
Dörnhau - Kolce
Erlenbusch - Olszynieć
Eulengebirge - Góry Sowie
Falkenberg - Sokolec
Friedland - Mieroszów
Fürstenstein - Książ
GrossRosen - Rogoźnica Halbstadt - Mezimesti (Czechy)
Hausdorf - Jugowice Hirschberg - Jelenia Góra Kaltwasser
Zimna Kratzau – Chrastava (Czechy)
Langenbielau - Bielawa Litzmannstadt - Łódź Merzdorf - Marciszów
Mittelberg - Dział Jawornicki (grzbiet górski)
Mittelsteine - Ścinawka Średnia
Mulenberg - Moszna (góra)
Oberwüstegiersdorf - Głuszycza Górna
Peterswaldau - Pieszyce Posen - Poznań
Radegast - Radogoszcz Ramenberg - Soboń (góra)
Saalberg - Jedlińska Kopa (góra)
Sackisch - Zakrze Säuerhöhen - Osówka (góra)
Schindelberg - Gontowa (góra)
Tannhausen - Jedlinka Trautenau - Trutnov (Czechy)
Treskau - Owińska Wolfsberg - Włodarz (góra)
Wüstegiersdorf - Głuszycza Wüstewaltersdorf - Walim

Mapy

ROZMIESZCZENIE OBOZÓW AL RIESE I KOMPLEKSÓW PODZIEMNYCH W GÓRACH SOWICH



FILIE KL GROS



OSS-ROSEN



Edycja i poprawki Ebook - reddogpl